JAKUB ĆWIEK

ZAWISZA CZARNY

Zawisza wkurzy wszystkich po równo i pokaże nam, jacy jesteśmy.
Tomek Bagiński

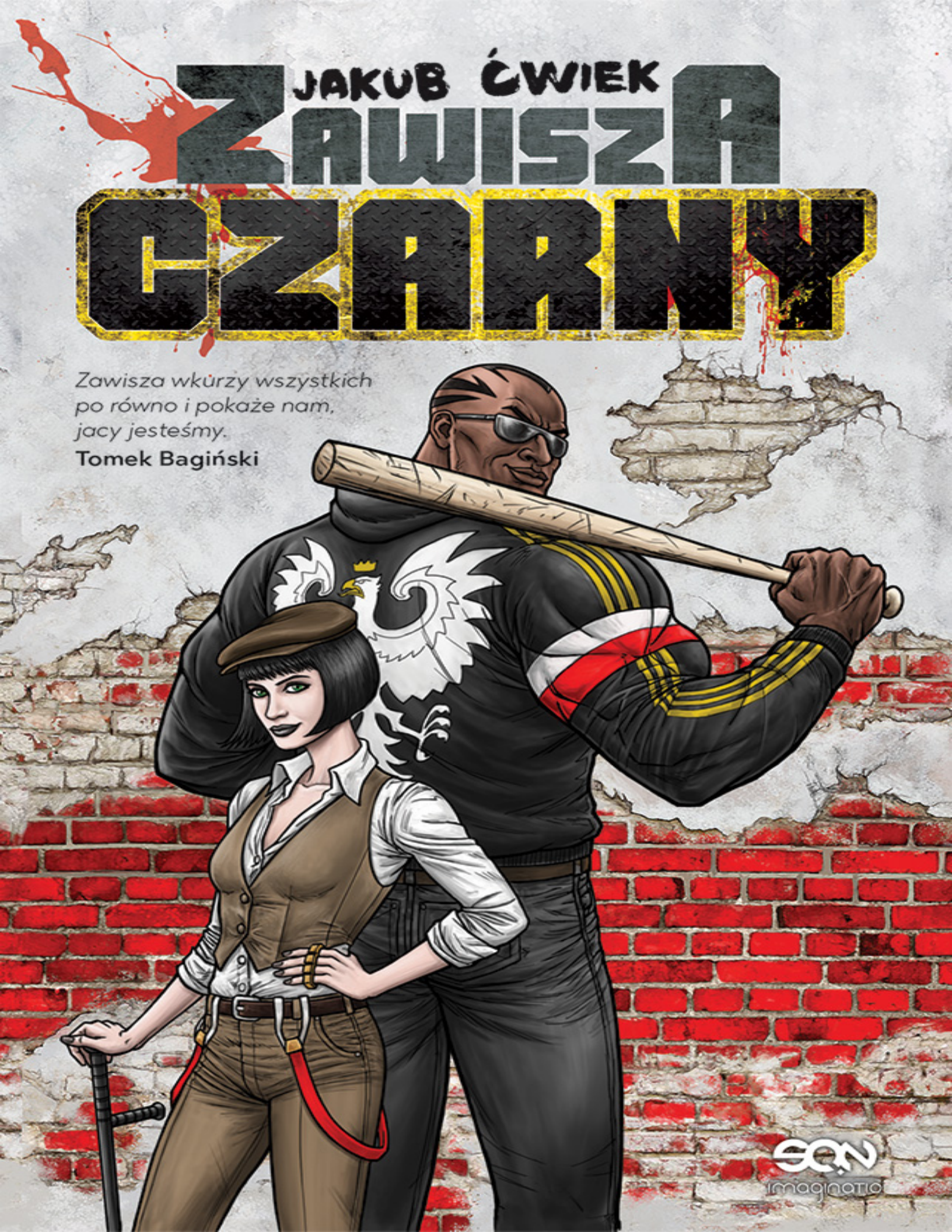

SQN
imaginatio

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

JAKUB ĆWIEK

ZAWISZA CZARNY

KRAKÓW 2017

Dziadkowi Wieśkowi, chłopakowi z warszawskiej Pelcowizny

PROLOG

OBIETNICA

Dawno, dawno temu żył sobie na ziemiach polskich rycerz, którego umiejętnościom w bitwie i pojedynku dorównać mogły jedynie jego odwaga i praworządność. Ci, którzy wiedzieli, że mają go po swojej stronie, przyzywali go w bitwach częściej niż archanioła Michała, bo i, po prawdzie, częściej na wezwanie odpowiadał. Wrogowie również powtarzali jego imię, tyle że albo z przestrachem, albo w pijackim bełkocie, kiedy to swatali go w kpinach ze świniami z pobliskiego chlewa.

Zawisza.

Mąż był to wielki jak dwa splecione ze sobą dęby, o nogach jako te pnie, plecach rozłożystych jak liściaste korony, a ramionach grubych i długich tak, że mógłby nimi objąć naraz wszystkie ziemie piastowskie. Nie był przy tym ociężały, co się często wielkoludom zdarza, ino zwinny jako ta wiewiórka, która po owych dębach skacze i kitą to na lewo, to na prawo wywija. A skoro już o kicie mowa, to wiedzcie, że tak o jej zasługach, jak i o żołędziach tego dębu mógłbym w tym miejscu wiele napisać, ale – o tempora! o mores! – wiele białogłów, kłam zadając pogłoskom o ich umysłowej pośledniości względem mężów, czytać się nauczyło. Z tegoż powodu strzymam tu opis tych zalet Zawiszy, by niepotrzebnie niewiast nie osramiać. Dodam tylko jedno: jeśli następnym razem ktoś napomknie, że i tak wszyscy pochodzimy od czarnych, warto go poprawić – od Czarnego.

Legenda głosi, że choć życie miał ci ów woj nad woje, rycerz nad rycerzy, szlachetne i pełne chwały, choć chwila pojmania go do niewoli godna jest pieśni nie pośledniejszych niż te, którymi starożytni sławili Leonidasa, władcę Sparty, to jednak godnej śmierci los Zawiszy poskąpił. Oto bowiem dwóch janczarów, pokłóciwszy się, do kogo należy jeniec, stoczyło nad nim pijacki pojedynek, aż się któryś z nich potknął, zagapił i niechcący ściął Zawiszy łeb. Byłby się rycerz napiął, a klinga odskoczyłaby ze zgrzytem jak od kamienia, pewien tego jestem jak swego imienia, ale on akurat myślami był daleko, w Ojczyźnie, na świętokrzyskiej ziemi, gdzie kiedyś wołali na niego… Tego już nie zdołał sobie

przypomnieć, bo właśnie wtedy ostrze sięgnęło szyi, przecięło ścięgna, kręgosłup i głowa rycerza potoczyła się po piachu.

Nie był to jednak koniec, naraz bowiem rycerz mrugnął, a z ust jego wydobył się niski, głęboki głos. I choć wielu dziś powie, że to niemożliwe, Zawisza, już po śmierci, lecz zanim odszedł na dobre, złożył obietnicę, że gdy Ojczyzna znowu będzie w prawdziwej potrzebie, znajdzie sposób, by wrócić i ją od zła wybawić.

Na większości janczarów, do zabobonnego ludu należących, ta deklaracja ściętej głowy zrobiła nieliche wrażenie. Wyjątek stanowił ten, który ściął rycerza. On tylko wzruszył ramionami, powiedział coś, co na polski można by przełożyć jako:
„E tam!” i… zabrał Zawiszową zbroję.

CZĘŚĆ PIERWSZA

JAK PRZYGODA, TO TYLKO W WARSZAWIE

ROZDZIAŁ 1

NIEZNAJOMI Z POCIĄGU

– Ale jak to, kurwa, Murzyn?

Ordon, do tego momentu wpatrzony w swojski, nieco rozmyty widok za oknem pociągu InterCity relacji Wrocław–Białystok przez Katowice i Warszawę, powoli odwrócił głowę i przyjrzał się uważnie dzieciakowi stojącemu w drzwiach przedziału. Czyli jednak, jak zakładano, szykowały się kłopoty, a on był również po to, by im zapobiec.

– No normalnie, Murzyn. Czarny taki. – Szczyl, na oko nie więcej niż siedemnastoletni, ekscytował się tak, że drgało mu oko. Nozdrza podrygiwały jak u rozdrażnionego byka; łysa, gładka czaszka lśniła w blasku porannego słońca. Mówiąc rwanymi, zdyszanymi równoważnikami zdań, odruchowo drapał się po symbolu Polski Walczącej wyrysowanym na koszulce na wysokości piersi. Zdaniem Ordona, na co dzień zatrudnionego w służbie zdrowia, zachowywał się jak zawałowiec próbujący rozmasować ból.

– Jesteś pewien, że facet nie był po prostu opalony? – zapytał kolega tego z kotwicą.

Wysoki, chudy dwudziestoparolatek z nosem szpiczastym i ostrym jak ptasi dziób był tym samym, który swoim zdziwionym pytaniem wyrwał Ordona z odrętwienia.

Trzeci z paczki na razie milczał; ściągnął usta w dziubek i w skupieniu skubał brodawkę nad lewą brwią. Z jego T-shirtu, spod szalika reprezentacji, łypał wyklęty wilk.

Dzieciak w progu, Kotwica, nieco się zaperzył.

– Jakie, kurwa, opalony? – krzyknął. – Jakie opalony?! Nos też mu się od słońca spłaszczył?! Wary napuchły? Końskie zęby też od jebanego, kurwa, słońc… – Przerwał nagle i odwrócił głowę w stronę korytarza. – Masz jakiś problem? Nie? To świetnie, się schowaj do przedziału i się, kurwa, nie wychylaj!

Ordon westchnął i ledwie zauważalnie pokręcił głową, trochę z irytacją, bardziej jednak ze znużeniem i politowaniem. Przecież kiedyś był taki sam. Gniewny, w gorącej wodzie kąpany, skłonny do bitki. Niezliczone blizny na

jego twarzy, rękach, piersi, zgrubienie na nasadzie krzywego nosa, tatuaże więzienne i te późniejsze – wszystko przypominało mu dawne czasy, ilekroć spoglądał w lustro. Zgrubienie bliznowca nad czołem i kalafior na uchu znamionowały przeszłość, której nie zamierzał się wypierać. Podobnie jak wytatuowany, pękający łańcuch na szyi symbolizujący zerwanie wreszcie obcego jarzma. Był jak ten chłopak z kotwicą na piersi na długo przed tym, nim jego ogolony łeb, podbródek i policzki porosła szczecina w kolorze soli i popiołu. W jakiś sposób był nim również teraz, tyle że w umyśle, bo już nie w wyrywnym sercu. Życie nauczyło go, że nie tak załatwia się sprawy, jeśli są naprawdę ważne.

– Dobra, czyli niech będzie, że Murzyn. – Szpiczastonosy postanowił zmienić podejście. – Ale przyjrzałeś się mu i naprawdę ma na sobie patriotyczną koszulkę?

– Tak – odparł Kotwica; zamknął usta, otworzył je i znowu zamknął. – Tak.

– Polską?

– A widziałeś kiedyś niepolskiego patriotę? – odezwał się wreszcie ten trzeci, Wilk. Głos jednak miał zupełnie nie wilczy; brzmiał raczej jak bardzo dumna z siebie wiewiórka. – To tak jak papież. Wielu może się tak nazwać, ale prawdziwy jest tylko jeden!

Ordon, który właśnie się podniósł, by zdjąć z półki czarną sportową torbę, sapnął z dezaprobatą. Z tym dzieciakiem raczej nigdy nie miał nic wspólnego, nawet w swoich najgłupszych czasach, gdy jeszcze tatuował sobie na uszach i tyle czaszki trzy pozostałe, dziś mocno wyblakłe oblicza Światowida, nie był aż takim idiotą.

Kotwica również musiał poczuć zażenowanie, bo zanim podjął wątek, wziął kilka głębszych oddechów.

– Jestem pewien, że siedzący wagon dalej wielki jak sam skurwysyn Murzyn ma na sobie koszulkę polskiej reprezentacji, biało-czerwony szalik i czapkę z daszkiem z napisem „Aj serce Kuba…”

– Ha, jak ta komunistyczna wyspa! – Palec satysfakcji wilka wyklętego wystrzelił w górę.

– …Błaszczykowski – dokończył Kotwica, przejeżdżając ręką po czole. – Dobra, panowie, bo to już ostatnia prosta i zaraz będziemy w stolicy wysiadać. Co robimy z czarnuchem? Bo ja tam rasistą nie jestem, ale trochę mnie pierdolona małpa przebrana za patriotę jednak obraża.

– No idziemy – powiedział Szpiczastonosy, podnosząc się z miejsca. – Pytanie tylko, jak to zrobimy, skoro taki wielki, a walka w przedziale… Ej, czy to Dumny Rodak?

Wskazał palcem półlitrową puszkę, którą przed momentem Ordon wyjął z torby i postawił na niewielkim stoliczku. Na biało-czerwonym pojemniku widniał chłopak w czarnych bojówkach i z rękami skrzyżowanymi na polskim orle zdobiącym mu pierś. Z jego pleców wyrastały widmowe husarskie skrzydła, a wokół głowy, niczym aureola, rysował się nie do końca materialny hełm Małego Powstańca.

Starszy mężczyzna udał zaskoczenie. Przez moment wpatrywał się w palec Szpiczastonosego, a następnie podążył wzrokiem za jego wskazaniem. Wziął do ręki puszkę, paznokciem szarpnął zawleczkę. Upił mały łyk, spijając to, co wylało się na denko.

– Tak, to Dumny Rodak – powiedział cicho schrypniętym głosem starego palacza, którym nigdy nie był. – Chcecie, chłopcy, skosztować, zanim pójdziecie bić czarnucha?

Popatrzyli po sobie. Wyglądali na zdziwionych, że wiedział, o czym mówili. Kretyni.

– A to nie tak, że Rodak jest dostępny tylko w Warszawie póki co? – zapytał Kotwica. Wszedł do przedziału i usiadł naprzeciwko Ordona. – Bo widziałem reklamy w telewizji, ale tak właśnie mówili. Że na razie tylko Warszawa, bo patriotyzm rozlewa się od serca. Jaki to?

– Godność – odparł Ordon, lekceważąc wcześniejsze pytanie. Nie chciało mu się wymyślać żadnego kłamstwa.

– Czyli jabłkowe? – zapytał Wilk.

Ordon pokręcił głową, ale z odpowiedzią uprzedził go Szpiczastonosy.

– Coś ty, godność to porzeczka – wyjaśnił. – Waleczność jest jabłkowa, a wierność wiśniowa.

– Dla mnie wiśniowa powinna być tolerancja – zauważył Kotwica. – Nienawidzę wiśni.

Ordon milczał. Były takie chwile – krótkie, choć ostatnio coraz częstsze – kiedy wątpił w sprawę. Zwykle te momenty zwątpienia wiązały się ściśle ze spotykaniem ludzi takich jak ci tutaj. Jak mawiał Tadzio Duda, trener lokalnej drużyny piłkarskiej w jego rodzinnej miejscowości: „Nacjonalizm to dobra rzecz, bo trzyma obcych z dala od twojego domu. Ale jest też niebezpieczny, bo jak przesadzisz ze stawianiem granic, skończy się ruchaniem sióstr i wtedy napłodzisz debili”.

Tak, pomyślał Ordon, otwierając torbę i wyciągając z niej trzy kolejne puszki, stary, poczciwy Tadzio, wiecznie niespełniony pisarz i bardzo spełniony alkoholik, miał talent do formowania takich myśli.

– To co, panowie, strzelicie po Rodaczku przed patriotycznym obowiązkiem? – zapytał. – Jestem pewien, że wasz Murzyn poczeka.

Znowu popatrzyli po sobie i dostrzegł w tych spojrzeniach zgodne, jednogłośne:

– Co tam, kurwa! – zawołał Kotwica. – No przecież, że poczeka. Dawaj pan!

***

Siedzący wagon dalej na fotelu numer siedemdziesiąt trzy – środek – czarnoskóry mężczyzna w koszulce reprezentacji faktycznie nigdzie się nie wybierał. Czytał książkę, starając się nie garbić i w miarę możliwości nie zajmować więcej miejsca, niż przysługiwało mu zgodnie z biletem. Muskularne ręce dociskał więc do żeber, nogi trzymał razem, a piętami dotykał kratki pod siedzeniem. Gdy odwracał stronę, najpierw podnosił róg kciukiem prawej dłoni, a następnie lewym powoli przeciągał kartkę na stronę przeczytanych. Każdorazowo przy tej czynności unosił lekko głowę i upewniał się, czy pyzaty blondynek w wieku przedszkolnym wciąż się na niego gapi. Uśmiechał się wtedy lekko, na co chłopiec reagował mrugnięciem i przełknięciem śliny. I tak do następnego przewrócenia strony.

W końcu maluch zebrał się na odwagę.

– Panie Murzynie, czy pan jest z Afryki? – zapytał nagle.

Jego matka, drobna, zgrabna blondynka o uroczo zaokrąglonej buzi, wyprostowała się, jakby raził ją piorun, zaczerwieniła się i oderwała wzrok od telefonu. Już otwierała usta, by przeprosić. Nie wiedziała, czy po polsku, po angielsku, czy może łamanym francuskim, który miała w szkole, ale uciekała z lekcji, bo francuski we wtorki był ostatni, a jak uciekła, to mogła wracać do domu z Gosią z równoległej klasy i gadać o Bartku i chłopakach z trzeciej… Zagadnięty mężczyzna okazał się jednak szybszy.

– Tak, tam się urodziłem – odparł płynną polszczyzną. – Na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Ale wychował mnie pewien polski misjonarz, nauczył mnie o Polsce wszystkiego, co wiedział, i teraz czuję się bardziej Polakiem.

Chłopczyk pokiwał głową, powoli, z rozmysłem, by zaraz stracić zainteresowanie i zająć się trzymaną na kolanach książeczką. Ledwie jednak jego mama nieco się uspokoiła, a czarnoskóry mężczyzna przeczytał kolejny akapit, chłopiec zadał kolejne nurtujące go pytanie:

– Dlaczego dzieci w Afryce tak bardzo lubią szpinak?

Tym razem matka była szybsza. Odwróciła się błyskawicznie i pochyliła do przodu, jakby chciała zasłonić chłopca przed pędzącą kulą odpowiedzi czarnoskórego mężczyzny.

– Pawełku, mógłbyś pana nie zaczepiać? – ofuknęła go. – Widać, że jest zajęty, tak? Czyta książkę i…

– A lubią? – zapytał mężczyzna.

Pytanie, mimo pleców matki, na których podwinięta koszulka ukazała jeden z dołeczków Wenus, jakoś dotarło do chłopca, bo wychylił głowę i energicznie nią pokiwał.

– Mama mówi, że dzieci w Afryce zabijałyby się za mój szpinak i dlatego nie powinienem grymasić.

– Pawełek, wystarczy, naprawdę – jęknęła zawstydzona kobieta. Wyprostowała się, poprawiła bluzkę i fryzurę, wpatrzona w tym czasie w wielkie sportowe buty współpasażera. – Ja pana naprawdę przepraszam za syna, ale on…

– W porządku – odparł mężczyzna i zamknął książkę. – Nic się nie stało, a ja chętnie odpowiem, jeśli pani pozwoli. Pawełek, tak?

Chłopiec raz jeszcze energicznie pokiwał głową.

– No więc, Pawełku, afrykańskie dzieci nie będą się zabijały o twój szpinak. Ale jeśli faktycznie będziesz go jadł i będziesz silny i zdrowy, to może kiedyś dorośniesz na tyle, by zostać misjonarzem, pojechać do Afryki i dać tym dzieciom coś smacznego, by nie chodziły głodne. Co ty na to?

Matka Pawełka podniosła głowę. Tylko na moment, ale dość długi, by mężczyzna był w stanie zauważyć malujący się na jej twarzy uśmiech wdzięczności, w którym, gdy się przyjrzeć, dało się dostrzec coś jeszcze. Już wcześniej wzbudził jej zainteresowanie jako mężczyzna, zerkała przecież na niego od samych Katowic. Na masywne ramiona, na białe wnętrza dłoni o długich palcach, przystojną, egzotyczną twarz, a nawet raz czy drugi na krocze. Teraz jednak zyskał w jej oczach nie jako egzotyczny obiekt ewentualnych wieczornych fantazji, ale jako wyrozumiały dla dzieci, empatyczny mężczyzna, a tacy zawsze byli w cenie.

Przez tę krótką chwilę, gdy ich spojrzenia się przecięły, gdzieś pomiędzy nimi wszechświat wyrysował swą niewidzialną kredką całą mnogość romantycznych, choć w większości trącących mezaliansem scenariuszy, ciągnących się od niezliczonych wariantów pierwszej randki, przez wspólne wyjście do parku, aż po ślub, podczas którego on oczywiście będzie na biało, a ona…

– To znaczy, że ja mam jak debil jeść szpinak, żeby jakieś małe czarnuchy dostały łakocie? – zapytał nagle Pawełek, a jego głos był jak zgrzytnięcie igły w poprzek rowków winylowej płyty. – Nie ma głupich, panie Murzyn!

***

Nie protestowali, gdy Ordon poprosił ich o puste puszki. Siedzieli grzecznie, nieco osowiali, trochę odklejeni od rzeczywistości; kołysali się w takt stopniowo zwalniającego pociągu. Zgodnie z tym, co przed chwilą zapowiedziano z megafonu, mieli się niebawem zatrzymać na stacji Warszawa Zachodnia. Lekko rozkojarzony męski głos przypomniał wysiadającym o ich bagażach, podziękował za wspólną podróż i życzył udanego pobytu lub dobrej dalszej podróży. Ordon swoim zwyczajem podziękował cicho.

Starannie zgniótł ich puszki i włożył je do reklamówki, a następnie torby. Zrobił to także z tą po swoim własnym Rodaku. Wcześniej upił z niej ledwie dwa łyki, a potem dyskretnie wylał resztę w toalecie i uzupełnił wodą. Nie zamierzał sam pić tego dziadostwa. Nie potrzebował, bo umiał nad sobą zapanować.

Kotwica, Szpiczastonosy i Wilk zareagowali na dźwięk zgniatanej blachy, ale nie obeszło ich to specjalnie. Puszki, które Ordon miał ze sobą, były dodatkowo podrasowane, lecz i oni byli wyjątkowo podatni. Do tego stopnia, że Kotwica nawet w pewnym momencie zaczął przewracać oczami i się ślinić. Przez chwilę wyglądało na to, że będzie potrzebna pomoc, ale ostatecznie obyło się bez medycznych zabiegów. Pozostali dwaj patrioci zapytani o Murzyna i konieczność interwencji zbyli to wzruszeniem ramion i machnięciem ręką. Czarnoskóry w polskich barwach, jadący – jak pewnie i oni – na mecz reprezentacji mający się odbyć na Stadionie Narodowym, już ich nie tylko nie urażał, lecz także najwyraźniej specjalnie nie obchodził.

Swoją drogą, pomyślał Ordon, ten Murzyn mógł być całkiem interesującą postacią. Nie miał nic przeciwko takim, tolerował ich i w przeciwieństwie do wielu kolegów i znajomych uważał ich za ludzi. Takich, którzy nie powinni się tu specjalnie krzątać, roznosić chorób i pieprzonego multi-kulti, ale nadal ludzi. Ten, jeśli wierzyć, że nie założył narodowych barw ironicznie, miał w sobie dość rozumu i godności, by uszanować kraj, w którym się znalazł. To było w jakiś sposób budujące.

Wtedy Ordon przypomniał sobie, że kiedyś już o takim słyszał. Zaraz po tym, gdy zaczął się ten cały bum na ludzi w pelerynach, tych, co się naoglądali za dużo filmów i naczytali komiksów, a potem zaczęli robić z siebie idiotów w telewizji. Wtedy, chyba na Śląsku, bo opowiadał o tym kumpel z Chorzowa, kibic Ruchu, pojawił się taki jeden, właśnie czarny. Podobno bardzo dobrze się bił i strzelał, a nazywał się…

***

– Piotrek – powiedział czarnoskóry.

Postawił na podłodze przedziału walizkę matki Pawełka, która właśnie przed chwilą, gdy udało im się przełamać niezręczność wywołaną wypowiedzią chłopca wybuchem śmiechu mężczyzny i obejmującym pewnie już całe ciało jej płomiennym rumieńcem, przedstawiła się jako Gosia.

– Ale ludzie mówią na mnie Zawisza – dodał.

– O, ładnie. A dlaczego tak?

– Bo jestem czarny – odparł z uśmiechem, a gdy zobaczył, że nie załapała żartu, machnął ręką. – Mniejsza z tym. Bardzo miło było was poznać. Na pewno dasz sobie radę z tym bagażem? Mogę cię, Gosiu, podprowadzić do postoju taksówek czy na autobus… Zresztą, wiesz co? I tak tam idę, mam więc nadzieję, że nie będę wam zawadzał. Co ty na to, kolego?

Pawełek nie był głupi. Jak na bystrego chłopca przystało, zdawał sobie sprawę, w jaki sposób może teraz odrobić utracone u mamy punkty. Poza tym pochodzili z mamą z małego miasteczka i nie miał wcześniej w życiu okazji, by spotkać czarnego, a co dopiero spędzić z nim trochę czasu. Kierując się więc czymś, co dopiero za kilkanaście lat – gdy rozpocznie swą transformację z bezczelnego dziecka w nadętego studenciaka filologii – będzie umiał nazwać pragmatyzmem, pokiwał głową.

– Bardzo klawo, panie Czarny Zawiszo.

Pociąg wjechał w tunel i zaraz potem na wypełniony ludźmi peron Dworca Centralnego.

W jednej chwili tłum ściśnięty na wąskiej przestrzeni między ruchomymi schodami a tablicą informacyjną i podwieszonymi nań ekranami emitującymi programy TVN24 rozciągnął się wzdłuż białej linii. Ci z pasażerów, którzy już zawczasu zajęli pozycje w stosownych sektorach, żegnali się z bliskimi, jakby ruszali na front wojny stuletniej; inni szli lub biegli wzdłuż wagonów, by znaleźć się przy odpowiednich drzwiach, gdy tylko skład ostatecznie się zatrzyma.

Na korytarzu wagonu też uformowała się już kolejka. Ktoś z kimś rozmawiał, głośno, ale na tyle daleko, że trudno było zrozumieć słowa. Gruby facet opierający się o szybę przedziału Zawiszy właśnie dojadał kanapkę z kurczakiem i sosem czosnkowym, co wybitnie irytowało stojącą przed nim dziewczynę w bluzie z logo Nirvany.

– Gdzie się zatrzymasz… e, Zawiszo? – zapytała Gosia.

– Mam rezerwację w takim jednym hotelu niedaleko Wisły – odparł. – Spałem tam już kiedyś. Jest tanio i wieczorem można pospacerować. A co?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo gdzieś na peronie rozległ się huk, a niemal natychmiast po nim – piski i wrzaski.

Zawisza zareagował instynktownie. Pchnął Gośkę i Pawełka na siedzenia, przykucnął i szeroko rozłożył ręce, tak że niemal ukrył ich za tarczą swych szerokich pleców. Jednocześnie zaczął czujnie obserwować przez szybę zamieszanie na peronie. Ludzie potykali się o innych ludzi, biegnąc lub próbując biec w różnych kierunkach. Podróżne torby jednych zaczepiały się o ciągnięte na kółkach walizki drugich. Ci, co już wsiedli, wracali, by sprawdzić, czy z bliskimi na peronie wszystko jest w porządku. U szczytu schodów tłum gapiów wyglądał na peron, blokując uciekającym wjazd na górę.

– Jezusmariaterroryści – jęknął ktoś w korytarzowej kolejce. – Pierdoleni ciapaci wszystkich nas tu wysadzą.

Ktoś inny napomknął go dyskretnie, że nie powinien tak mówić, bo to bezpodstawne oczernianie i przecież nie wiadomo, kto za tym stoi. Ktoś zaraz zauważył, że to właśnie przez takie lewactwo mamy teraz w Europie to, co mamy. Czwarty głos kazał się zamknąć poprzednim, a piąty zaczął się głośno modlić.

Zawisza zaryzykował odwrócenie głowy. Dostrzegł, że dziewczyna w bluzie Nirvany kucnęła i zasłoniła uszy łokciami. Gruby facet za nią również spróbował, ale kolana dość szybko uświadomiły mu, że nie ma takiego aktu terroru, który zmusiłby je teraz do zgięcia. Odpuścił więc i dał tylko Zawiszy dyskretny znak, że fajnie by było, gdyby ten zasłonił go znajdującą się w przedziale kotarką.

– Panie Zawisza, czy to bomba? – zapytał cicho Pawełek.

– Raczej petarda – odparł.

Jednak na wszelki wypadek wciąż trwał w tej samej niewygodnej pozycji, osłaniając dwójkę współpasażerów. Widział już, jak na peronie zjawiają się policjanci i strażnicy kolei, jak rozglądają się uważnie, kogoś szukają. Żaden z mundurowych nie zachowywał się jak przy ataku terrorystycznym, nie było też dymu, krzyków bólu czy widocznych zniszczeń. Tylko panika i ludzie kłócący się na ruchomych schodach, niezdecydowani, czy w chwili zagrożenia życia można stratować komuś walizkę, czy nie, i czy są wyjątki od reguły, że lewa strona schodów powinna być wolna od staczy.

Zawisza wyprostował się w końcu, przeciągnął i pomógł wstać Gosi.

– No to teraz, skoro znamy się bliżej – zauważył – nie będziesz chyba miała nic przeciwko, bym odprowadził was do taksówki.

Kobieta w pierwszym odruchu upewniła się, że Pawełkowi nic nie jest, następnie zaczesała włosy za ucho i obciągnęła bluzkę.

– Co to było? – zapytała. – Faktycznie petarda?

Zawisza wskazał brodą na okno, za którym grupa funkcjonariuszy prowadziła czwórkę dzieciaków w barwach narodowych. Trzech z nich szło, jakby mieli już nieźle w czubie. Czwarty, wspierany przez strażnika ochrony kolei, ledwie się przemieszczał. Zgięty wpół dociskał do brzucha lewą rękę owiniętą w szalik. Biały pas materiału coraz bardziej różowiał.

– Chyba urwało mu palce – zauważył z powagą Pawełek.

ROZDZIAŁ 2
JOT DWADZIEŚCIA TRZY

Świtoń czuł się nieswojo. Nie chodziło tu o rozsądek, bo uważał, że całkiem nieźle to sobie wydumał z tym kamuflażem. Był niczym J-23 z ulubionego serialu taty, podwójny agent, który w przebraniu wroga jest w stanie niepostrzeżenie przekazywać informacje, przemieszczać się, a nawet, gdy pojawi się taka możliwość, zadawać druzgocące ciosy.

Jednak co innego umysł, a co innego serce. A ono podpowiadało mu, że w tych wpijających się w jaja obcisłych rurkach, w tej pstrokatej marynarce i w kaszkiecie naciągniętym na łysinę dokonywał zdrady wartości, które od zawsze wyznawali jego dziadek, ojciec i dwaj bracia. I do tego popijał ów judaszowy akt cholerną karmelową latte na soi, która – wbrew wszelkim prawom natury – była całkiem smaczna.

– Robię to dla sprawy – mruknął po raz nie wiadomo który, odbijając się barkiem od tablicy z rozkładem i odciągając wolną ręką materiał spodni od krocza. – Dla sprawy, Narodu i Boga.

O tym ostatnim mówił jednak cicho, bo przerażała go myśl, że mógłby na siebie zwrócić Boską uwagę. Nie chciał się pokazać tak ani Jemu, ani zasiadającemu po Jego prawicy – tak zawsze twierdził tata – marszałkowi Piłsudskiemu, który nie cenił sobie takich podstępnych metod jak kamuflaż, zwłaszcza obejmujący przebranie się za wroga. Marszałek był bohaterem, a to oznaczało, że sprawy załatwiał na dwa: sru w ryj i pokręcenie wąsa.

Świtoń wiedział jednak, że cokolwiek by teraz czuł, ważniejsze było otrzymane zadanie, misja świadcząca o zaufaniu, jakim go obdarzono, i rozkaz, który musiał wykonać mimo wszelkich niewygód.

– I wykonam – upewnił się ponownie. Upił łyk kawy i docisnął łokciem trzymaną pod pachą papierową teczkę.

O człowieku, któremu miał ją przekazać, wiedział niewiele, bo Mariacki, stary kibic, a jednocześnie szycha, no, szyszka patriotycznego neopodziemia, gdy podawał mu teczkę, nie miał zbyt wiele czasu. Zrozumiałe, był młodym rodzicem, a to w tym mieście niełatwe i wymagające często prawdziwej ekwilibrystyki, jak na przykład zwolnienie się wcześniej z pracy, by zdążyć odebrać dzieci z przedszkola na

Młocinach. Dlatego Świtoń nie miał mu za złe, że usłyszał o odbiorcy teczki jedynie: „To jeden z naszych, ale taki mocno nietypowy, więc rozpoznasz bez trudu”. Nadal jednak świadomość, że to na nim teraz spoczywała cała odpowiedzialność za należyte rozpoznanie, trochę gniotła go w dołku.

W końcu zapowiedziano pociąg relacji Wrocław–Białystok i dwie minuty później elegancki, nowoczesny niebiesko-srebrny skład zatrzymał się przy peronie. Ludzie wokół Świtonia ruszyli to w jedną, to w drugą stronę, po czym zajęli miejsca przy wejściach, ustawiając się po obu stronach drzwi niczym wojskowy szpaler na powitanie ważnych osobistości. Świtoń znowu odbił się ramieniem od tablicy, upewnił się, zerkając w lewo i prawo, że widzi ze swojego miejsca wszystkie wejścia do pociągu, i zamarł w oczekiwaniu.

Dasz radę, Świtoń, dasz radę, powtarzał sobie w myślach głosem marszałka Piłsudskiego, którego słyszał kiedyś na archiwalnym nagraniu. Co prawda, nie zapamiętał go wtedy za dobrze, więc ten głos w jego głowie brzmiał bardziej jak Jacek Rozenek z gry *Wiedźmin* mówiący ze wschodnim zaśpiewem, ale liczyła się symboliczna wartość tej myśli – oto legendarny wódz zapewniał jego, szpiega w służbie nowego polskiego podziemia, że da radę. Cóż mogłoby go teraz powstrzymać?

Odpowiedź na to w zasadzie retoryczne pytanie nadeszła niemal natychmiast z głośnym hukiem, który odbił się echem od filarów, ścian i sufitu, a zaraz potem wrzaskami, krzykami i ogólnym harmidrem.

Świtoń się nie bał. Rzecz jasna, przez głowę przemknęła mu myśl, że to może być atak terrorystyczny, ale nawet wtedy zamiast się przestraszyć zaczął rozważać, co powinien teraz zrobić. Najpierw przyszło mu na myśl, żeby wyrzucić ten cholerny kubek z resztką słodkiej latte, tak by nie umrzeć z nim w ręku. Następnie, co oczywiste, zabezpieczyć, ukryć teczkę. Tylko gdzie?

Rozejrzał się uważnie i trochę nerwowo, a potem skarcił się w myślach, że przecież wygląda to podejrzanie. Dlatego przestał, zamarł, a potem powoli ugiął kolana, by przyjąć pozycję przestraszonego lewaka z rękami nad głową. Tak ich zawsze widział oczyma wyobraźni, z takich się naigrywał i takim właśnie przyszło mu teraz zostać. Życie szpiega jest trudne, pomyślał, ale czego się nie robi dla sprawy.

Gdy kilka minut później policjanci ujęli sprawców zamieszania i odprowadzili ich na górę – czterech kibiców z szalikami reprezentacji,

jeden z nich był ranny, wszyscy czterej bez cienia wątpliwości pijani – jakaś dziewczyna prostująca się właśnie obok Świtonia wydęła brzydko usta.

– Patrioci – prychnęła pogardliwie.

– Gówno tam – żachnął się Świtoń – zwyczajna hołota, pewnie przebrane lewaki, co godła i flagi nie szanują.

Dziewczyna, pomarańczowowłosa hostessa rozdająca ludziom na peronie próbki afrykańskiej kawy Usawa (fair trade), posłała mu zaskoczone spojrzenie i ukradkiem przyjrzała się jego ubiorowi, który nijak nie pasował do jego słów.

– Przepraszam, co powiedziałeś?

– Prawaki – poprawił się Świtoń i uśmiechnął niepewnie. – Strony mi się mylą, mam tak od przedszkola.

To powiedziawszy, cofnął się o krok, potem kolejny, a następnie odwrócił i…

To musi być on, pomyślał na widok mężczyzny pomagającego wysiąść kobiecie z dzieckiem. Nikt inny nie pasuje lepiej do tego cholernego opisu.

Wyciągnął teczkę spod pachy, policzył do pięciu i ruszył w kierunku zapchanych ludźmi ruchomych schodów.

***

Ordon nie przestraszył się huku. Nawet trochę się go spodziewał od chwili, gdy pociąg wyłonił się z mrocznego tunelu i wjechał na oświetlony bladym światłem peron, a on zobaczył grupkę słaniających się od alkoholu kibiców, z których jeden zachowywał się wyjątkowo podejrzanie i ewidentnie chował coś w rękach.

Petarda. W sumie i tak dobrze, że nie raca, bo wtedy byłby dym, a z dymem i większe zamieszanie, bo to przecież dworzec, podejrzenie zamachu bombowego, ewakuacja. Pewnie i tak zaraz jakąś wdrożą, bo ludzie, usłyszawszy huk, zaczęli panikować. Tym się właśnie kończy zabieranie obowiązkowej służby wojskowej – ludzie nie odróżniają huku petardy od wybuchu bomby.

Ordon przysunął twarz do okna i spróbował pośród wystraszonych ludzi wypatrzyć kogoś, kto mógłby być kurierem. Nie miał pojęcia, kogo się spodziewać, ponieważ nie dostał żadnej informacji o znaku rozpoznawczym, którego powinien wyglądać. Gdy zadzwonił na podany

mu jednorazowy numer, usłyszał jedynie: „On cię znajdzie, ma twój dokładny opis, a teraz sorry, ale nie mogę gadać, bo stoję w korku i śpieszę się po dzieci, nara”. Wszystko wyrzucone na jednym oddechu, do wtóru klaksonów, wyzwisk i dżingli Programu Drugiego Polskiego Radia. A potem cisza i „numer, pod który dzwonisz, jest wyłączony” przy każdej kolejnej próbie. Zostawała więc nadzieja, że faktycznie kurier będzie wiedział, kogo szukać, Ordon dostanie materiały, zapozna się z nimi i na szybkości wprowadzi w życie. Chciałby, gdyby się dało, zobaczyć wszystko to, co wydarzy się później, już z własnego domu, z kanapy przed telewizorem. Ostatnio miał trochę dość spędów i manifestacji.

W końcu wypatrzył jakiegoś dzieciaka. Chłopak z pozoru wyglądał jak rasowy hipster, z tą marynareczką z kapturem, kaszkiecikiem i rurkami, ale szybko dało się zauważyć, że nie dopilnował szczegółów. Skarpety nosił nie dość, że długie zamiast odsłaniających kostkę stópek, to jeszcze frotowe, co było przecież niedopuszczalne. Słuchawki wystające mu z kieszeni były czarne, a kubek ze Starbucksa trzymał akurat w taki sposób, że logo syrenki z jednej i z drugiej strony zakrywał palcami, ani trochę go nie eksponując. Gdy huknęła petarda, chłopak nie zareagował jak inni, tylko w pierwszej chwili spojrzał z przestrachem na kawę, potem na teczkę, wreszcie zaczął się nerwowo za kimś rozglądać. Myśl, że powinien się wtopić w tłum, dotarła do niego z wyraźnym opóźnieniem, ale przynajmniej się pojawiła.

Ordon się odwrócił. Wyjął z torby rashguard reprezentacji, trochę już przechodzony biały wariant koszulki z Euro 2012 z długim rękawem i numerem szesnaście na piersi. Podobnie jak ten Murzyn z opowieści Kotwicy, Ordon też cenił sobie Błaszczykowskiego. Lewandowski mógł sobie strzelać bramkę za bramką, ale póki nie zacznie wyglądać jak facet, nie ma u Ordona szans.

Zdjął bluzę i T-shirt, odsłaniając pełen blizn, ale wciąż całkiem nieźle wyrzeźbiony tors. Tylko nad brzuchem mógłby trochę popracować – wytatuowany na nim żubr wyglądał, jakby się wykrzywiał przed zwierciadłem w gabinecie krzywych luster.

– To już? Warszawa? – zapytał nieobecnym głosem Kotwica.

– Tak, możecie się zbierać – odparł Ordon.

Przyjrzał się chłopakowi z lekkim zaniepokojeniem. Trochę jednak przesadzili z tym mocnym wariantem Rodaka. Teraz te dzieciaki wyglądają jak naćpane. Ale lepsze to niż, jak z tymi pijanymi petardowcami, nie

dopilnować i pozwolić działać samopas. Teraz na pewno będzie o tym w wiadomościach. Dobrze, że to nie dzisiaj wypada godzina W.

Założył rashguard, obciągnął go na brzuchu i wyjętą z torby biało-czerwoną opaską zasłonił Owsiakowe serduszko na ramieniu. I tak nie byłoby go widać spod czerwonej dresowej bluzy, którą zakładał na wierzch, ale lepiej się w ten sposób czuł. Przejrzał się w lusterku, kilka razy uderzył się otwartą ręką w głowę, by zaczerwienieniem podkreślić wyblakłe tatuaże – po tym kurier mógł go rozpoznać, a im szybciej się obaj zidentyfikują, tym lepiej – i ruszył do wyjścia.

Akurat przelała się pierwsza fala wychodzących i na korytarzu zrobiło się luźniej. Gdy doszedł do drzwi, chcieli już wsiadać pierwsi pasażerowie do Białegostoku, ale stojący na schodku chłopak, dostrzegłszy starszego mężczyznę, cofnął się i przesunął, by zrobić mu miejsce.

– Dziękuję – wychrypiał Ordon.

Stanął na płycie peronu i rozejrzał się, ale w pierwszej chwili
nie dostrzegł wypatrzonego w przedziale dzieciaka. Może podszedł do którychś drzwi? Albo może to jednak nie był ten? Może to zwykły student z prowincji, który próbuje się wpisać w warszawskie trendy, ale jeszcze nie do końca umie. Tak, uznał Ordon, to też jest możliwe i dlatego najlepiej zająć miejsce w widocznym punkcie i tam zaczekać.

Stanął obok rozkładów jazdy, położył torbę na ziemi, zaplótł ręce na piersi i zaczął obserwować ludzi.

***

Z jakiegoś powodu przez labirynt Dworca Centralnego Gosię i Pawełka prowadził Zawisza. Na początku wyszło to dość naturalnie i sensownie, bo to on jako rosły mężczyzna pierwszy wyszedł z pociągu i utorował im drogę między podróżnymi aż do ruchomych schodów. Tam jednak przepuścił matkę z dzieckiem i stanął za nimi, więc powód, dla którego na górze znowu przyjął rolę przewodnika, nie był dla nikogo z nich do końca jasny; ale też żadne się nad tym specjalnie nie zastanawiało.

Chwilę stali przed Starbucksem, zastanawiając się, czy potrzebują pójść w prawo i przez Złote Tarasy na postój taksówek, czy też jest jakaś inna droga. Zawisza zapytał o to przechodnia, ale ten miał słuchawki w uszach i zupełnie nie zwrócił nań uwagi. Z kolei hostessa, która zaproponowała

Gosi próbkę smakową kawy Usawa (fair trade), na samo hasło „taksówka” skrzywiła się z niesmakiem.

– Powinna pani zamówić Ubera, taksówkarze to tylko zdzierają na turystach – stwierdziła.

Raz po raz łypała na Zawiszę. Jemu nie zaproponowała kawy, choć wytyczne względem tego, czy powinna, były dość sprzeczne. Z jednej strony, nie miała nią częstować kibiców, ale z drugiej, obcokrajowców otwartych na inne kultury – już owszem. Jak więc należało zaklasyfikować tego tutaj?

– Ubera zamówi pani przez apkę, wystarczy podpiąć kartę w telefonie, mogę pokazać.

– Chyba podziękuję – odparła nieco zmieszana Gosia. – Za kawę również. Już piłam.

– Ta kawa to z Afryki? – zapytał Pawełek, a gdy dziewczyna odpowiedziała twierdząco, zwrócił się do Zawiszy. – Pił pan tam taką, panie Czarny Zawiszo?

– Chyba nie miałem okazji – odparł z rozbawieniem Zawisza.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Wiedziałem, że to taka ściema. Idziemy?

Wtedy właśnie Zawisza przejął kontrolę, poszedł w lewo po schodkach i znowu w lewo, obok kiosku pełnego serników, toalety i cukierni Blikle. Szli miarowym krokiem, mijając podróżnych snujących się podziemiami w oczekiwaniu na pociąg niczym dusze w czyśćcu i żwawo slalomujących między nimi warszawiaków. Zawisza ciągnął teraz walizkę, której kółka szurały o płyty; buty Pawełka błyskały kolorowymi światełkami przy każdym kroku.

– Fajne to – zauważył Zawisza. – Te buty w sensie.

Chłopczyk wyprężył się z dumy.

– Tata mi je kupił, w Niemcach.

– Mówi się w Niemczech – poprawiła go mama. – I tak, faktycznie, to był wspaniały prezent, kochanie. Wcześniej jeszcze popiskiwały i wydawały inne dźwięki.

– Jak pierdy – z rozrzewnieniem napomknął chłopiec.

Zawisza się roześmiał.

– Uuu, to pewnie dałaś mu wtedy za to do wiwatu, co?

– Nie bardzo. – Wzruszyła ramionami. – Wtedy nie byliśmy już razem, Pawełek był tu u niego na wakacjach i… poczekasz chwilę? Wstąpię kupić

wodę.

– Jasne.

Przystanęli przy saloniku prasowym; Gosia weszła do środka, a Pawełek postanowił zostać z Zawiszą.

– Przyjechaliście tu do taty? – zapytał Czarny.

– Tak, ale mama mnie przywiozła i dzisiaj jedzie. Ja zostanę tutaj przez tydzień i pójdziemy z tatą do Centrum Kopernika. Był pan tam kiedyś, panie Czarny Zawiszo?

– Jeszcze się nie udało – odparł.

Chłopiec zmrużył oczy i zmarszczył czoło.

– Ale wiecie w Afryce, kto to jest Kopernik, prawda? – zapytał podejrzliwie.

Zawisza już miał odpowiedzieć, ale wtedy dostrzegł, że ktoś mu się przygląda.

Chudy, żylasty gość w kaszkiecie na pierwszy rzut oka nie sprawiał wrażenia niebezpiecznego ani w jakikolwiek sposób wyróżniającego się na tle wielu mu podobnych, ale instynkt, któremu Zawisza nauczył się ufać, podpowiadał mu, że coś jest z tym gościem bardzo, bardzo nie w porządku. Był trochę jak klaun, zabawny w sposobie ukrycia swojej prawdziwej, z pewnością niebezpiecznej i przerażającej natury za głupkowatą, groteskową fasadą.

– Poczekaj tu – powiedział Zawisza do Pawełka i zrobił krok w stronę tamtego.

Jeśli miał nadzieję, że go spłoszy, wystraszy, to srogo się zawiódł, bo gość w kaszkiecie jakby tylko na to czekał. Prześliznął się obok starszej pani ciągnącej za sobą torbę na wózku spiętą gumowymi wężykami i doskoczył do Zawiszy, zderzając się z nim w połowie drogi.

– Muszę przyznać, że nie wierzyłem, gdy mówili, że rozpoznam cię od razu – powiedział głosem drżącym od podekscytowania. – Ale wybrali cię jednak perfekcyjnie.

Zdumiony Zawisza podrapał się po głowie.

– My się znamy?

Facet w kaszkiecie potrząsnął głową.

– Ależ skąd, ależ skąd – odparł. – Właściwie powinniśmy się nawet bardziej nie znać, ty powinieneś mnie uderzyć i zabrać mi teczkę, a ja wezwać policję, tak żeby było bardziej przekonująco. Powinieneś.

– Dobra, spadaj. – Zawisza westchnął i odwrócił się na pięcie.

Przywykł już do takich akcji, do prób sprowokowania go, by komuś walnął, i wykazania dzięki temu, że czarni są agresywni. Jak choćby wtedy, gdy w Chorzowie na Wolności niby przypadkiem wytrącili mu z rąk trzy kebaby z rzędu. Co prawda ci, którzy zwykle to robili, nie nosili się jak ten tutaj i bynajmniej nie pachnieli kawą i karmelem, ale przecież nie szata zdobi prawdziwego fajfusa.

Gość w kaszkiecie jednak nie ustępował. Delikatnie, acz stanowczo klepnął Zawiszę w ramię, a ledwie ten się odwrócił, podał mu papierową teczkę.

– Idź, dokonaj rewolucji – powiedział, dosłownie wciskając mu teczkę w rękę, a potem nagle rzucił się do ucieczki.

– Ej, ty tam! – zawołał za nim zaskoczony Czarny, ale chłopak w kaszkiecie już wbił się między patrol sokistów, zakręcił się wokół tego grubszego, skręcił w lewo i wypadł przez przeszklone drzwi.

Zgromadzeni w tunelu ludzie przyglądali się tej sytuacji z nieskrywanym zdumieniem i konsternacją, niepewni, jak właściwie powinni zareagować. Najlepiej wyjaśnił to potem pan Henryk, wąsaty czterdziestoośmioletni kierownik jednego ze sklepów sieci Społem na Żoliborzu, gdy podczas wieczornej rozmowy z żoną relacjonował jej owo niecodzienne wydarzenie:

– Wyglądało to jak kradzież na wyrwę i już chciałem skakać, ale na litość boską, co można ukraść Murzynowi?!

***

Ordon spojrzał na zegarek i podrapał się za uchem. Coś było nie tak. Pociąg, którym tu przyjechał, odjechał dwie minuty temu, na multimedialnych pragotronach pojawiła się zapowiedź kolejnego, tym razem do Gdańska. Do jego odjazdu zostało jeszcze dziesięć minut – czy też nawet piętnaście, bo wyglądało na to, że skład będzie opóźniony – ale peronowa przestrzeń wypełniała się już podróżnymi objuczonymi torbami, plecakami, terkoczącymi walizkami na kółkach. W powietrzu zapach niedojedzonych kebabów mieszał się z wonią kawy, pączków z dziurką z Dunkin’ Donuts i wszystkiego, co tylko było do dorwania piętro wyżej.

Ordona zawsze zastanawiało, jak to jest, że ludzie nie mogą się już zadowolić przygotowaną w domu kanapką z szynką, jajkiem i kawałkiem ogórka. Że muszą przyjść tu na dworzec, wydać średnią krajową na

kanapkę i zeżreć ją, najlepiej jeszcze na peronie. Teraz jednak ludzie z kubkami ze Starbucksa, Costy czy obskurnego automatu byli najmniejszym z Ordonowych problemów. Nie było kuriera, kluczowego dla jego dzisiejszej wizyty.

Wtedy go dostrzegł. Wysoko, na górnej płycie, za przeszkloną barierką, przy której podróżni mogli oglądać perony, na wysokości saloniku prasowego Relay. Ten sam chłopaczek, na którego wcześniej zwrócił uwagę, dzieciak w kaszkiecie i z kubkiem kawy, a obok niego wielki Murzyn w barwach narodowych.

Pewnie ten, o którym mówili tamci, pomyślał Ordon, ale ledwie ta myśl przemknęła mu przez głowę, przegoniła ją następna.

– O kurwa – wypowiedział ją na głos. – On mu daje teczkę!

Zarzucił torbę na ramię i rzucił się biegiem ku schodom.

– Z drogi, kurwa, z drogi!

Wiedział, że nie powinien się tak zachowywać. W ogóle nie powinien, a już zwłaszcza nie w tym stroju, nie po incydencie z petardą, który miał miejsce przed chwilą i uczulił mundurowych szczególnie na przybywających do stolicy kibiców. Ale wiedział też, że to nie mógł być przypadek. Ten dzieciak przyszedł tutaj z teczką, czekał na kogoś, a potem zwyczajnie się pomylił. A może Murzyn był planem B na wypadek, gdyby Ordon zawiódł?

Nie, odrzucił tę myśl z równą łatwością, z jaką odepchnął na bok chłopaka w czarnym płaszczu i z ulizanymi na bok, farbowanymi na czarno włosami. Dzieciak był wysoki i przeraźliwie chudy; można było odnieść wrażenie, iż jedynym, co trzyma go przy ziemi, są ciężkie, sięgające kostki i zdecydowanie za duże buty. Odepchnięty niemal wyleciał przez barierkę schodów.

Ordon parł do przodu, wspinając się po dwa stopnie i rycząc niczym ranny lew na tych, którzy zastawiali przejście walizkami.

– Z drogi, kurwa!!

Tuż przed szczytem schodów jakiś napakowany chłystek w białej koszulce podkreślającej każdy starannie wyrzeźbiony mięsień odwrócił się, zagradzając Ordonowi drogę.

– Co się drze… – zaczął, ale resztę powietrza wyrzucił już mniej walecznie, zginając się wpół od ciosu w brzuch. Ordon i jego pchnął na bok, kopnął stojącą na schodku torbę, tak że wysypały się z niej słoiki

i próbne saszetki z waniliowym białkiem, po czym wypadł na korytarz akurat w porę, by zauważyć, jak dzieciak w kaszkiecie tańcuje z sokistami.

Pognał za nim, ale w stosownym momencie łypnął w lewo, by zobaczyć, czy w razie potrzeby zdąży jeszcze dogonić Murzyna. Nie chciał od razu uderzać do niego, bo przecież z jego wyglądem wzięto by to zaraz za rasistowski atak. Musiał mieć pewność, że ta teczka była przeznaczona dla niego, że to był właśnie kurier.

Wybiegł przez szklane drzwi, rozejrzał się i wiedziony przeczuciem ruszył po schodach w prawo. Nie zawiódł się. Dzieciak siedział na murku i dyszał ciężko, trzymając się za brzuch. Ordon, któremu bieg z torbą zafundował tylko lekką zadyszkę, znowu pokręcił głową nad kondycją pokolenia. Nie chcąc go przestraszyć, zwolnił i uspokoił oddech. Dopiero wtedy podszedł i położył tamtemu rękę na ramieniu. Szczeniak natychmiast się wyprężył i skierował na Ordona przerażony wzrok sarny uwięzionej w świetle reflektorów.

– Czego pan chce? – zapytał ni to hardo i chrapliwie, ni piskliwie, trochę jak spanikowany gruźlik.

Ordon wzruszył ramionami i uśmiechnął się paskudnie.

– Nie wiem, chcę czegoś? Przyjechałem tu z Wrocławia, ktoś miał na mnie czekać.

Kurier przez chwilę przyglądał mu się bez zrozumienia, ale nagle jego przestraszone oczy rozszerzyły się jeszcze mocniej.

– Ja… to znaczy oni… ja… Miał być charakterystyczny.

– Kurwa! – warknął Ordon. Czyli jednak miał rację od początku. Złapał dzieciaka za podbródek, uniósł do góry i ścisnął. – Siedź tu i ani się waż ruszyć, rozumiesz?

Chłopak spróbował skinąć głową, ale trzymany w żelaznym uścisku nie dał rady oswobodzić brody.

– Tttak – stęknął cicho.

– No!

Ordon puścił go, odwrócił się na pięcie i zbiegł po schodach. Ale gdy wrócił do podziemnego tunelu, Murzyna już nie było.

ROZDZIAŁ 3
SAWKA

Podczas całego zamieszania Gosia akurat stała przy kasie, ale gdy wyszła, nie uszła jej uwadze papierowa teczka w dłoni zdziwionego Zawiszy. Wskazała na nią butelką właśnie kupionej wody.

– Co to? – zapytała.

Powiódł wzrokiem za jej wskazaniem, przyjrzał się teczce, jakby dopiero teraz ją zobaczył, i wzruszył ramionami.

– Naprawdę nie wiem – odparł, po czym zdjął zarzucony na jedno ramię worek, rozwiązał go i wsunął teczkę do środka. – Możemy się zbierać?

Gosia chciała jeszcze o coś zapytać, ale po namyśle ugryzła się w język. Była wdzięczna, że miała towarzystwo i że ktoś pomagał jej pokonać podziemia tego dworca, w którym się gubiła, ilekroć tu przyjeżdżała. To, że uprzejmie pomagał jej z walizką, również nie pozostawało bez znaczenia. Nie zamierzała sprawiać wrażenia wścibskiej. Poza tym przecież miała Pawełka, który wszystko widział. Choć raz jego gadulstwo mogło się na coś przydać.

Wzięła syna za rękę i poprawiła ułożenie torebki.

– Tak, chodźmy – powiedziała.

Najbliższy zakręt pokonali łagodnie nachylonym podjazdem dla niepełnosprawnych, a potem schodami obok drogerii wyszli na zewnątrz. Z miejsca uderzyło ich ciepłe, suche powietrze i ściana ulicznych dźwięków. Ulica oddzielająca wypełniony po brzegi przydworcowy parking od deptaka wiodącego do przystanku Metro Centrum była całkowicie zakorkowana, podobnie jak ta szeroka, po prawej; Gosia nigdy nie była pewna, czy to są Aleje Jerozolimskie czy ulica Marszałkowska. Wiedziała, że obie są długie i szerokie i że krzyżują się gdzieś w centrum, tworząc miejsce jednoczące w nienawiści wszystkich kierowców. Ale ponieważ nie miała prawa jazdy, a samochodem była tu ostatni raz dwa lata temu z ojcem – po odbiór papierów rozwodowych – to jakoś nie mogła tego zapamiętać.

Kiedyś, zanim jeszcze Warszawa zaczęła jej się kojarzyć z byłym mężem, lubiła to miasto. Podobał jej się tak krytykowany przez wszystkich

Pałac Kultury. Lubiła wieżowce próbujące mu dorównać, widok Złotych Tarasów spływających deszczem i wielkie filmowe reklamy na budynkach ciągnących się wzdłuż ulicy. Dziś zamiast twarzy aktorów zobaczyła w tamtym miejscu reklamę patriotycznego energetyka Dumny Rodak – z idiotycznym hasłem „Miej energię na wrogów ojczyzny!” – ale nawet ona wkomponowywała się w budowlę w sposób iście nowojorski. No i jeszcze ten hotel za skrzyżowaniem. Wysoki, wręcz niebosiężny, elegancko nowoczesny. Czytała o nim w sieci, ludzie prychali, że to zwykła sieciówka, ale dla niej był ładniejszy niż pobliski Marriott.

– Musimy wam złapać taksówkę – powiedział Zawisza, lekko muskając jej ramię.

Podskoczyła nerwowo, zupełnie jakby poraził ją prądem, i znowu poczuła, że się czerwieni. Nie znosiła tego u siebie, tej nieśmiałości i tendencji do rumienienia się jak jabłuszko. Miała wrażenie, że okazuje tym światu słabość, pokazuje: „Hej, dawajcie, wyżyjcie się tutaj, ja jestem ta wrażliwa!”. Zaraz też przez głowę przemknęła jej myśl: czy czarni też się w jakiś sposób czerwienią?

– Poczekaj tutaj – poprosił Zawisza.

Zostawiwszy ją z Pawełkiem, walizką i własnym plecakiem, zszedł na ukos po stopniach do stojącej przy krawężniku taksówki. Zza otwartych na oścież drzwi astry wylewał się gruby mężczyzna w kraciastej koszuli tylko częściowo wsuniętej w szare portki i w słonecznych okularach na pół twarzy.

Gosia odkręciła butelkę i podała ją synowi, a gdy ten pokręcił głową, sama upiła łyk.

– Przepłacicie – usłyszała nagle za plecami kobiecy głos, lekko schrypnięty, zmysłowo niski; tak mogła mówić gwiazda przedwojennego kina, jedna z tych filmowych femme fatale z burzą loków na głowie i niedopałkiem papierosa w długiej, szklanej fifce.

Gdy się odwróciła, okazało się jednak, że głos należał do niewysokiej, drobnej brunetki w dżinsach, koszulce z Niemenem i z fryzurą na rozczochranego pazia. Na nosie miała fioletowe lenonki i faktycznie paliła, ale z kieszeni wystawała jej pomięta paczka długich marlboro, średnio nadających się do cienkich szklanych fifek.

– Przepraszam, mówiłaś coś? – zapytała Gosia.

Dziewczyna, wciąż patrząc przed siebie, lekko skinęła głową. Zaciągnęła się dymem, wstrzymała go w płucach i powoli wypuściła, zupełnie jakby

ćwiczyła oddech w szkole rodzenia, albo paliła coś zupełnie innego.

– Mówię, że przepłacicie – powiedziała, odwracając głowę w stronę Gosi. Brodą wskazała Zawiszę rozmawiającego już z taksówkarzem i znowu zaciągnęła się dymem. – Ty i twój facet.

– To nie jest mamy facet! – wtrącił się Pawełek. – To pan Czarny Zawisza jest i on…

– Dlaczego przepłacimy? – Gosia złapała syna za ramię i lekko ścisnęła, by się uciszył.

Dziewczyna nie odpowiedziała od razu. Raz jeszcze zaciągnęła się papierosem, po czym uniosła nogę i roztarła niedopałek o podeszwę buta. To, co zostało, wyrzuciła do pobliskiego kosza, po czym wytarła ręce w wyjętą z kieszeni haftowaną chusteczkę.

– Miasto jest nieprzejezdne – mruknęła basem, robiąc przy tym ponurą, nieprzyjemną minę. – Korki wszędzie, stoi się godzinami, na liczniku to się nikomu nie opłaca. Panu się nie opłaca, pani się nie opłaca, mnie się nie opłaci. Dokąd chcecie?

Pytanie zadała już bez robienia miny, normalnym głosem i dopiero wtedy Gosia zrozumiała, że wcześniej tylko parodiowała grubego taksówkarza z opla.

– Na Bolesława Prusa, to odnoga od placu Trzech…

– Trzech Krzyży, wiem. – Dziewczyna uśmiechnęła się, by zaraz znowu przybrać ponurą minę symbolizującą grubasa. – Pani, to niby niedaleko, ale w takich warunkach, to czterdzieści złotych będzie bez licznika. A z nim to i pewnie ze dwa razy tyle. Każdy to pani powie. Nikt taniej nie pojedzie.

Wyprostowała się, lewą rękę wsadziła do kieszeni, prawą wyciągnęła do Gosi.

– Aniela, ale wszyscy mówią na mnie Sawka.

– Gosia.

Uścisnęły sobie dłonie.

– Na długo do Warszawy? – zapytała Sawka. – A do Prusa to w sumie chyba teraz najlepiej będzie tramwajami. Praktycznie czymkolwiek do ronda de Gaulle’a, tego z palmą, a potem to się albo przesiądziesz w autobus i podjedziesz przystanek, albo spacerkiem. Pogodna ładna, daleko nie masz…

Gosia pokiwała głową, choć niespecjalnie uśmiechało jej się teraz gniecenie się w zatłoczonym, dusznym i śmierdzącym tramwaju, w dodatku z walizką i z Pawełkiem do pilnowania.

– Zobaczymy, co powie złotówa – zawyrokowała.

– Jasne. – Sawka znowu wyjęła chusteczkę i tym razem przejechała nią po karku i dekolcie. – Straszny upał dziś, nie? A zapowiadają, że jutro będzie jeszcze gorzej, zwłaszcza w Warszawie. Zważywszy na to, co się szykuje, chyba nie można sobie wymarzyć gorszej pogody.

– Masz na myśli mecz? – zapytała Gosia.

Kątem oka dostrzegła, że Zawisza już wraca, ale jakoś niespiesznie. Na pewno nie tempem kogoś, kto właśnie odpalił taksometr. Kierowca też nie schował nogi ani nie odłożył rozłożonej gazety. Czyli faktycznie, pomyślała, dziewczyna mogła mieć rację.

– Mam na myśli mecz, Masę Krytyczną przez centrum miasta, bo to przecież ostatni piątek miesiąca, przemarsz kibiców i jeszcze jakiś piknik pamięci Wyklętych na Polu Mokotowskim – wyjaśniła Sawka. – Będzie się działo jutro i tylko jeździć przez to nie sposób.

– Sporo wiesz – przyznała z uznaniem Gosia.

Sawka wzruszyła ramionami.

– Jeżdżę – odparła, po czym zwróciła się do Zawiszy, który właśnie wszedł w zasięg głosu. – I jak tam? Dwie dyszki za trzaśnięcie drzwiami?

Jeśli Murzyna zaskoczyło, że dziewczyna zagaduje doń jak do starego znajomego, nie dał tego po sobie poznać.

– Czterdzieści w obrębie ścisłego centrum, stówka, jak gdzieś dalej – powiedział. – Mówi, że korki, że nikt taniej nie pojedzie i…

– Każdy powie to samo – wyrzekły obie równocześnie, po czym parsknęły śmiechem.

Zawisza posłał pytające spojrzenie Pawełkowi, ale ten tylko przewrócił oczami.

– Kobiety – powiedział tonem znawcy.

– Wszyscy jedziecie na tego Prusa? – zapytała w końcu Sawka.

– Ja nie – odparł Zawisza i wyjął z kieszeni portfel. Przerzucił kilka przegródek, wysunął złożoną na cztery kartkę z hotelową rezerwacją i odszukał adres. – Ja na Zagórną.

Sawka skubnęła się w ucho, marszcząc drobny nosek i ewidentnie coś rozważając. Wreszcie dopchnęła wystającą z kieszeni paczkę papierosów, podciągnęła zsuwające się spodnie i postąpiła krok do przodu.

– To niemal po drodze. Chodźcie, zabiorę was – powiedziała. – Za dwie dyszki będzie OK?

Gosia i Zawisza wymienili spojrzenia.

– Jesteś tym, no, ubuntu?

– Raczej Uberem – zaśmiała się Sawka. – A tak serio, to jeżdżę na taryfie, jak tamci. Tylko uczciwie. To co, mam iść po wóz? U mnie licznik pracuje, ale gwarantuję, że drożej jak dwie dyszki nie wyjdzie.

Znowu wymienili spojrzenia. Gosia skinęła lekko głową.

– Niech będzie – powiedział Zawisza.

– To zaczekajcie tutaj.

Zgrabnie zbiegła po schodach, przepuściła sunący uliczką samochód i niemal zniknęła w gąszczu zaparkowanych aut. Nie minęły dwie minuty, a przy krawężniku zatrzymała się lśniąca czernią zabytkowa warszawa z eleganckim, zdobionym kogutem z napisem „Taxi” i numerem bocznym złożonym z dwóch trzynastek. Sawka otworzyła drzwi i wychyliła się nad dach.

– No to już, wskakujcie! – zawołała.

Zawisza podniósł walizkę i plecak, Gosia wzięła za rękę Pawełka.

– Ładny samochód – stwierdziła, gdy sadzała chłopca w środku.

– Się wie – odparła z dumą Sawka. – To mojego dziadka. Za wyjątkiem okupacji całe życie w tym mieście na taryfie jeździł.

– Dziwnie tu pachnie. – Pawełek pociągnął nosem. – Ale miękka kanapa.

Zawisza uporał się z bagażami, obszedł samochód i zajął miejsce obok kierowcy. Sawka włączyła licznik.

– To co, gotowi?

– Tak! – zawołał Pawełek.

Sawka włączyła kierunkowskaz i powoli, ostrożnie włączyła się do ruchu. Wiedziała, że to miejsce, pełne pieszych z walizkami, kierowców „tylko na minutkę” i aroganckich taksiarzy, wymaga szczególnej ostrożności, dlatego skupiona na drodze nie zauważyła mężczyzny, który wypadł właśnie z podziemia i nerwowo się rozglądał, by w pewnym momencie zawiesić na dłużej wzrok na jej samochodzie.

Nie widziała, jak facet rzuca na ziemię sportową torbę, klepie się po kieszeniach, aż w końcu znajduje bilet i ołówek, po czym zapisuje jej numer rejestracyjny i boczny.

***

Gdy niespełna dziesięć minut później zatrzymali się na parkingu vis-à-vis hotelu Sheraton, licznik wskazywał trzynaście osiemdziesiąt, a dorośli

pasażerowie byli wyraźnie pod wrażeniem.

– Nieźle znasz to miasto – przyznała Gosia. – Te wszystkie uliczki, zaułki…

Sawka wzruszyła ramionami, gdyż nie uważała tego za jakieś specjalne osiągnięcie.

– Najtrudniej w pewnym momencie przebić się przez Marszałkowską, ale jak już to zrobić, to reszta idzie jak z płatka. To jak, kochani, mam tu zaczekać, aż pan Czekoladka pomoże wam z bagażami, czy dacie sobie radę?

Gosia nerwowo zerknęła na Zawiszę, niepewna, jak zareaguje na przezwisko, ale on tylko się uśmiechnął.

– Słuszne pytanie – zauważył. – Mogę pomóc, jakby trzeba było. Albo możemy zaczekać, na wypadek gdyby…

– Nie trzeba – weszła mu w zdanie Gosia. Czuła się trochę niezręcznie w tej sytuacji i nagle zapragnęła jak najszybciej opuścić taksówkę. Szarpnęła za klamkę, raz, drugi…

– Tam jest taki… o właśnie, świetnie.

– Dzięki.

Gosia prawie wypadła z samochodu, ale złapała równowagę, wyprostowała się, obciągnęła bluzkę i przeszła na tył pojazdu. Wyjęła z bagażnika walizkę i już miała wrócić po Pawełka, gdy nagle wyrósł przed nią Zawisza. W ręku trzymał wizytówkę, na której pod zaplecionymi literami Z i C znajdował się numer telefonu.

– Ja wiem, że możesz nie chcieć, że ci niezręcznie i cokolwiek tam sobie wymyślisz – powiedział. – Ale jakbyś potrzebowała albo po prostu chciała umówić się na kawę, to poza czasem jutrzejszego meczu jestem do dyspozycji. Chętnie bym tu gdzieś z kimś wyskoczył.

Zawahała się, ale wzięła kartonik. Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

– Dziękuję – powiedziała nagle łamiącym się głosem. Z całej siły musiała się powstrzymać, by nie powiedzieć temu dopiero co poznanemu czarnoskóremu facetowi, że wchodzi tam na górę tylko na niezręczną chwilę, że czeka ją tam nieprzyjemna rozmowa z byłym mężem i jego aktualną, a potem, gdy już zostawi Pawełka, ma właściwie cały tydzień dla siebie. I tak wzięła w pracy wolne, wcale nie musi wracać, a tu mogłaby… – Naprawdę dziękuję.

Schowała wizytówkę do portfela i zawołała Pawełka. Ten wysiadł z wyraźnym ociąganiem, a potem ni stąd, ni zowąd przytulił się do wielkiej nogi Zawiszy.

– Będę za panem tęsknił, panie Czarny Zawiszo – powiedział. – Możemy sobie zrobić zdjęcie? Takie, wie pan, czarnobiałe.

Zawisza parsknął śmiechem i przykucnął, obejmując chłopca w pasie. Zapozowali do telefonu Gosi, a potem uściskali się mocno.

– Do zobaczenia, panie Czarny Zawiszo.

– Do zobaczenia, Pawle, co nie lubi szpinaku.

Skinął głową Gośce, a potem, zanim wsiadł z powrotem do taksówki, patrzył jeszcze chwilę, jak odchodzą. Chłopczyk się obejrzał. Jego matka nie.

***

Świtoń, jak mu kazano, siedział na murku i gapił się na śmigające to w jedną, to w drugą stronę tramwaje. Patrzył na ludzi stojących w środku kolejnych siódemek, dziewiątek czy dwudziestek czwórek. Przyglądał się, jak rozmawiali zawieszeni na uchwytach, kołysząc się nad głowami tych, którym udało się zająć miejsce siedzące. Nad czytającymi, grającymi w gierki na komórce, przewijającymi fejsa.

Zwykli ludzie i ich zwykłe sprawy, myślał Świtoń i trochę im zazdrościł tej szarości i zwyczajności. Małości. Tego, że żaden z nich, podróżujących teraz na Pragę czy Wolę, stojących czy siedzących, nie miał dla kraju większego znaczenia. On sam miał. I najwyraźniej właśnie skrewił.

Siedział, obejmując się rękami, z głową w śmiesznym kaszkiecie wtuloną w ramiona. Parę minut temu minęła go grupka kibiców, dzielnych, silnych chłopaków na schwał, w koszulkach przyrzekających wrogom ojczyzny, co im należne, i deklarujących pamięć o czynie powstańczym. Nieśli piwo i Dumnego Rodaka w naciągniętych reklamówkach. Na widok Świtonia jeden splunął, a drugi zwyzywał go od zapłakanych pedałów.

– Wyruchał w dupę i zostawił, co? – drwił trzeci. – Obiecał chociaż, że zadzwoni?

Świtoń nie skomentował, choć drgnął, a palce same zacisnęły się w pięści. Wiedział jednak, że nawet teraz, gdy się wsypał, musi trzymać przykrywkę do końca. Musi być mięczakiem w rurkach, cholernym uchodźcofilem, którego wzrusza tania, antypolska propaganda, a waleczny

jest tylko na feju. Przecież, gdyby był teraz na miejscu tamtych, sam by się zwyzywał. A kto wie, może i jebnąłby profilaktycznie? W otoczeniu marszałka Piłsudskiego pedałów nie było, bo ten zawsze wiedział, co się jego ludziom pod czaszkami roi, i jak było trzeba, umiał profilaktycznie zajebać. A teraz?

Na przystanek podjechała kolejna dziewiątka na Pragę, tym razem wypełniona przede wszystkim wesołymi kibicami reprezentacji Hiszpanii. Coś tam się śmiali, dokazywali i pewnie wszyscy jechali teraz na Nowy Świat zalać okoliczne knajpki niczym szwedzki potop, podrywać polskie dziewuchy na te swoje lewackie eurosy i ogólnie świetnie się bawić. Jakby zupełnie się nie przejmowali powagą jutrzejszego meczu. I tym, jak dostaną w dupę, gdy już raz się zderzą z Pazdanem, a łysy powie im, jak ten dziadyga z filmu o pierścieniu i kurduplach: „Nie przejdziecie, hiszpańskie chuje!”. A potem to już pójdzie: Błaszczyk, Lewy, może Milik, bo choć ostatnio sporo partaczył, to jednak Świtoń wciąż w niego wierzył, a potem…

Zdał sobie sprawę, że się ekscytuje i cieszy, i z miejsca zrobiło mu się głupio. Przecież właśnie zawiódł Ojczyznę. Kto wie, może w sprawie większej nawet niż ten mecz? Reprezentacja była w grupie wysoko, mecz z Hiszpanią był ważny, ale przecież nie stanowił być albo nie być. Za to ta sprawa z teczką mogła.

Ciekawe, myślał Świtoń, czy Hans Kloss też kiedyś zawiódł, tak na maksa. Co wtedy zrobił, jak wybrnął? Jak zmieniła się jego pozycja w podziemiu, czy dali mu jeszcze jedną szansę? Postanowił sobie, że gdy już cała sprawa się skończy, weźmie od ojca kasety i magnetowid i obejrzy cały serial jeszcze raz, na spokojnie, tym razem jakby to był instruktaż.

Ledwie ta myśl przyszła mu do głowy, w przejściu pojawił się ten stary gość, prawdziwy kurier. Wyglądał na jeszcze bardziej podkurwionego niż wcześniej, co mogło świadczyć o tym, że raczej nie dorwał czarnucha w porę. Świtoń z rosnącą gulą w gardle gapił się na tę jego czerwoną glacę. Na siwą szczecinę porastającą ją z góry, co wyglądało, jakby ksiądz się trochę zapomniał w Popielec. Na sine, wyblakłe, ale odcinające się teraz na tle czerwieni tatuaże, przedstawiające dodatkowe twarze z tyłu i po bokach głowy. Ciekawe, czy też wyglądały na tak wkurwione jak ta właściwa?

Gdy facet był już prawie na samej górze, Świtoń zeskoczył z murka, obciągnął marynarkę i poprawił kaszkiet.

– Ja naprawdę nie chciałem, proszę pana.

Chciał zabrzmieć rzeczowo, zabrzmiał jak nadepnięta psia zabawka. Przełknął ślinę i spróbował jeszcze raz:

– Złe instrukcje dostałem i…

– Kto ci to dał? – Kurier stanął tuż przed nim i spojrzał mu prosto w twarz. Coś miał z oczami, a jego oddech przywodził na myśl dawno niewietrzony pokój, w którym kluczowym meblem jest stara szafa pełna płaszczy, futer i kulek na mole. – Kto dał ci teczkę?

Świtoń przełknął ślinę i odruchowo się rozejrzał. Dostrzegł, że parę osób im się przygląda, część ma zbulwersowane miny, ktoś nawet szykuje się do zrobienia zdjęcia. Zasłonił twarz dłonią.

– Ja nie mogę powiedzieć. Konspiracja…

– Kto? – Drzwi szafy w niewietrzonym pokoju uchyliły się lekko, a z ciemności w jej wnętrzu wyłoniła się najpierw pazurzasta łapa, a potem błysnęły dwa żółte ślepia. – Kto, do kurwy nędzy?!

– MaMaMariacki, proszę pana.

Kurier podrapał się wierzchem dłoni po zarośniętym policzku.

– Wiesz, gdzie mieszka?

Świtoń zawahał się, ale w końcu pokiwał głową. W zasadzie to wiedział, był u Mariackiego parę razy, meble kiedyś wnosili, malowali gwiazdę Dawida na drzwiach sąsiada, młodego finansisty. Ech, stare dobre czasy…

– Tylko że go teraz może nie być, bo po dzieci do przedszkola na Młociny pojechał. Trochę mu zajmie, bo on na Żoliborzu…

– Wóz kołuj – warknął kurier. – I telefon mi daj, jak masz internet, muszę coś sprawdzić.

– Jasne, szefie.

Świtoń, mimo najszczerszych chęci, nie potrafił nie okazywać ulgi, jaką właśnie poczuł. Jeszcze go nie skreślili. Jeszcze mógł zostać bohaterem podziemia. Wyciągnął z kieszeni nowego iPhone’a kupionego od Cygana z magazynu na Rakowcu specjalnie na tę akcję i podał go mężczyźnie. Tamten wziął go trochę tak, jakby miał dotknąć zwierzęce truchło, ale gdy zaczął klikać, widać było, że wie, co robi.

– A tak przy okazji, szefie – odważył się po chwili chłopak – skoro już się znaleźliśmy, to Świtoń jestem.

Wyciągnął rękę i czekał z walącym sercem.

Tamten na chwilę przestał klikać, powoli podniósł głowę i przyjrzał się uważnie jego twarzy.

– Bądź pewien, że zapamiętam.

ROZDZIAŁ 4

MIASTO MOJE, A W NIM…

Wszyscy, którzy go znali, twierdzili, że Fido ma dobre serce. Często, jak jego wychowawczyni w gimnazjum, uzupełniali tę wypowiedź stwierdzeniem, że za to rozumu za grosz. Empatii jednak – gdyby tylko ktoś z bliskich Fido znał to słowo – nie sposób mu było odmówić.

Zawsze, nawet gdy się śpieszył, trzymał drzwi windy dla pani Kownackiej, a potem grzecznie i uprzejmie odpowiadał jej na pytania, co w szkole i jak rodzice. Z miseczek, które pan Gierocki wystawiał dla osiedlowych kotów, każdego rana wybierał granulki trucizny; nieodmiennie był też pierwszym ochotnikiem, gdy na słupach pojawiły się ogłoszenia o zaginionym psie, którego trzeba znaleźć. To Fido zrobił osiedlowym dzieciakom huśtawkę z deski i liny, on też puszczał im z boomboksa pierwsze rapsy, zwłaszcza te autorstwa lokalnych nawijaczy, by od maleńkości smarki były dumne z Żoliborza. Uważał, że takie poczucie wspólnoty jest ważne, choć nie był w tej kwestii radykałem. Lubił ludzi niezależnie od tego, gdzie się urodzili – nawet poza Warszawą.

Tego dnia również, choć wstał bardzo wcześnie, a roboty miał po późny wieczór, Fida ani na chwilę nie opuszczały pogoda ducha czy przyjazne usposobienie. Właściwie dlaczego miałby je tracić? Lubił swoją pracę, nienormowane godziny i to, że nigdy nie brakowało mu zleceń. Lubił to, że w dni jak dzisiaj mógł sobie po prostu spacerować z rękami w kieszeniach, pogwizdywać i przyglądać się ludziom i ich codziennym sprawom.

A jeśli jeszcze przy okazji mógł zrobić coś miłego, to czemu nie? Przecież przytrzymanie drabiny facetowi malującemu balkon nie kosztowało go nic a nic. Podobnie jak pomoc w odblokowaniu roweru miejskiego, który mimo wpisania kodu i potwierdzenia przez aplikację za nic nie chciał się dać wypiąć. Ludzie mówią czasem, że czyniliby dobro, gdyby mieli tylko trochę więcej czasu, ale Fido z każdą chwilą udowadniał tym cynikom, że spokojnie można być sumiennym pracownikiem realizującym i sto pięćdziesiąt procent dziennej normy, a do tego po prostu uczynnym wobec bliźnich.

W chwili, gdy taksówka Sawki ruszała spod bloku na Prusa, a Ordon ze Świtoniem wsiadali do skołowanego wozu, by wybrać się pod dom Mariackiego, Fido stał wsparty o parkan kościoła pod wezwaniem świętego Stanisława Kostki na rogu Felińskiego i Krasińskiego. Zapijał kupionego w pobliskiej cukierni eklera blackiem bez cukru. Kończył już i miał się zbierać z powrotem do roboty, gdy nagle usłyszał miły, acz nieco zdyszany kobiecy głos, skierowany niewątpliwie do niego.

– Przepraszam pana bardzo. Mógłby mi pan pomóc?

Obejrzał się i dostrzegł kobietę, na oko po czterdziestce. Elegancka, zadbana, w szarej garsonce i butach na wysokim obcasie, targała ozdobne pudło tak wielkie, że prawie przysłaniało jej lekko zmrużone oczy. Błagalnie wpatrywała się w Fida.

– Jasne.

Chłopak błyskawicznie odstawił puszkę na chodnik, doskoczył do kobiety i przejął pudło. Nie było specjalnie ciężkie, ale faktycznie wyjątkowo nieporęczne. Wyglądało na kupione w pobliskim Empiku, mogło zawierać książki, albo – zważywszy na porę roku – zawczasu kupione podręczniki i przybory szkolne.

– Gdzie niesiemy?

– O tutaj. – Kobieta wskazała ręką długi, wąski parking, wyspę pomiędzy pasami ruchu. – Ta srebrna xsara picasso, o tam. Bardzo panu dziękuję, naprawdę ratuje mi pan życie.

– Żaden problem, proszę pani – odparł Fido pogodnie. – Duże zakupy.

– To do szkoły – wyjaśniła kobieta. Poprowadziła go najpierw na skos przez ulicę, a potem pomiędzy samochodami rozdzielonymi większym odstępem. – Pracuję w podstawówce i… uwaga, tu jest płotek.

Fido trochę na wyczucie zrobił duży krok, a potem ustawił się bokiem i uniósł pudło wyżej, by przecisnąć się między starą felicią i nieco wygniecionym golfem.

– Kupiłam już do klasy trochę zeszytów, bloków i kredek – mówiła dalej kobieta. – Idzie kolejna nieprzemyślana reforma, ale to są akurat rzeczy potrzebne zawsze, a mąż dostał w firmie jakąś dużą zniżkę, kupon taki, i nie mieli co z tym zrobić. No to się dogadałam z dyrekcją i wzięłam na ra… O mój Boże!

Przystanęła i zasłoniła usta dłońmi. Zrobiła to tak nagle, że tylko dzięki swojej wrodzonej gracji Fido na nią nie wpadł.

– Zapomniała pani rachunku, co? – Zaśmiał się.

– Tak, o mój Boże, jaka jestem głupia. Chwileczkę… – Nacisnęła przycisk pilota i rodzinny citroën łypnął światłami. Szybko otworzyła bagażnik. – Proszę, niech pan tu postawi, o właśnie tak. Bardzo, bardzo panu dziękuję.

– Spokojna głowa, niech pani leci. – Fido stuknął palcami w czoło w parodii salutu. – Proszę mi jeszcze tylko powiedzieć, która podstawówka ma taką fajną nauczycielkę.

Kobieta zaczerwieniła się lekko.

– Imienia Verne’a, na Marymonckiej.

– Super sprawa! Będę polecał i… Nie, proszę się nie wygłupiać, nie chcę pieniędzy. No już, niech pani leci po ten rachunek. Miłego dnia.

Patrzył, jak kobieta oddala się przez parking, sadząc niewiarygodne susy w tych swoich szpilkach. Nawet nie zamknęła samochodu, pomyślał. Musi być wyjątkowo roztrzepana. Zastanawiał się nawet przez chwilę, czy nie poczekać tu na nią, by jej o tym powiedzieć, ale choć nigdy nie był jakoś wyjątkowo lotny, doszedł do wniosku, że prawdopodobieństwo znalezienia się na jednym parkingu dwóch złodziei samochodów jest naprawdę bliskie zera. A on musiał się brać do pracy.

– Duże, masywne, duże, masywne – powtórzył kilka razy, rozglądając się wokoło.

Takie właśnie dostał zamówienie – na możliwie największą liczbę dużych, masywnych aut, świeżych, czyli koniecznie zwiniętych dzisiaj i dostarczonych pilnie na Mokotów. Fucha jak marzenie, najlepsza, jaka mogła się trafić takiemu jak on, co nikogo jednak nie powinno dziwić, bo przecież karma wraca.

Akurat, gdy o tym pomyślał, na parking wjechał czarny SUV Mitsubishi i zatrzymał się na jedynym wolnym miejscu – naprzeciwko srebrnego, rodzinnego citroëna.

***

W przeciwieństwie do Fida, któremu świat wokoło zdawał się nieustannie sprzyjać, siedzącemu za biurkiem przeszklonego biurowca, umęczonemu życiem Maksymilianowi Kwibodzkiemu rzeczywistość wyraźnie pokazywała faka. I to nie tylko tego konkretnego dnia, ale od co najmniej dwóch miesięcy, a ściślej od momentu, gdy zdecydował się zrezygnować z kawy.

Wcześniej wiodło mu się raz lepiej, raz gorzej, ale nie mógł narzekać, bo wielu chciałoby się znaleźć na jego miejscu. Chłopak z prowincji, małych Krapkowic, nawet mieszkańcom Opolszczyzny znanych niemal wyłącznie ze zjazdu z autostrady A4. Udało mu się skończyć studia w Krakowie, a potem płynnie zdryfował w stronę Warszawy. Staż – bezpłatny, potem płatny – wielka szansa w niewielkim start-upie, a potem propozycja pracy w korporacji na podobnym stanowisku, ale za większe pieniądze i z fajnym socjalem. Na przykład, gdyby miał kiedyś dziecko, co przecież planował mimo chwilowego braku partnerki, firma oferowała mu żłobek i przedszkole. Na razie miał do dyspozycji kartę Multisport, kartę Medicover i telefon służbowy z nieograniczonymi minutami i SMS-ami, internet i dwie platformy VOD. Żyć nie umierać.

Za te wszystkie wygody odpłacał firmie na trzy sposoby. Po pierwsze, samą pracą i umiejętnościami, co było dość oczywiste. Po drugie, kompletnym brakiem czasu wolnego, co również nie stanowiło aż tak wielkiego problemu, bo odkąd pamiętał, nie miał zainteresowań. Wreszcie po trzecie, zdrowiem. Kiedy pewnego dnia zorientował się podczas porannego briefingu, że kolegów słyszy z pogłosem, ich samych widzi lekko rozmytych, a do tego trzęsło nim, jakby dostał gorączki, uznał, że pora się za siebie wziąć. Zaczął od rzucenia kawy.

Tłumaczył to sobie całkiem rozsądnie. Akurat ich firma negocjowała z koncernem Palmolive odkupienie marki kosmetyków Teen Spirit. Rozmowy właściwie miały się już ku końcowi, więc za porozumieniem stron zlecono wyłonienie zawczasu agencji reklamowej mającej się zajmować produktem. Podstawowym nasuwającym się pytaniem było to, czy firma powinna się w jakiś sposób odwołać do piosenki zespołu Nirvana i tym samym zdobyć większy zasięg, czy jednak brać pod uwagę, że utwór dość mocno uderzał w przywracaną teraz na rynek markę, i nie budować jej na kontrowersji.

Sam Maksymilian, jak przystało na pracownika niższego szczebla korporacji, nie fatygował się nawet kształtowaniem w tej kwestii własnego zdania, boleśnie świadom, że i tak przyjdzie mu nie tylko prezentować w rozmowach cudze poglądy z żarliwością godną religijnego neofity, lecz także zmienić je kilka razy po drodze, ku bezsilnej wściekłości kreatywnych pracowników agencji. Cała sytuacja sprzyjała oczywiście nerwowym nadgodzinom, nadgodziny sprzyjały kawie, kawa sprzyjała

nerwowości. Zatem z obawy przed podzieleniem losu coraz liczniejszej grupy trzydziestoletnich zawałowców Maks rzucił kawę.

Już od początku było źle. Przez pierwsze dwa tygodnie każdego ranka, gdy wstawał o czwartej trzydzieści, a potem, półśpiąc, parzył sobie herbatę do jajecznicy z kromką wieloziarnistego chleba, wmawiał sobie, że to minie, że się przyzwyczai. Będzie pił więcej wody z magnezem, kładł się spać możliwie wcześnie, ograniczy dodatkowe bodźce. No i wykorzysta część przerwy na lunch, by poćwiczyć.

Potem poszedł sam ze sobą na kompromis i uznał, że będzie wstawał czterdzieści pięć minut później. To nadal pozwalało mu zdążyć na czas, a perspektywa ciśnięcia się w tramwaju jadącym w kierunku Mordoru, choć straszna, wydawała się jednak do zniesienia. W końcu tylu ludzi daje radę. Co rano gniotą się jak sardynki w puszce, ale wystarczy godzina w firmie i już nie ma śladu, jakby się tam na miejscu prasowali,
odświeżali i pompowali entuzjazmem. Zresztą nie było to znów tak bardzo nieprawdopodobne, wszak nawet u niego w firmie były prysznice i pokoje relaksu z deskami do prasowania. A Unilever instalował ostatnio jakieś urządzenia na dachu. Może dmuchawy szczęścia?

Mordor. Kiedyś bawiła go ta nazwa miasteczka biznesowego na Domaniewskiej. Jak wszyscy szerował na fejsie tablicę z tym napisem, wrzucał kolegom na ściany fotoszopki z ich twarzami wkomponowanymi w masywne, szkaradne ciała Uruk-hai. A potem, gdy zrozumiał, jak bardzo adekwatne jest to określenie, przestał się śmiać.

Ostatecznie jednak do jeżdżenia przepełnionymi tramwajami prawie się przekonał. Ciasno, śmierdziało niemytymi zębami i ogólnie było niewygodnie, ale uznał, że w gruncie rzeczy fajnie coś dzielić z innymi, nawet jeśli to szarość korporacyjnego pracownika. Ale nawet wtedy, gdy wreszcie, być może po raz pierwszy w życiu, Maks poczuł się częścią większej wspólnoty, los zagrał mu na nosie.

Na przystankach i w drodze do biura pojawiły się śliczne, zawsze uśmiechnięte hostessy oferujące każdemu filiżankę kawy Usawa (fair trade) – smaku przebudzenia na dobry początek dnia. Każdemu, kto brał od nich plastikowy kubeczek, dziewczyny o ślicznych karminowych ustach dosładzały napój przepięknym uśmiechem. Każdego, kto im odmawiał, traktowały wyrozumiałym, ale jednak smutnym i zawiedzionym: och! Maksymilian kolekcjonował te ochy niczym kamyczki na plaży chowane do kieszeni spodni podczas ostatniego spaceru przed wyjazdem do domu.

I z każdym kolejnym czuł, jak i w sercu, i w spodniach robi mu się coraz ciężej.

***

W budynku, w którym mieszkał Mirek, kiedyś była winda. Choć na drzwiach na parterze wciąż wisiała naddarta, wypłowiała kartka z informacją, że dźwig jest w remoncie i mieszkańców uprasza się o cierpliwość, to stracono nadzieję na tyle, że ktoś, zapewne w trosce o zdrowie i życie dzieci, zaspawał wszystkie wejścia.

Gośka wiedziała o tym, pamiętała swoje rozczarowanie z poprzednich wizyt, ale w żaden sposób nie powstrzymało jej to przed ciężkim westchnieniem na widok srebrnych spawów i zalepionego taśmą guzika przywołania. Mirek mieszkał na trzecim piętrze i oczywiście nie było mowy, by schodził tu i pomagał jej z walizką ich syna.

– Myślisz, że tata pozwoli mi pograć na konsoli? – zapytał Pawełek, gdy pokonywali kolejne piętra.

Trzeba mu przyznać, że próbował wspierać mamę; pchał rączki do uchwytu, chwytał za krawędź walizki. Więcej z tego było szkody niż pożytku, ale nie umiała mu tego powiedzieć. Wzruszało ją, że jest taki uczynny.

– Nie wiem, co będziecie robić z tatą, kochanie – powiedziała. – Mam jednak nadzieję, że nie będzie ci znowu pokazywał takich filmów jak ostatnio.

Pawełkowi zaświeciły się oczy, ale też jednocześnie trochę się w sobie skulił.

– Crittersy są fajne, mamo. Takie kudłate jajka dinozaurów z zębami, i one…

– Wiem, co one – sapnęła. – Wiem też, od kiedy zacząłeś zawijać stopy w kołdrę i nie pozwalasz, by choć paluszek dłoni zwisał za krawędź łóżka.

Stanęła na półpiętrze i otarła pot z czoła. Walizka nie była szczególnie ciężka, ale na klatce schodowej było jeszcze cieplej niż na zewnątrz, a poza tym ciągnęło zatęchłą wilgocią. Poczuła się źle na myśl o tym, że stanie przed tą Mirkową siksą jako spocona mysz. I zaraz zrobiło jej się jeszcze gorzej, gdy uzmysłowiła sobie, że akurat to stanowiło dla niej największy problem. Co pomyśli obca jej kobieta, aktualnie sypiająca z człowiekiem, z którym ona sama kilka lat temu się rozwiodła. No co za bzdura!

Nie potrafiła jednak skierować swoich myśli na inny tor. Zdobywając kolejne półpiętro, złapała się na tym, że rozważa, jak by to było, gdyby weszła na górę pod rękę z Zawiszą. Jak zareagowałby Mirek? Czy odważyłby się rzucić jednym z tych tekstów, którymi tak błyskał, oglądając nocami mecze NBA? O tym, że małpom trzeba dać się wyskakać? A ona? Ta jego, jak jej było, Anka, Agata… Czy jej też przemknęłyby przez głowę jakieś szczególne stereotypy o czarnych? Czy utrzymałaby wzrok wysoko, a może trzeba by jej zwrócić uwagę, gdzie Zawisza ma oczy? Czy…

– Dość – sapnęła cicho.

Pawełek zadarł głowę i przyjrzał się jej z powagą i niepokojem.

– Nie masz już siły? – zapytał. – Iść po tatę?

– Nie, spokojnie, synku. Znaczy tak, możesz już iść, a ja zaraz do was dojdę, dobra?

– Jesteś pewna?

– Tak, leć. Zaraz przyjdę, tylko… No leć. Tata na pewno coś dla ciebie ma.

Ten ostatni argument go przekonał. Chłopiec pokiwał głową i ruszył w górę, ale, co stwierdziła z wyraźnym wzruszeniem, rozlewającym się ciepłem w matczynym sercu, nie szedł szybko, a po drodze dwa razy się obejrzał.

– No już, już. – Odgoniła go gestem. – Leć. Zaraz się zobaczymy.

Gdy Pawełek zniknął za rogiem, wyjęła z kieszeni paczkę chusteczek i wzorem Sawki wytarła kark i policzki. Sięgnęła do torebki, trochę się za to nienawidząc, wyjęła lusterko, a stwierdziwszy, że chyba nie jest tak źle, skropiła perfumami nadgarstki i miejsca za uszami.

Wtedy usłyszała najpierw stukanie, a potem dźwięk odsuwanych rygli i otwieranych drzwi.

– Paweł!

– Tata!

Głos Mirka nie zmienił się nic a nic, pomyślała. Nadal był głosem radiowca z audycji dla nocnych marków.

– Ależ ty wyrosłeś, chłopie. No niemożliwość. Ale, ale… gdzie masz mamę? Samego cię tu puściła?

Gośka wzięła głębszy oddech.

– Już idę! – zawołała, starając się brzmieć możliwie pogodnie. – Zaraz będę.

Ku swojemu zaskoczeniu usłyszała szuranie i zza rogu wyłonił się Mirek. Miał na sobie biały T-shirt i spodnie od dresu, a na stopach kapcie w kształcie gorylich łap. Trochę mu się przytyło w okolicy brzucha, za to wyprzystojniał na twarzy i zdecydowanie odwiedził fryzjera. Do tego zapuścił brodę, o którą tym razem najwyraźniej planował dbać.

Uśmiechnął się na jej widok, a ona odpowiedziała niepewnym uśmiechem.

– Cześć – powiedział. – Daj, pomogę ci.

Wyciągnął rękę, a ona w pierwszym odruchu chciała odmówić, ale po namyśle uznała, że w sumie dlaczego? Podała mu walizkę, a on odwrócił się i zaczął wspinać, wolną ręką łapiąc za poręcz.

– Ali nie ma – powiedział. – Dzwoniła chwilę temu, będzie w pracy do późna.

– Rozumiem – odparła Gośka, nie wiedząc za bardzo, jak to skomentować. – Macie jakieś specjalne plany na ten tydzień?

– Właściwie to… – Mirek zawahał się, przystanął i obejrzał przez ramię. Znała ten uśmiech. – Właściwie jest sprawa, którą powinniśmy obgadać. Zostaniesz na obiedzie?

***

Przez parę minut milczeli. Sawka podjechała kawałek, by zerknąć na afisze teatru Buffo, po czym zawróciła na plac Trzech Krzyży, skąd zjechała w dół Książęcą.

– Jesteś ze Śląska, prawda? – zapytała wreszcie. – Ten Zawisza, nie mylę się?

– Nie wiem, czy ten – odparł. – Ale faktycznie ze Śląska.

Roześmiała się i klepnęła go w udo.

– Nie musisz być skromny, panie Czekoladko. Nie jestem twoją fanką, po prostu śledzę newsy – zapewniła i zamyśliła się przez chwilę. – W ogóle nie jestem fanką tak zwanych superherosów. Jak dla mnie to wcale nie jest tak, że zjawiacie się w porę, akurat by kogoś uratować. Wy po prostu ściągacie kłopoty. Jak magnes, rozumiesz?

– Rozumiem.

Posłała mu szybkie spojrzenie.

– Ej, tylko się zaraz nie obraź. Ja nie twierdzę, że to wasza wina. Czy twoja. Nie. Ja wierzę, że chcecie dobrze, tylko akcja powoduje reakcję i…

Szlag, przejechałam Czerniakowską! Dobra, pojedziemy trochę naokoło, przez Okrąg i z powrotem do Czerniakowskiej. Małe kółko, cena ta sama, pasi?

– W porządku. – Zawisza skinął głową i skupił się na widoku za oknem.

Taka Warszawa mu się podobała. Ulica Ludna, którą właśnie jechali – z jednej strony zielona, z drugiej nisko zabudowana kilkudziesięcioletnimi kamienicami – cierpiała co prawda na niedobór odpowiednio szerokich chodników, ale sama jezdnia miała świeżo odmalowane pasy, na rusztowaniach praca wrzała, co zwiastowało szybkie ukończenie robót, a przechodnie żywo i wesoło reagowali na sunący ulicami samochód noszący nazwę ich miasta. I jeszcze ten Stadion Narodowy na horyzoncie, jak wielki, ozdobny koszyk wyglądający z zaciekawieniem zza rogu.

– Zresztą tu, w Warszawie, ta moda na bycie super zdążyła już minąć – kontynuowała Sawka, skręcając we wspomnianą wcześniej ulicę Okrąg. – Nic dziwnego, bo tu mamy tempo iście paryskie. Sushi, samurajskie kucyki, brody, humanitaryzm, czasem się coś przyjmie i spowszednieje, ale częściej mija, nim się wdrożysz. Tak czy owak, jesteś już passé, chłopie.

Zawisza nie odpowiedział i znowu przez kilka chwil jechali w milczeniu.

– Ale nie obraziłeś się, prawda? – Sawka zerknęła w jego stronę. – To nie to, że ja naprawdę mam coś przeciwko, tylko…

– Uważasz, że herosi ściągają kłopoty, jasne – dokończył za nią Zawisza. – Może i masz rację, pewnie dlatego trochę z tym zluzowałem, choć to niekoniecznie zluzowało ze mną. To by zresztą tłumaczyło dzisiejszą akcję.

Nie musiał na nią patrzeć, by wiedzieć, że ją zaciekawił. Uśmiechnął się pod nosem i zaczął cicho liczyć. Raz, dwa…

– Jaką akcję?

Wzruszył ramionami.

– Chyba nie mogę ci powiedzieć – stwierdził. – Znaczy wiesz, nie chciałbym w takie sprawy mieszać ludzi zupełnie postronnych. Powodować niepotrzebnego zagrożenia i…

Parsknęła śmiechem, aż drobinki śliny poleciały na szybę. Szybko przetarła usta rękawem i korzystając z tego, że przy skręcie musiała przepuścić samochód z przeciwka, przyjrzała mu się uważniej.

– Dobra, Czekoladko, wygrałeś – powiedziała. – Jestem wielką fanką superów i trochę żałuję, że tu, w stolicy, nikt się za to poważnie nie wziął. Ale cóż, taki los miasta, gdzie trzy czwarte mieszkańców to ludzie jadący

na słoikach z domów i planujący szybko się tu dorobić, by wrócić do siebie. Wcale im się zresztą nie dziwę, bo większość tak zwanych prawdziwych warszawiaków ma jakieś głębokie przekonanie, że to, czy ich dziadek lub babka urodzili się tutaj i…

– Strasznie dużo gadasz, wiesz? – zauważył z rozbawieniem Zawisza. – I chyba powinnaś ruszać.

Sawka zorientowała się, że przeciwległy pas od dłuższej chwili był już pusty. Szybko skręciła w Zagórną i dojechała pod sam hotel.

– Gadam dużo, bo jestem warszawską taksówkarką, a to zobowiązuje – powiedziała. Pobrała kwitek parkingowy z maszyny i przyjrzała mu się. – Mam piętnaście minut, zdążę zapalić. To jak, powiesz mi, co się dziś wydarzyło?

Zawisza właściwie nie miał powodu, by jej nie mówić, więc po chwili namysłu potrzebnej na zebranie myśli i ułożenie sobie w głowie wszystkiego, co zaszło na dworcu, a czego większość nadal była dla niego kompletnie niezrozumiała, streścił wydarzenia w kilku zwięzłych zdaniach. Zajęło mu to mniej niż pół papierosa palonego przez Sawkę. Gdy skończył, taksówkarka strzepnęła nagromadzony popiół i zaczesała włosy za ucho.

– Masz ją? Teczkę znaczy?

Pokiwał głową.

– Pokażesz?

Zawahał się.

– A jak to wąglik?

Sawka znowu się zaśmiała, a z jej ust wyleciały i poszybowały łukiem maleńkie perełki śliny. Zawisza, który choć polskim władał wyśmienicie, czasem zawieszał się na niektórych związkach frazeologicznych. Teraz zastanawiał się, czy to był właśnie tak nadużywany w literaturze perlisty śmiech. Do tej pory bowiem definiował sobie to pojęcie inaczej, ale i taki śmiech – pogodny, nieskrępowany, radosny – wydał mu się nad wyraz pasujący. I w jakiś podwórkowo-szczeniacki sposób uroczy.

– Wąglik? Panie Czekoladka, co ci mówiłam o modach w Warszawie? Równie dobrze ktoś mógłby cię tu zabić rzymskim gladiusem czy innym starożytnym artefaktem. No dawaj, pokaż, co tam masz!

Zawisza sięgnął do torby, wyjął teczkę i uważnie się jej przyjrzał. Była zaklejona białą taśmą, ale poza tym niczym szczególnym się nie wyróżniała. Rozkleił ją i zajrzał do środka.

– No i? – Sawka wspięła się na palce, ale była sporo od Zawiszy niższa, więc i tak nie była w stanie dojrzeć zawartości teczki.

– Jakieś zdjęcia i reprodukcje bitewnych obrazów – powiedział trochę rozczarowany. – W dodatku jakieś dziwne, kanciaste, jakby ktoś źle coś odbił.

Obniżył ręce, by i Sawka mogła zobaczyć. Razem przejrzeli kilka kartek. Na pierwszej grupa żołnierzy przedostawała się przez jakieś mokradła, a w tle kilku innych ciągnęło ciężki karabin. Na kolejnej znajdował się pociąg pancerny w dwóch ujęciach obok siebie, z góry i z boku, ale sklejonych tak, jakby to było jedno zdjęcie. Trzeci obrazek przedstawiał szarżę ułańską na czołgi, a czwarty – połamaną dorożkę na tle ruin.

Było tego o wiele więcej, a wszystkie obrazy, choć różne tematycznie, cechowały przebijające tu i tam kanciaste detale, niewątpliwie każdy obrazek miał też źle skalibrowane ostrość i kontrast. Czasem trzeba się było bardzo przyjrzeć, by spomiędzy ziarna wyłuskać jakiś szczegół.

Sawka nie kryła rozczarowania. Ponownie wyjęła z kieszeni paczkę papierosów, ale spojrzała na trzymany w ręku kwitek parkingowy i się rozmyśliła.

– Wiesz – powiedziała – to najpewniej był jakiś miłośnik Warszawy, który zobaczył cię w tym stroju i pomyślał, że będziesz zainteresowany takimi obrazkami. Podszedł, a ty musiałeś zrobić coś, co go przestraszyło.

– Na przykład co?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Byłeś wielkim czarnym sobą? Czasem więcej nie trzeba, stereotypy odwalają za nas sporą robotę.

Zgniotła wciąż trzymany niedopałek o podeszwę buta, a potem, gdy nie dostrzegła w pobliżu śmietnika, zawinęła go w chusteczkę i schowała do kieszeni.

– Chcesz mój numer, Czekoladko? – zapytała.

Uśmiechnął się.

– Żeby się z tobą umówić?

– Albo to, albo zamówić taksówkę, która z ciebie nie zedrze. – Przechyliła się przez otwarte okno i z uchwytu nad licznikiem wyjęła wizytówkę. Podała ją Zawiszy.

– Proszę. A swoją możesz mi dać na wypadek, gdybym to ja chciała się umówić z tobą.

– A chcesz?

Znowu wzruszyła ramionami.

– Teraz nie, ale później niewykluczone – odparła. – Warszawa to miasto szans i okazji. Nie należy ich odpuszczać tylko dlatego, że w danym momencie nie masz ochoty.

Uśmiechnęła się szeroko i wyciągnęła rękę.

– Miło było poznać, panie Czarny Zawiszo.

– Ciebie również – odparł, ściskając podaną dłoń, i cofnął się o krok, robiąc jej miejsce.

Patrzył, jak wsiada, zapina pas i odpala silnik, a potem roześmiał się, gdy przez otwarte okno wychyliła się ręka z dłonią skierowaną wewnętrzną stroną ku górze. Odłożył teczkę na plecak, sięgnął do portfela i położył na dłoni dwadzieścia złotych i wizytówkę.

ROZDZIAŁ 5

SAME WAŻNE RZECZY

„Zaskakująco spokojne” – tak o nastrojach przed meczem mówią warszawscy policjanci. Według danych Stołecznej Komendy Policji liczba incydentów z udziałem kibiców przed jutrzejszym meczem reprezentacji z Hiszpanią jest rekordowo niska. Mówi rzecznik prasowy Komendanta Stołecznego Policji, komisarz Ryszard Gniew: „Odnotowaliśmy właściwie tylko jeden incydent, który skończył się obrażeniami ciała. Dziś około południa na Dworcu Centralnym…”.

Dostrzegł poruszenie we wstecznym lusterku i błyskawicznie wyciszył radio. Z walącym mocno sercem dobił na półsprzęgle do znajdującej się przed nim altei i zaryzykował odwrócenie się przez ramię.

Fałszywy alarm, pomyślał z wyraźną ulgą. Dzięki Ci Boże, za tę drobną, ale jakże ważną łaskawość. Maluchy wciąż spały. Konstancja na środku, z lekko zadartym nosem, policzkiem przyciśniętym do zagłówka fotelika i lekko rozchyloną buzią, na tak zwaną skarbonkę. Franciszek za siedzeniem pasażera, uwieszony na pasach i z głową zwieszoną jak u starego pijaka. Małe bliźniaki Mariackie.

Kochał je, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Kochał i ani przez moment nie żałował, że wraz z żoną sprowadzili je na świat. Za to do szału doprowadzało go to, że ten świat, gdy już na niego przyszli, był taki, cholera, niepospr ątany i niezdatny do życia.

Weźmy takie przedszkole. Każdego ranka Olgierd Mariacki musiał zrywać siebie i dzieciaki, tłuc się w porannym korku na Młociny, a potem w ogóle objeżdżać Warszawę łukiem, by dotrzeć do pracy. Po południu to samo, tak że wracali w zasadzie wieczorem, a przecież z Żoliborza na Młociny nie było tak daleko.

Owszem, mógł puścić bliźniaki do normalnego przedszkola. Magda, jego żona, miała przez matkę jakieś tam wtyki w kuratorium, a i bez tego spełniali wszystkie wymagane warunki, by dostać publiczne rzut beretem od domu. Wystarczyło jednak zerknięcie na listę przyjętych dzieci, na te cholerne żydowskie, cygańskie, a nawet ukraińskie nazwiska. Nie

zastanawiali się nawet minuty, tylko przeliczyli oszczędności i w zasadzie na ostatnią chwilę zaczęli szukać prywatnie.

Przedszkole „Czerwony balonik” na Młocinach, pomijając położenie, przez pierwszy rok wydawało się miejscem wręcz idealnym dla ich dzieci. Te wszystkie kursy, zajęcia dodatkowe, angielski, francuski, tańce, karate, klocki Duplo, bajki Disneya, a wszystko podane z umiarem, w formie miłej dzieciom, niestresującej zabawy. To sprawiło, że gdy przyszły wakacje i okazało się, że przedszkole będzie normalnie otwarte, ucieszyli się i rodzice, i dzieci. Wszystko było świetnie, aż do teraz.

Seat przed nim odsunął się o parę metrów, więc Mariacki dotoczył się do niego. Ktoś na kogoś zatrąbił. Konstancja znowu się poruszyła, a jemu raz jeszcze serce zabiło szybciej. Jak się przebudzi, będzie chciała sikać, to pewne jak w banku, bo miała pęcherz wielkości orzeszka. Jej brat albo się wtedy przebudzi, ale powie, że mu się nie chce, albo będzie spał dalej, ale obudzi go dokazująca siostra. Tak czy owak, pięć minut po wyjechaniu ze stacji i ponownym wbiciu się w korek tym razem to on powie, że musi natychmiast, i zacznie płakać.

Znowu trzeba będzie zjechać, znowu wrócić do korka, stracić w ten sposób co najmniej godzinę i być w cholernym domu na dwudziestą. A wszystko przez jednego pierdolonego debila, pewnie Ukraińca w Uberze, który nie może utrzymać ręki z dala od jebanego klaksonu!

Wziął głęboki oddech, potem następny, podjechał kolejne dwa metry.

Tak naprawdę to przecież wcale nie była wina gościa z klaksonem, a tego pierdolonego zebrania rodziców. To dlatego musiał być dzisiaj wcześniej, dlatego trochę odwalił fuszerę z akcją dla podziemia. Magda zadzwoniła do niego akurat, jak miał się zderzyć ze Świtoniem, i powiedziała, że nie ma szans wyjść, a zebranie jest obowiązkowe i bardzo ważne. No to przyjechał i słuchał debilnych pytań od wypindrzonych lemingowych suk. A czy można by rozważyć dla dzieci opcjonalnie dietę wegańską? A czy jest możliwe, żeby zorganizować cykl spotkań z ciekawą osobą, jak na przykład taka starsza pani z Rwandy, znana pytającej osobiście, która po pamiętnej rzezi wyemigrowała do Polski i teraz uczy o miłości? Takie rzeczy! A jak on dla odmiany raz zapytał, czy jak w normalnej polskiej placówce oświatowej nie można by w przedszkolu wprowadzić lekcji religii, takiej po bożemu, z katechetką albo nawet zakonnicą, niech zawczasu powybija gówniarzom z głów pojebanie ich rodziców, to się zrobiło wielkie halo.

Zagapił się, nie podjechał i już jakiś dupek w poobijanej toyocie wśliznął się lewym kołem na jego pas. Teraz będzie musiał skurwiela puścić albo przeryć bokiem po jego wozie. W sumie kusiło, bo samochodowi przydałoby się lakierowanie, ale też ani chybi kosztowałoby go dodatkowe godziny poza domem. Bo przecież wieczność minie, zanim dostanie się tu policja. Nie opłacało się.

Zamiast tego wytężył wzrok i przyjrzał się twarzy kierowcy. Oczywiście ciapek, jakże mogło być inaczej. Prawdziwy Polak nie byłby takim chujem, by zajeżdżać drogę ojcu z dziećmi. Ale niech mu, jebańcowi, będzie, niech się wepchnie. On sobie spisze ciapkowe numery, znajdzie go i dojedzie. W końcu działanie w podziemiu musiało mieć także jakieś plusy.

Nagle Olgierdowi zawibrował w kieszeni telefon. Po sekundzie z przerażeniem zdał sobie sprawę, że nie wyciszył. Ledwie o tym pomyślał, z okolic jego krocza dobiegły pierwsze dźwięki *Telefonów* Republiki.

– Kurwa.

Złapał się za kieszeń; udało mu się tak ścisnąć, że wyciszył niemal od razu, ale i tak obejrzał się przez ramię. Nadal spały, dobrze. Wyjął i sprawdził telefon. Dzwonił ten pieprzony debil Świtoń. Mariacki wciągnął powietrze, wypuścił je, odebrał.

– Co ci mówiłem, pierdolona życiowa niedorajdo niedojebana, żebyś nigdy na ten telefon nie dzwonił, chuju złamany ty – wyrecytował szeptem na jednym tchu. – Raz przez pomyłkę nie z tego zadzwoniłem, miałeś nie zapisywać, a teraz…

– Stul ryj.

Głos w słuchawce zdecydowanie nie należał do Świtonia. On też, mały złamas, nigdy by się nie odważył odezwać w ten sposób. Za cienki był w uszach, w strukturach za nisko, w ogóle zero takie małe, piszczący skinheadzik z Pelcowizny. Właściciel tego głosu brzmiał, jakby był stary i groźny jak syberyjski niedźwiedź.

– Kto mówi? – zapytał Mariacki.

– Już ty, łajzo, wiesz kto – odparł tamten. – Twój człowiek miał mi właśnie dostarczyć przesyłkę, ale skrewił i dał ją komuś innemu.

– Co?! – Lewą ręką Mariacki złapał mocniej za kierownicę, prawą docisnął telefon do ucha. Poczuł, że robi mu się na przemian to zimno, to znów gorąco. – Daj mi go do telefonu, a ja zaraz…

– Chuja zrobisz i żadne daj – warknął niedźwiedzi głos. – Po takich wytycznych, jak mu dajesz, to się nawet szczylowi nie dziwię, że się

pomylił. A teraz nie ma co się wyżywać, tylko trzeba myśleć, co z tym zrobić. Potrzebuję tych materiałów na wczoraj, słyszysz? Sprawa od tego zależy.

Ktoś z tyłu zatrąbił, a przed maskę wcisnął mu się kolejny samochód, ale Mariacki na to nie zważał, sytuacja była zbyt poważna. Zastanawiał się, co mógłby teraz zrobić i… wtedy sobie przypomniał.

– Słuchaj – powiedział, przekładając telefon z ręki do ręki i dociskając do drugiego ucha. – Ja mam kopię tych materiałów. Skserowałem to sobie, jak dostałem.

W słuchawce na moment zaległa cisza, a potem usłyszał coś jakby posapywanie. W kreskówkach, które Mariacki oglądał z dziećmi, tak właśnie sapał skryty w ciemności byk, nim się wyłonił, by pogonić głównego bohatera.

– Jak to skserowałeś? – zapytał głos.

– No normalnie. – Mariacki znowu przełożył telefon, o mało go nie upuścił. Ręce miał śliskie od potu. – To fajne obrazki są, bitewne takie. Lubię, to skoczyłem do kumpla do punktu ksero, żeby mi je w lekkim powiększeniu…

– Gdzie je masz?

– W dom… – zaczął Mariacki, ale zdał sobie sprawę z konsekwencji własnych słów. – W biurze znaczy. W biurze mam. Zaraz możemy się tam spotkać i…

– Czekamy pod twoim domem – odparł głos i się rozłączył. Zaraz potem gdzieś po lewej odezwał się jeden klakson, potem drugi, aż wreszcie dało się słyszeć nadjeżdżającą z przeciwka karetkę na sygnale.

– Tatusiu, muszę siku – powiedział cichy dziewczęcy głosik z tylnego siedzenia.

Mariacki nie miał już nawet siły, by zakląć.

***

– Good morning, sir, welcome in our hotel. How can I help you?
Zawisza uśmiechnął się szeroko, prezentując garnitur białych zębów.

– Good morning. I have a reservation for a non-smoking room, two nights. With breakfasts – powiedział z nienagannym brytyjskim akcentem.

Podszedł do kontuaru, położył worek na podłodze i sięgnął po portfel.

Dziewczyna, pucułowata dwudziestoparolatka z niewielką nadwagą wylewającą się tu i tam spod zbyt ciasnej białej bluzki, sięgnęła po telefon.

– *One moment, sir* – powiedziała, po czym szybko wybrała jakiś numer wewnętrzny. – Kacha, chodź tu do mnie na recepcję szybko, bo takiego to ty jeszcze nie widziałaś, chyba że w telewizji. No chodź, przytrzymam ci go i…

Umilkła, gdy zobaczyła na kontuarze polski dowód osobisty Zawiszy.

– Nieważne, Kacha, nie przychodź – mruknęła do słuchawki; chrząknęła jeszcze raz, tym razem do zaciśniętej lewej pięści. – Przepraszam. Więc mówi pan: pokój na dwie noce?

– Ze śniadaniami. I może jeszcze z gwarancją, że Kacha, która pewnie ma uniwersalny klucz, nie będzie mi w nocy siedzieć nad łóżkiem.

Rozejrzał się konspiracyjnie na boki, po czym przechylił nad kontuarem i szepnął:

– Śpię nago.

Recepcjonistka spłonęła rumieńcem, któremu jednak, co Zawisza od razu dostrzegł, daleko było do ładnego odcienia czerwieni policzków Gosi. Wzięła dowód, szybko wyszukała odpowiednią rezerwację w komputerze, wydrukowała kartę pobytu.

– Proszę tu podpisać.

Podsunęła mu dokument pod nos i pokazała przerywaną linię, wpatrzona w zszywacz i pieczątkę leżące tuż przed nią. Sprawnie nabiła kartę, wsunęła w kopertkę.

– Pokój dwieście sześć, drugie piętro, śniadanie od szóstej trzydzieści do dziesiątej, życzę panu miłego pobytu, winda po prawej za kontuarem, w głębi korytarza.

– Dziękuję. – Zawisza wziął kartę i znowu się wyszczerzył. – Niech pani oddycha, nic się nie stało. To częste.

Przeszedł przez korytarz i przywołał windę. Była akurat na parterze, więc drzwi od razu się otworzyły. Wjechał na górę, znalazł właściwy pokój i wszedł do środka. Znał rozkład pokoju tej sieci i wiedział, że największy problem będzie miał z niewielkim prysznicem, z którego maleńkiej kabiny jest wyjście od razu do pokoju, co w jego przypadku zawsze oznaczało zachlapanie połowy podłogi. Poza tym jednak oraz wyjątkowo niewygodnym rozlokowaniem gniazdek wszystkie jego wymagania względem tymczasowego lokum były spełnione.

Rzucił torbę na łóżko, zzuł buty i przysiadł na materacu, podciągając nogi. Wyjął teczkę, przez chwilę wodził palcem po jej krawędzi, wreszcie wyjął obrazki, by przyjrzeć się im raz jeszcze, tym razem uważniej.

Jak już wcześniej zauważył, dzieliły się one na zdjęcia prawdziwych obiektów oraz zdjęcia grafik i obrazów wykonanych bardzo różnymi technikami i dodatkowo w jakiś sposób komputerowo zniekształcanych. Zawisza miał wrażenie, że tu i tam ktoś rozciągnął nogę, rękę albo lufę, zamazał postać czy element krajobrazu lub przeciwnie, zdublował coś i umieścił w zupełnie innym miejscu na obrazie w sposób, zdawałoby się, zupełnie przypadkowy.

Tematem wszystkich obrazków były treści historyczno-patriotyczne. Bitwy, które zobaczył w pierwszej kolejności, i historyczne budynki czy pomniki, wreszcie postacie. Mogły być znane, zważywszy na to, jak się ubierały i jak z dumą patrzyły w obiektyw, ale Zawisza akurat ich nie kojarzył. Albo też zwyczajnie ich nie rozpoznał, bo – co zauważył już przy pierwszym oglądaniu obrazków z Sawką na dole – straszna ziarnistość i te kanciaste przebicia tła znacznie wszystko utrudniały.

Mimo to próbował. Oglądał zdjęcia jedno po drugim, odwracając je w każdą możliwą stronę. Kończył z jednym, brał następne i tak do ostatniego, choć gdzieś w połowie poczuł, jak zaczynają boleć go oczy, a potem także głowa.

Postanowił, że fotografia z pociągiem pancernym będzie ostatnia, zwłaszcza że zainteresował go jeden mały szczegół. Pluszowa zabawka chłopca stojącego na schodkach, zapewne syna maszynisty. Już sam dzieciak wydawał się doklejony, ale w zabawce, bardziej przypominającej grubego królika niż typowego pluszowego misia, było coś prawdziwie intrygującego. Zawisza skupił na nim całą swoją uwagę, wytężył wzrok, zrobił zeza i nagle zamarł w kompletnym, zaskoczonym bezruchu.

– O cholera! – zawołał. – O jasna cholera!

Odłożył kartkę i na oślep złapał za następną, starając się w tym czasie nie zmienić ani miny, ani zapewne komicznego dla osoby postronnej ułożenia oczu. Tak nie wyszło, ale gdy się rozluźnił, a potem skupił równie mocno na zaskakującym detalu kolejnej grafiki, zobaczył to samo.

To były plany! Cholerne plany jakiegoś budynku!

***

Czasem Kaja miała wrażenie, że jest jak jeden z tych dziwaków z telewizji, którzy przyciągają do siebie każdy metalowy przedmiot i potem paradują tak obwieszeni łyżeczkami, naparstkami, igłami czy czym tam jeszcze. Z tą różnicą, że ona nie przyciągała metalu. Do niej, zupełnie mimowolnie, czy wręcz czasem wbrew jej wyraźnym oczekiwaniom i nadziejom, kleiły się wielkie słowa i idee.

Wcześniej, gdy jeszcze mieszkała w podwrocławskiej Oławie, nie było tego tak bardzo widać. Choć i tak, chcąc nie chcąc, zaliczyła pełne dwie kadencje w radzie szkolnej, a potem w młodzieżowej radzie miasta tylko dlatego, że kiedyś w deszczowy dzień poszła odprowadzić koleżankę na zebranie. Zabrała głos, dokonała małej korekty w przemówieniu pierwszego mówcy, zebrała aplauz i potem jakoś poszło.

To tam zresztą, w młodzieżowej radzie, poznała rok starszego Nikodema. Wydawał się bardzo sympatyczny, oczytany i zabawny, a do tego był niezwykle przystojny. Rozważała już nawet, czy nie pójść z nim o krok dalej niż macanki i pocałunki w parku, ale w dniu, gdy chciała to zaproponować, on wyznał jej, że ją kocha, i poprosił o rękę.

Zdumiona i nieco rozbawiona odmówiła. Zasugerowała, że powinien przemyśleć swoje uczucia, i dołożyła do tego stos banałów, które – jak by się zdawało – należy powiedzieć w takim momencie: że miłość to wielkie uczucie, że musi być pewien zarówno drugiej osoby, jak i siebie, i takie tam. W normalnej sytuacji, gdyby sprawa dotyczyła kogoś innego, skończyłoby się pewnie na tym, że chłopak odwiedziłby bar czy sklep monopolowy i zaleczył porażkę smutną, nietrzeźwą masturbacją pod najlepsze ujęcia z Sashą Grey, czy kto tam wtedy był na topie.

To jednak była Kaja, więc jej słowa zostały wzięte na poważnie. Niecałe pół roku temu dowiedziała się od matki, że w Oławie odbyła się msza prymicyjna pochodzącego z miasta księdza. Nikodem ponoć wspomniał nawet o Kai w kazaniu. Powiedział, że to właśnie jej dojrzałej decyzji zawdzięcza odkrycie swego powołania. Na szczęście był na tyle miły, że nie użył jej imienia; nazwał ją po prostu „pewną dziewczyną”.

Ideowy magnetyzm dał o sobie znać na dobre, dopiero gdy wyprowadziła się na studia do Warszawy. Celowo wybrała to miasto, choć z powodu innego niż wszyscy. Tam bowiem, gdzie inni upatrywali szansy na wybicie się, ona celowała w anonimowość małej, szarej cząsteczki w wielkim, kolorowym mieście. Żeby się czegoś nauczyć, zapisała się na kursy dla baristów, szkolenie instruktorów pilatesu i kursy językowe. By jakoś

wypełnić czas pomiędzy poważnymi zajęciami – a także by zadowolić rodziców – poszła na studia. Filozofia wydawała jej się do tego celu idealna.

Ostatecznie zamieszkała sama, choć wynajęcie kawalerki wciąż w obrębie miasta i z jako takim dojazdem mocno kłuło ją w budżet. Pierwsza próba zamieszkania z kimś skończyła się jednak przykuwaniem do drzew w dolinie Rospudy, a druga – kolejnymi oświadczynami. Na szczęście Maks, jej współlokator i – jak to ładnie mówiła babcia – absztyfikant, przyjął porażkę mniej dramatycznie niż Nikodem i po prostu oddał się mocniej pracy w korpo. Kaja jednak i tak poczuła, że lepiej nie prowokować losu. Zostali zresztą znajomymi. Ostatnio pisał jej, że wreszcie udało mu się rzucić kawę i że po namyśle wcale nie uważa tego za najlepszy pomysł.

Przez niemal pół roku wszystko szło dobrze, bo zwyczajnie. Kaja wychodziła z domu rano, szła na uczelnię, potem na kurs, potem do pracy, na kolejny kurs, na siłownię i wieczorem do domu. Właściwie nie miała czasu na pogaduchy, wszelkich inicjatyw obywatelskich unikała jak dziecko mycia, a nad randkowanie przedkładała dobrą książkę w łóżku. W tamtym czasie tylko raz prawie się w coś wpakowała, gdy sąsiadka poprosiła ją, by Kaja zajęła się przez tydzień jej psem.

Skończyło się na tym, że po niecałych trzech tygodniach wybrano ją na wiceprzewodniczącą stowarzyszenia „Gdzieś musimy” walczącego o psie toalety na osiedlach. Wymiksowała się z tego z trudem, zwyczajnie się ukrywając. Prawie przez miesiąc spała kątem u koleżanek i miała wyłączony telefon.

Potem przyszła kolej na feministki. Pierwsze nieformalne spotkanie odbyło się w uczelnianej stołówce i dotyczyło bardzo poważnego problemu z jednym wykładowcą. Facet nieustannie rzucał jakieś seksualne aluzje, niemal wprost domagał się od co ładniejszych studentek ubierania plisowanych spódniczek i pończoch na egzamin, a zdarzało się też, że chodząc po sali w czasie kolokwium, robił sobie fotograficzną dokumentację pochylonych nad kartkami dziewczyn. Coś należało z gościem zrobić, nie było co do tego wątpliwości, więc zwołano pierwsze spotkanie, potem kolejne, aż wreszcie doprowadzono do tego, że wykładowcę wysłano na bezpłatny urlop na czas stosownego postępowania. Wtedy okazało się, że jedna z koleżanek działa w ruchu i że bardzo

chciałaby przedstawić Kaję reszcie. A ta, na fali odniesionego właśnie sukcesu, powiedziała: „Dobrze, czemu nie?”.

No i poszła, w sercu przekonana, że jeśli już ma się oddać jakiejś idei, to chyba feminizm jest najlepszą z nich. Tak wiele wszak ją irytowało w codziennym życiu: nierówne płace, niewybredne zaczepki facetów na ulicy, cycki na co drugim plakacie czy nieustannie trwające debaty – zwykle wyłącznie w męskim gronie – na temat tego, kiedy kobieta musi dać sobie włożyć, a kiedy może lub nie usunąć.

Rzeczywiście, wiele z tych spraw poruszano na spotkaniach, pojawiały się ciekawe pomysły inicjatyw, długofalowe plany, wspólne akcje z fundacjami. Z początku Kaja brała udział we wszystkim, a potem jeszcze zostawała na afterach, by omówić działania czy po prostu pogadać. Dla tych spotkań porzuciła kurs gotowania, który i tak jej specjalnie nie pociągał, a odbywał się wyjątkowo późno.

Z czasem jednak gasło w niej poczucie bycia u siebie. Kaja zaczęła zdawać sobie sprawę, że gdy żyje się jednym tematem, czy też raczej patrzy na świat pod jednym konkretnym kątem, można w pewnym momencie zaburzyć sobie perspektywę. Z tego powodu zrezygnowała najpierw z grupowych wypadów do kina i spotkań czytelniczych – wybierane filmy i książki nieodmiennie, zamiast pod kątem fabuły, omawiane były w kontekście testu Bechdel-Wallace – a potem stopniowo z innych, mniejszych inicjatyw. Z każdym kolejnym tekstem koleżanek na ich blogach czy fanpage’ach nabierała przekonania, że choć zgadza się z ogólnymi ideami, nie odpowiada jej przeniesienie tego wszystkiego w praktykę. A że sama nie miała na to wyraźnego pomysłu, wolała się wycofać. Pretekstem okazała się wyjątkowo radykalna akcja zaplanowana na mecz reprezentacji Polski z Hiszpanią.

Jak zawsze takie idee, ta też wyszła od Kryśki, która jakiś miesiąc temu przyszła na spotkanie z wydrukowanym artykułem z internetu. Położyła go na kawiarnianym stoliku między wielkimi kubkami kawy i wzięła się pod boki.

– Femen! – rzuciła prowokacyjnie. – Dziewuchy znowu to zrobiły.

Werona przeczesała na bok grzywkę i poprawiła okulary w modnych, rogowych oprawkach. Zrobiła to jak zawsze z gracją i wdziękiem modelki, którą swego czasu planowała zostać. Zdaniem Kai miałaby na to ogromne szanse, gdyby zgodziła się pójść na ustępstwa, jakich ten zawód – zasadnie

bądź nie – wymagał. Ona jednak nade wszystko była kobietą żelaznych zasad.

– Znowu pokazały światu cycki? – zapytała, wydymając pogardliwie wargi. – Dziewczyny, rozmawiałyśmy już o nich, czyż nie? Ważny temat, słuszna sprawa, ale metoda…

Kryśka jednak nie dała jej dokończyć. Ponownie pochyliła się nad stolikiem i dźgnęła artykuł palcem.

– Raz jeszcze stanęły w świetle monitorów i wykrzyczały światu swoje odezwy – powiedziała. – Zobaczcie, dotarły aż do Stanów. To mecz footballu amerykańskiego. Festiwal pieprzonego testosteronu.

Powiodła wzrokiem po koleżankach, ale większość wydawała się trzymać stronę Werony.

– Na pewno nie wzięto ich po prostu za cheerleaderki? – zapytała Irma.

Zrobiła to jak zwykle cichutko i niepewnie, bo taka już była ta ruda dziewczyna przypominająca nieco chomiczka z filmiku na YouTubie. Kaja, która nie lubiła określenia „puszysta”, akurat w przypadku Irmy uważała je za wyjątkowo adekwatne. Powiedzieć o tej dziewczynie „gruba” byłoby rażącym uproszczeniem. Owszem, Irma była mocno zaokrąglona, ale właśnie w ten delikatny, pluszakowy sposób, który sprawiał, że z miejsca wzbudzała sympatię. W innym kanonie mody może nawet byłaby atrakcyjna, w obecnym – w którym nie mieściła się także uchodząca za seksowną Kaja – wzbudzała uśmiechy lekko pobłażliwej sympatii bądź zgryźliwej złośliwości. Takie jak komentarz pod wpisem Irmy na jej blogu, gdy napisała ostatnio, że świetnie się czuje w swoim ciele. „Też bym się czuł dobrze – skomentował wtedy MastaofDisasta321 – na takim metrażu”.

Kryśka nie skomentowała słów Irmy od razu, tylko rozejrzała się po lokalu i przysunęła sobie krzesło z wolnego stolika. Odezwała się, dopiero gdy usiadła.

– Nie, Irma. Nikt nie wziął ich za cheerleaderki. Dziewczyny siedzą teraz w areszcie za obrazę moralności!

– I to jest to ich osiągnięcie? – zakpiła Werona, sięgając po filiżankę z resztą kawy. – Że siedzą w areszcie? Czy że setki tysięcy facetów walą sobie teraz do ich cycków w necie?

Kryśka na moment przymknęła oczy i dała wybrzmieć tym słowom, zapewne odliczając do dziesięciu. Pozostałe dziewczyny przyglądały jej się z mieszaniną spokoju i przestrachu. Wiedziały, co się kryje za tym liczeniem – ile agresji ujarzmianej latami na zajęciach terapeutycznych.

Swego czasu Kryśka miała nawet wyrok w zawieszeniu za przekroczenie obrony koniecznej podczas domowej sprzeczki. Posłała krewkiego partnera do szpitala w takim stanie, że tylko znajomość z dobrym adwokatem uratowała ją przed odsiedzeniem wyroku. To zresztą była inna cecha szczególna Kryśki – znała wszystkich i wszędzie.

– Nie chodzi mi o pokazywanie cycków, Werona – powiedziała w końcu. – Uważam jednak, że areszt to nie jest nic złego, jeśli w zamian możesz wykrzyczeć swoje postulaty całemu światu. Nigdy same z siebie nie zdobędziemy takiej oglądalności, jaką miałybyśmy na moment przed rozpoczęciem drugiej połowy emocjonującego meczu, nie uważasz? I do tego właśnie zmierzam.

Wyprostowała się, ruchem głowy odrzuciła większość włosów, a te niesforne odgarnęła ręką.

– Myślę – zaczęła – że gdyby jakimś cudem udało się nam dostać na mecz reprezentacji za miesiąc…

– Zapomnij! – wtrąciła się milcząca dotąd Olka i w jednej chwili zburzyła nastrój tej już prawie podniosłej chwili. – Chciałam kupić mojemu Markowi bilet na urodziny. Jakieś losowania, astronomiczne kwoty, wałki PZPN-u, a wszystko już i tak niedostępne od… no, dawna.

Kryśka uśmiechnęła się wyzywająco, jak to miała w zwyczaju. Kaja nieraz na widok tego uśmiechu wyobrażała sobie tamten znany z opowieści wieczór, gdy koleżanka przesadziła. Oczyma wyobraźni widziała ten grymas, gdy obtłuczona, posiniaczona Kryśka, ze śladami pasa na plecach i ciśnięta w kąt niczym szmaciana lalka, wyłania się zza łóżka, strzyka krwią na świeżą pościel i uśmiecha się w taki sposób, zaciskając pięści i mówiąc: „Moja kolej, chuju!”.

– Femen nigdy nie wchodzi tak po prostu, na bilety. Zawsze ma wtyki – powiedziała teraz Kryśka właśnie takim tonem. – I tak się składa, że mam na Narodowym znajomego, który za obietnicę, że nie wniesiemy żadnej bomby, wpuści nas na obiekt i ukryje w magazynku noc wcześniej. Da nam też kanapki, wodę i sporo tej kawy, co to z nią ostatnio chodzą po ulicach. Tej Usawa czy jakoś… o, właśnie tej, co ją pijesz, Werona… bo im sponsor podrzucił. Jest też osobna łazienka, więc bez trudu przesiedzimy tam noc, kawałek dnia i do połowy meczu, a potem…

To był moment, kiedy Kaja stwierdziła, że ma dość. Dotrwała do końca spotkania, potem powiedziała, że się namyśli, i tyle ją dziewczyny widziały.

Nie miała pojęcia, czy pomysł Kryśki ostatecznie przeszedł, czy nie, ani kto miałby wziąć w tym udział. I czy teraz dziewczyny już siedzą – bo w końcu najwyższy czas – w tym magazynku pełnym kawy i kanapek, czekając najpierw na zamieszanie, a potem drugą połowę meczu. Wiedziała natomiast, że nie potrzebowała w swoim życiu takich rzeczy. Chciała normalnego, szarego bycia – pracy, rozrywek, spokoju, jakiegoś niezobowiązującego hobby.

Tydzień po tamtym spotkaniu bardziej z konieczności niż frajdy zainstalowała w telefonie aplikację roweru miejskiego, by wrócić do domu. Nie jeździła od bardzo dawna, ale z tym było… no, jak z jazdą na rowerze, więc dość szybko złapała rytm, a potem bakcyla. By wypełnić pustkę po spotkaniach, kupiła sobie rower i snuła się wieczorami po parkach, czerpiąc z tego nielichą satysfakcję i przyjemność, przerywaną tylko krótkimi wybuchami gniewu, gdy jakiś idiota znowu lazł ścieżką. Z czasem na tych wieczornych trasach pojawiało się coraz więcej znajomych twarzy, które potem, gdy przystawała przy pobliskiej Żabce, zyskały najpierw imiona, potem życiorysy.

Ani się obejrzała, a już była w kolejnej grupie, co prawda, nieformalnej, ale posiadającej swoje własne, dumnie brzmiące hasło: „My nie blokujemy ruchu. My jesteśmy ruchem” – mocne, dostojne, waleczne i prowokacyjne. Właśnie takich rzeczy Kaja chciała w życiu unikać. Magnes jednak działał i chyba nie zamierzała już z nim walczyć. Dlatego właśnie późnym popołudniem, gładko przechodzącym w wieczór, gdy Mariacki przebijał się przez warszawskie korki, Fido kradł szesnasty tego dnia samochód, a jej były współlokator i prawie narzeczony Maks robił sobie przerwę od Teen Spirit i zapijał gazowaną wodą batonik musli, Kaja pompowała przednie koło. Szykowała się na jutrzejszą Masę Krytyczną.

***

Nie zapisała go sobie w telefonie, ale z jakiegoś powodu wiedziała, że to on. Dlatego gdy zadzwonił w trakcie kursu, zamiast po prostu go zrzucić wysłała mu automatyczną wiadomość: „Prowadzę, oddzwonię”. Wiozła akurat jakiegoś palanta w garniaku; wsiadł do samochodu już z telefonem przy uchu i bez dzień dobry rzucił: „Teatralny. Migusiem”. Następnie rozsiadł się szeroko jak na fotelu ginekologicznym i ryknął śmiechem do smartfona.

W pierwszej chwili Sawka chciała go zwyczajnie wyrzucić, ale wtedy przypomniała sobie słowa dziadka, że taksówkarz to nie panna na wydaniu. Za mąż nie wychodzi, to i grymasić nie powinna, zwłaszcza jak klient trzeźwy. Więc nie marudziła, choć Bóg jej świadkiem, wolałaby niejednego pijaka niż tego dupka, który a to się zarykiwał, a to rzucał jakieś chamskie uwagi dotyczące podwładnych, a to wreszcie pouczał ją, na chwilę zasłaniając mikrofon, jak i którędy powinna pojechać. Że teraz najlepiej w lewo, teraz niech zmieni pas i mogła jechać na tym żółtym, jemu się naprawdę śpieszy.

Sawka większość trasy znosiła to cierpliwie i bez słowa, mając w pamięci inne słowa dziadka: „Są tacy, co ich nie nauczysz. Wtedy musisz im dać albo po pysku, albo spokój”. Ale potem nagle, tuż po tym, jak odrzuciła telefon od Zawiszy, garniturek przegiął ostatecznie.

– Ej, ej! Przestań! – wyryczał ze śmiechem. – Nawet stąd słyszę, jak ci pejsy rosną. Jak chcesz tak żydzić, to nie ze mną, bo ja jestem porządna niemiecka firma i już dawno mamy sposoby…

Zahamowała gwałtownie, aż niezapięty pasażer zarył głową o zagłówek przedniego siedzenia.

– Ej, kurwa, uważaj! – warknął. – Cholera jasna, jak nie umiesz jeździć, to… Ej, co ty robisz?

Nie odpowiedziała. Wcisnęła trójkącik awaryjnych, sięgnęła do schowka i wyjęła z niego zawiniątko w chusteczce bardzo podobnej to tej, którą miała w kieszeni. Wysiadła z samochodu i obeszła go, po drodze odwijając i wsuwając na prawą rękę mosiężny kastet. Otworzyła drzwi.

Pierwszy cios był szybki jak błyskawica. Trafił garniturka w kość policzkową i rozległo się nieprzyjemne chrupnięcie. Drugie i trzecie uderzenie poszło nisko, w żebra. Potem Sawka złapała garniturka za połę marynarki, zaparła się lewą ręką o samochód i pewnym, mocnym szarpnięciem wyciągnęła go z wozu.

Upadł na kolana. Spróbował się podnieść, ale zarobił precyzyjnie wymierzonego kopniaka w wątrobę i poczuł, jak z miejsca opuszczają go wszystkie siły. Ręce ugięły się pod nim i zarył twarzą o asfalt.

Sawka bez pośpiechu zdjęła kastet i zawinęła go w chustkę.

– Pijany klient – poinformowała zaciekawionych przechodniów z chodnika naprzeciwko, a ci pokiwali tylko smutno głowami i poszli w swoją stronę.

Sawka natomiast złapała garniturka za kołnierz marynarki i powlokła wokół samochodu na chodnik. Cisnęła go prosto na odznaczającą się wyraźnie linię wyznaczającą niegdysiejszą granicę warszawskiego getta. Nie zamierzała nic mówić. Właściwie w tym miejscu miała ochotę skończyć, wrócić do samochodu i oddzwonić do Zawiszy, ale wtedy facet u jej stóp poruszył się, z trudem przewrócił na bok i na tyle wyraźnie, na ile pozwalała puchnąca błyskawicznie twarz, wycharczał:

– Dorwę cię, dziwko. Zobaczysz.

Wtedy kopnęła go jeszcze raz, w brzuch. A gdy się zwinął, kucnęła i wyjęła mu z wewnętrznej kieszeni cienki skórzany portfel. Zajrzała do środka, przeczytała imię i nazwisko z dowodu, po czym poklepała garniturka portfelem po zmasakrowanym policzku.

– Będę czekała, Grzesiu – szepnęła. – Jeszcze nigdy żadna kobieta nie czekała na ciebie tak, jak ja będę. I zapewniam cię, że jeśli rozegrasz to po mojej myśli, już żadna nie będzie.

Wyprostowała się, wcisnęła portfel do kieszeni i obeszła samochód, by zamknąć tylne drzwi. Gdy wracała za kółko, gość jeszcze wtulał się w chodnik. Wyłączyła awaryjne i ruszyła. Przecznicę dalej wybrała numer Zawiszy i przełączyła na głośnomówiący.

– Co tam, Czekoladko? – zapytała, gdy odebrał. – Widzę, że szybko się namyśliłeś z tym umawianiem się. Ale żeby potem nie było nieporozumień, to musisz wiedzieć, że nawet jeśli na tym etapie poszło szybko, to nie znaczy…

– Jak dobrze znasz miasto? – przerwał jej.

– Rozmawiasz z prawdziwą warszawską taksiarką, kochany, więc trochę nie rozumiem pytania. A co, gdzieś konkretnie chcesz wyskoczyć?

Zawisza umilkł i długo się nie odzywał, aż Sawka pomyślała, że się rozłączył. Puknęła nawet w ekran telefonu, by się upewnić, czy połączenie nadal trwa.

– Przyjrzałem się tym obrazkom z teczki i to są chyba jakieś plany. Mocno niekompletne, ale albo wariuję, albo na każdym obrazku jest tu fragment czegoś innego – powiedział w końcu Zawisza. – Część to chyba wnętrza, reszta to ulice, albo działki budowlane, coś takiego.

Sawka zatrzymała się na światłach, zaczesała włosy za ucho i dostrzegła, że ma na ręce kilka maleńkich kropelek krwi. Wygięła się, by wyciągnąć ze spodni chusteczkę, a gdy dwóch mężczyzn z samochodu obok na widok

tych wygibasów zareagowało głośnym entuzjazmem, obscenicznymi gestami i waleniem w klakson, pokazała im środkowy palec.

– Zawisza, nie wiem, co piłeś, ale ja widziałam te obrazki – powiedziała, ruszając i jednocześnie wycierając rękę. – Jakim cudem ty na tym zobaczyłeś mapy, to ja chyba nie chcę nawet wiedzieć.

– To jak te obrazki trójwymiarowe – wyjaśnił. – Trzeba się skupić na odpowiednim detalu i wtedy. Zresztą chcesz zobaczyć, to ci pokażę, tylko musisz tu przyjechać.

Wiedziała, że to zrobi, nie musiała się nawet specjalnie zastanawiać. Szybko sprawdziła w aplikacji następne zaklepane już kursy. Jeden oddała, przy dwóch proszono specjalnie o nią, więc nie mogła. Podobnie rzecz się miała z czwartym, oznaczonym gwiazdką, czyli to ktoś od dziadka.

– Ej, ale obiecujesz, że to nie okaże się mapą do twoich gatek czy żadnym innym tego typu tanim badziewiem?

Zawisza się roześmiał.

– Ktoś kiedyś czegoś takiego próbował? Naprawdę?

– Ej, nie każdemu stereotyp sprzyja, Czekoladko. Niektórzy muszą się nakombinować – odparła. – Będę przed północą, pasi?

– Jak musi – westchnął wyraźnie zawiedziony.

ROZDZIAŁ 6
DWIE RZEKI

Z ogródka cukierni Blikle miała wyśmienity widok na większą część Nowego Światu. Siedziała sama, przy maleńkim stoliku wciśniętym w róg między ścianą budynku i płotkiem; przyglądała się przechodzącym ludziom. Sporą część wieczornego tłumu stanowili kibice obu drużyn jutrzejszego meczu, przy czym, co było dla Gośki prawdziwie zaskakujące, dużo głośniejsi i skłonni do awantur wydawali się Hiszpanie. Polacy chodzili spokojnie, niewielkimi grupkami, bez krzyków, ale i bez specjalnej ekscytacji czymkolwiek. Gdy jeden wchodził do sklepu, reszta czekała na zewnątrz, gdy ktoś z przeciwka się śpieszył, ustępowali miejsca. Nawet ci, którzy siedzieli w knajpach i ogródkach, nie robili wokół siebie szumu, nie wybuchali
rubasznym śmiechem. Zachowywali się… normalnie.

Może się pomyliłam, myślała teraz Gośka, wyskrobując z dna pucharka resztkę lodów. Może niepotrzebnie tak na niego wskoczyłam?

Czuła się, jakby zagonił ją prosto w pułapkę. Miłym tonem, pomocą przy walizce, wreszcie pozbyciem się tej swojej i obiadem próbował ją urobić, a potem z głupia frant rzucił:

– Udało mi się załatwić od kumpla świetne bilety na jutrzejszy mecz i chciałem zapytać, co ty na to, żebym zabrał małego.

Powiedział to gładko, bez zająknięcia, pewnie wcześniej powtórzył kilka razy przed lustrem. Gosia zamarła z widelcem przy ustach, z kawałkiem brokuła pod samym nosem; odruchowo spojrzała na Pawła i zobaczyła, jak zaświeciły mu się oczy. Tysiące słów, pytań, wątpliwości. Tysiące uwag, że przecież jest za mały, że chyba nie wolno wprowadzać takich dzieci, że marsze, race, petardy, zamieszki i cała reszta.

Największego problemu upatrywała w tym, że Mirek ją zaskoczył. To nie była taka sobie normalna rzecz, z której można robić niespodziankę. Nie miało znaczenia, że nie byli już razem. Pawełka wychowywali wspólnie i pewne decyzje tak właśnie powinny zostać podjęte, a nie komunikowane w ostatniej chwili, i to jeszcze w obecności dziecka.

Wygarnęła mu to. Może za ostro, zważywszy na to, że starał się zachować spokój, przygotował się i przedstawiał konkretne argumenty. Ale w sumie właśnie to, ten jego ton i starannie dobrane słowa, najmocniej sprowokowały Gośkę do takiej właśnie reakcji.

– Nie – odparła.

Wepchnęła brokuł do ust, a gdy pękał pod naporem jej zębów, spojrzała na syna. Chrupnięcie warzywa zgrało się idealnie z momentem, gdy jego małemu marzeniu, z którego jeszcze przed chwilą nie zdawał sobie sprawy, ale teraz już było największe na świecie, przetrącono kręgosłup. Zauważyła drgającą lekko brodę, oczy wypełniające się łzami i wiedziała, że teraz musi wytrzymać, że następne sekundy są kluczowe dla tego, jak dalej potoczy się nie tylko ta rozmowa, lecz także cały ich dzielony na dwa proces wychowawczy.

Pierwsza łza na policzku, ciche pociągnięcie małego noska. Odłożyła widelec i przyłożyła palce do skroni.

– Nie… nie wiem, Mirek. Zaskoczyłeś mnie.

Wtedy przypuścił atak: loża, sami koledzy wokoło i oni też będą z dziećmi, to ważne dla małego chłopca, zwłaszcza że reprezentacja w formie i jemu samemu brakowało takiego momentu w historii piłki, ale i takiego ojca, z którym mógłby pójść na mecz. Mówił to wszystko, argument po argumencie, z precyzyjnie stonowaną ekscytacją, a ona tylko patrzyła na Pawełka zerkającego to na nią, to na Mirka, jakby obserwował mecz ping-ponga, i wiedziała już, że może zostać najgorszą z matek albo się zgodzić.

Wywalczyła więc tylko kilka pozbawionych znaczenia kwestii, jak choćby to, że nawet w czasie największej gorączki meczowej mają odbierać połączenia wideo, że mają się zameldować w przerwie i potem w domu, a Mirek musiał jej przysiąc, że nawet nie skosztuje alkoholu. Jakby to kiedykolwiek był u niego prawdziwy problem.

Podziękowali jej obaj. Pawełek uwiesił się jej na szyi i przytulił tak, jak już dawno tego nie robił. Mirek uścisnął jej dłoń i uśmiechnął się – na szczęście nie było w tym tryumfu, a tylko szczera radość.

– Źle to rozegrałeś, Mirek – powiedziała, a on gorliwie przyznał jej rację; był zwycięzcą, niewiele go to kosztowało.

– Podrzucić cię na pociąg? – zapytał.

– Nie, bez walizki chętnie się przespaceruję.

I tak znalazła się na Nowym Świecie, pośród rozkrzyczanych zagranicznych turystów i wyjątkowo potulnych polskich kibiców. Gdzieś tam przeleciała jej, a jakże, wizja tych dzieciaków z Centralnego, chłopaka przyciskającego do brzucha zakrwawioną rękę, ale odgoniła ten obraz ruchem głowy. Nie mogła się tak wszystkim przejmować, powinna wracać do domu, ale jakoś nie mogła się zebrać.

Sprawdziła pociągi. Najbliższy miała za czterdzieści pięć minut, więc gdyby teraz ruszyła, zdążyłaby bez problemu. Kolejny, w dodatku jadący dużo dłużej, bo przez Poznań, odjeżdżał około północy. Wpatrywała się w dwie ikonki pociągów przez kilka sekund, a może minut, nie mogąc się zdecydować.

– Hej, a może nad Wisłę? – zapytał jakiś dzieciak, wyskakując przed swoją paczkę idącą chodnikiem.

Gośka wzruszyła ramionami. Właściwie czemu nie? Dawno nie widziała.

***

Gdy Mariacki zajechał pod dom, już na niego czekali. Świtoń w stroju hipsterka żywcem wyrwanego z ogródka na Saskiej Kępie i on, niedźwiedź, łysy, z siwym zarostem i sinymi tatuażami po bokach głowy. Właściwie, pomyślał Olgierd, facet przypominał raczej doświadczonego, starego lwa.

Zaparkował wzdłuż krawężnika. Normalnie nie mógł tu stać, na pewno nie całą noc, ale trochę mu się trzęsły ręce i na pewno nie zamierzał teraz szukać miejsca.

– Tato, a możemy jeszcze do Żabki? – zapytał Franciszek.

– Nie teraz, chłopie. Teraz tata się spieszy – powiedział i pożałował tych słów, gdy zerknął w lusterko. Chłopczyk już robił buzię w podkówkę, a jego siostra, zawsze gotowa w takich sprawach przyjść mu w sukurs, chlipnęła cicho. – Ale jak mi powiecie, co chcecie, to zaraz pójdę i wam kupię, dobra?

– Kinder mleczna kanapka! – zawołała Konstancja.

– A dla mnie Pingui! – krzyknął równie donośnie Franciszek.

Normalnie by się nie zgodził i kazałby im wybrać coś polskiego, ale teraz widział już w lusterku tamtych dwóch zbliżających się do samochodu, więc zacisnął zęby i wycedził:

– Dobra. Wypinać się z pasów.

Sam odpiął swoje, wcisnął się w szczelinę między siedzenia i lekceważąc drążek biegów wbijający mu się w udo, pomógł córce. Chłopczyk poradził sobie sam.

– Teraz lećcie do domu – polecił. – Tata zaraz przyjdzie, musi tu jeszcze coś załatwić.

– Dobrze, tato – powiedział Franciszek.

– Kochamy cię, tato – dodała Konstancja.

Patrzył za nimi, jak wyskoczyli z samochodu i pognali do domu, omijając łukiem trawnik opatrzony tabliczką „szanuj zieleń”. Dopiero wtedy się wyprostował, otworzył drzwi i wysiadł.

– Głupia sprawa… – zaczął, ale starszy nie dał mu dokończyć. Jedną ręką wypalił mu rakietę na flaki, a drugą złapał go za bark i mocno ścisnął.

– Czy tobie się, kurwa, wydaje, że to jakaś zabawa jest, hę? – zapytał, lekko przekrzywiając głowę. – Czy ja ci muszę tłumaczyć, w jaki sposób w czasie wojny karano pierdolonych sabotażystów?

Mariacki, na ile mógł, pokręcił głową. Chciało mu się wymiotować, ale dzielnie ściskał gardło i wciągał powietrze przez nos małymi porcjami.

– Nie… nie… nie trzeba – wydusił z siebie w końcu. – Już… lecę po obrazki.

Stary przyglądał mu się jeszcze przez moment, jakby chciał się upewnić, że nie kłamie. W końcu puścił go i odstąpił o krok. Z obrzydzeniem na twarzy patrzył, jak Mariacki łapie równowagę.

– Goń. Jak nie będzie cię za trzy minuty, lepiej powiedz żonie, że będziecie mieli gościa – charknął i uśmiechnął się obleśnie. – Choć kto wie, jak jest gorliwą patriotką, mogła już poznać Ordona.

Mariackim szarpnęło, jakby walnął go piorun. Powoli przeniósł wzrok na Świtonia i zdał sobie sprawę po jego przerażonej minie, że chłopak też dowiedział się dopiero w tym momencie.

– Ten Ordon? – upewnił się, choć już w chwili, gdy wypowiadał te słowa, czuł, że wcale nie musi.

– A myślisz, że pozwoliłbym na innego? Goń, dwie minuty.

Mariacki zerwał się nagle, obiegł samochód i pognał na skos przez trawnik, mało nie wywalając się na wielkim psim gównie. Przeskoczył niski żywopłot i dopadł klatki. Choć drzwi były zamknięte, znalazł w sobie dość siły, by otworzyć je mocnym szarpnięciem. Coś trzasnęło, ale później się tym zajmie. Dwoma susami wskoczył na półpiętro, złapał za poręcz i zawinął na zakręcie. Kolejne dwa susy, zawijka i już był przed drzwiami

do mieszkania. Szarpnął za klamkę, wpadł do środka i przebiegł przez przedpokój.

– Zaraz będę, kochanie! – krzyknął.

Wpadł do sypialni pełniącej też funkcję gabinetu. Dopadł biurka, niemal wyrwał szufladę i wywalił z niej dwie pierwsze teczki. Sprawdził trzecią – tak! – i złapał mocno, nie marnując czasu na zawiązywanie. Gdy wypadł z powrotem do przedpokoju, Magda stała w progu kuchni, marszcząc swój śliczny nosek.

– Wiesz, że wdepnąłeś w gówno? – zapytała.

– Nawet sobie nie wyobrażasz – odparł.

Już był z powrotem na schodach. Tym razem wystarczał jeden skok i zawijka na każde półpiętro. Minął rozwalone drzwi, przeskoczył żywopłot, a potem kupę i padł, dysząc ciężko, na maskę swojego wozu. Wyciągnął przed siebie teczkę.

Ordon wyjął ją z jego ręki, otworzył i ustawił się bardziej w świetle, by przejrzeć z uwagą kilka pierwszych zdjęć w formacie A3. Musiał przyznać, że choć to i owo minimalnie się rozmywało, to jednak w powiększeniu było bardziej przejrzyście niż zwykle. W zasadzie więc wyszło na dobre.

– Potrzebna mi będzie mapa Warszawy, a tobie – spojrzał na Świtonia – jakieś mniej pedalskie ciuchy i latarka.

Chłopak przełknął ślinę.

– Potrzebuje mnie pan? – zapytał.

Ordon pokręcił głową.

– Nie, chłopcze, to ty potrzebujesz drugiej szansy. No już, leć na stacje benzynową, czekam w wozie.

Mariacki bardzo powoli odwrócił głowę i przez szyby swojego samochodu patrzył na odchodzącego Ordona. Gdy wziął pod uwagę, co wiedział i usłyszał o starym, mógł się cieszyć, że tylko tak się to skończyło. Chciał dać sobie jeszcze minutę albo pięć na spokojne kontemplowanie życia na masce, ale przypomniał sobie o ważnej zasadzie, którą powinien kierować się każdy patriota i której sam uczył dzieci: świeć przykładem.

Poza tym, co właśnie do niego w pełni dotarło, miał w swoim czystym i schludnym domu konsekwencje deptania zieleni, które należało pilnie posprzątać.

***

Za nowym budynkiem TVP skręcił w lewo, w Samochodową, a zaraz potem za stacją benzynową w prawo, w Garażową. Dopiero teraz, za trzydziestym trzecim kursem w te okolice, przypomniał sobie, że był tu kiedyś, na tej ulicy, po odbiór jakiejś nagrody w siedzibie „Nowej Fantastyki”, którą podówczas czytywał.

Trzydzieści trzy kursy, trzydzieści trzy samochody, pomyślał Fido. Robiło się naprawdę gorąco. Wiedział o tym, czuł to, ale też niespecjalnie mógł z tym cokolwiek więcej zrobić. Już i tak pilnował się bardziej niż zazwyczaj. Dbał, by nie przesadzić z kradzieżami w żadnym policyjnym rewirze, wybierał różne marki, kolory, a nawet – w ramach ograniczeń specyficznego zamówienia – różne typy. Z wyjątkiem tej bryki na Żoliborzu, która sama się prosiła, nie zawijał wozów zostawionych „tylko na minutkę”, chyba że stawały w miejscach, gdzie groziło odholowanie. Wówczas z przyjemnością wyręczał służby, wiedząc, że zyskuje tym samym dobrych kilka godzin, podczas których pieklący się właściciel samochodu będzie odsyłany od jednej do drugiej służby w poszukiwaniu swojego zagubionego wozu.

Gdzieś przy dwudziestym samochodzie zadecydował, że musi już odpuścić Warszawę, i zajął się okolicznymi miasteczkami, do których dojeżdżał SKM, by nie mnożyć kradzieży i nie musieć wracać za każdym razem po swój samochód. Czas od pewnego momentu zrobił się naprawdę ważny, ale nie mógł – tym bardziej teraz – pozwolić sobie na pośpiech kosztem mniejszego skupienia i ostrożności.

Fido był jednocześnie spięty i podekscytowany. W jakiś sposób przypominało to trochę misję w GTA, w której kolejne części tak się swego czasu zagrywał, a trochę ten film z Nicolasem Cage’em i Angeliną Jolie. Oni mieli trudniej, bo kradli bardzo konkretne wozy, ale tam jednak był to film, a tu – prawdziwe życie.

Na Magazynowej raz jeszcze czekała na niego otwarta brama wiodąca do wielkiego nieużytku, zasłoniętego z góry olbrzymią płachtą niebieskiego brezentu. Wjechał na plac i zaczął szukać wolnego miejsca w bladym, mętnym świetle podwieszonych pod brezentem lamp. Przy okazji uświadomił sobie, że od ostatniego kursu zrobiło się tu naprawdę ciasno. Ile było tych wszystkich samochodów? Siedemdziesiąt? Więcej? Ani chybi musieli mieć kilku takich jak on. Na szczęście wyglądało na to, że jeden kradł właściwie wyłącznie furgonetki, a drugi kombi. Fido założył, że było

ich tylko dwóch, na podstawie liczby aut, ale może po prostu on sam śrubował wyniki i średnią?

Zaparkował obok bordowej multipli, rozbawiony jej brzydotą. Wyjął kluczyk ze stacyjki, a z kieszeni bluzy nasączone detergentem chusteczki zamknięte szczelnie w strunowej torebce. Starannie wytarł najpierw kluczyk, potem stacyjkę, kierownicę, gałkę zmiany biegów, przełącznik świateł i klamkę. Gdy wysiadł i zabrał się za czyszczenie fotela, ktoś do niego podszedł.

Fido wyprostował się i wsunął rękę do drugiej kieszeni bluzy, w której miał puszkę gazu.

– Dobry wieczór – rzucił, starając się brzmieć pogodnie, wręcz luźno.

Mężczyzna miał na sobie ciemnoszary garnitur, a pod nim czarny T-shirt. Był zbudowany dość przeciętnie, miał gładko ogoloną twarz, włosy wygolone dość wysoko, na górze zaczesane z przedziałkiem. Nosił okulary w ciemnych oprawkach.

– Dobry wieczór, panie Fieldorf – powiedział mężczyzna. Głos miał ciepły, przyjemny, choć nieco nosowy, do tego w zabawny, francuski sposób wymawiał „r”. – Jestem pełen podziwu dla pańskiej pracy.

Wyciągnął rękę, a Fido uścisnął ją po chwili wahania i wytarciu dłoni w spodnie.

– Wystarczy Fido, proszę pana – odparł. – A co do roboty, miałem trochę szczęścia.

– Czarnecki. Tomasz Czarnecki – przedstawił się tamten. – I proszę tu nie mówić o szczęściu. To kapryśna pani, panie Fieldorf. A pan jest po prostu wyśmienitym fachowcem.

Gdy się poruszył, dało się dostrzec, że w klapie ma prostokątny znaczek barwy grafitu. Ot maleńka płytka, która – zdaniem Fida – jak plama szpeciła poza tym nienaganny wizerunek Czarneckiego.

– Robię, co mogę, proszę pana. Ale powiem panu, to nie jest łatwe zamówienie. – Fido podrapał się po potylicy. – Zresztą aż mnie korci, by zapytać, po co panu czy pana szefom tyle trefnych aut naraz. Ani się tego nie upłynni, smród będzie jak ta lala.

Czarnecki zachęcił go ruchem dłoni.

– Proszę pytać, panie Fieldorf.

Fido się rozejrzał. Jeśli ktoś wywalał taką kasę jak kilkakrotność tego, co mu zwykle płacono, to musiał być cholernie pewnym siebie, dzianym i niebezpiecznym gościem. Takim, który z sam siebie może i lubi gadać, ale

gdy ktoś go o coś pyta, robi się nerwowy. Podzielił się tą wątpliwością z Czarneckim, rzecz jasna inaczej ubierając ją w słowa.

Mężczyzna w garniturze uśmiechnął się półgębkiem i przejechał palcem wskazującym po dachu ostatniej zdobyczy Fida, jakby chciał sprawdzić, czy wóz jest czysty. Rzeczywiście uniósł palec przed oczy, przyjrzał mu się z bliska, a potem płynnie przeniósł spojrzenie na Fida.

– Zapytaj – wycedził przez zaciśnięte zęby i wrócił do obserwacji brudu na palcu.

Fido poczuł, że kolana zaczynają mu drżeć, a w gardle robi się sucho. Zerknął nerwowo to w lewo, to w prawo, wypatrując na tym parkingu kogokolwiek jeszcze. Może innego złodzieja, może kogoś zatrudnionego do pilnowania samochodów. Kogokolwiek oprócz Tomasza Czarneckiego gapiącego się teraz na swój palec.

Boże, pomyślał nagle Fido. Zupełnie irracjonalnie, bo przecież na jego własne życzenie matka wypisała go z religii zaraz po pierwszej komunii, a potem już nigdy nawet się nie przeżegnał. Teraz jednak coś w tym wzniesionym brudnym palcu, tym cholernym geście na pokaz i jednym, pojedynczym słowie, jakie wyrwało się zza zaciśniętych, idealnie równych zębów, sprawiło, że zrobiłby wszystko, nawet pogodził się z Wszechmogącym, nawet w niego uwierzył, byleby stąd natychmiast uciec. Gdziekolwiek, byle poza ten trefny parking. Mógł po prostu pójść na przystanek, wsiąść w tramwaj, zanucić pod nosem „Pierdolę resztę kasy” i zwyczajnie wrócić do domu.

Boże, modlił się w myślach. Wiem, że robiłem źle, że nie lubisz kradzieży i że ogólnie mógłbym być lepszy. Ale w innych kwestiach się starałem, więc jakby była możliwość, żebyś uznał to za okoliczność łagodzącą, to daj mi teraz szansę się z tego wywinąć, a już nigdy nie zawinę bryki, dobrze? Ale Bóg nie odpowiedział, za to palec wciąż się wznosił. Fido westchnął ciężko.

– Po co te wszystkie auta, panie Czarnecki? – spytał w końcu, starając się zapanować nad drżeniem głosu, co mu się nawet udało. Do nazwiska. Przy drugiej sylabie głos potknął się i zafalował, jakby łapał równowagę.

Mężczyzna w garniturze opuścił palec. Wyjął z kieszeni chusteczkę do okularów, wytarł w nią starannie obie dłonie.

– Jesteśmy przezorni, panie Fieldorf – powiedział, znowu się uśmiechając. – Czasem, gdy puszczają tamy, woda nie idzie tak, jak

chcemy; rozlewa się, dokonuje przypadkowych zniszczeń. A my nie chcemy zniszczeń, panie Fieldorf. Nie przypadkowych.

– Aha. – Fido pokiwał głową energicznie. – Rzeka, tama, zniszczenia. No to teraz już wszystko rozumiem i z tym większą gorliwością zamierzam…

Przerwał, bo palec znów powędrował ku górze. Czarnecki nie przestawał się uśmiechać.

– To teraz ja mam pytanie, panie Fieldorf – oznajmił. – Wiem, że zbieżność nazwisk z generałem Nilem jest u pana przypadkowa, ale zastanawiał się pan kiedyś, co pański dziadek, było nie było prominentny polityk wiodącej lewicowej partii opozycyjnej, sądzi o pańskich, powiedzmy… zawodowych wyborach?

Fido wpatrywał się przez chwilę w swego rozmówcę, czując, jak niedawny strach odchodzi falami i wraca pod postacią czystej, białej wściekłości. Już nie bał się tego cholernego wymoczka, bo wiedział, z kim ma do czynienia. Facet nie był z policji, pewnie też nie z prasy, bo tu i tu mało kogo byłoby stać na taki garniak. Czyli cwaniak z politycznej konkurencji.

Nie pierwszy raz tacy jak on krążyli wokół Fida, więc nauczył się, jak z nimi rozmawiać, tak by się wywinąć. Teraz sytuacja wyglądała nieco gorzej, na bank mieli go na taśmach z lewymi wozami, a ten prostokącik w klapie to jak nic źle zamaskowany mikrofon. Ale nawet jeśli coś tam nazbierali, nie była to z pewnością karta, której dziadek nie umiałby przebić. Wiele można było powiedzieć o tym starym esbeckim skurwielu, zbijającym obecnie największy kapitał na doklejaniu się do młodej lewicy, ale nie to, że nie umiał się w życiu ustawić.

Fido opuścił głowę, zamknął oczy i powoli policzył do pięciu. Gdy ją podniesie, myślał, powie temu gościowi, żeby robił, co chce, ale on właśnie rzuca tę robotę i wychodzi. Numer do dziadka mają, na policję i do telewizji też, a jak bardzo chcą, to w budynku kilkaset metrów stąd wezmą materiał z pocałowaniem ręki, wystarczy tylko…

Podniósł głowę. Zobaczył wycelowany w siebie tłumik. Padł strzał.

Zza samochodów wyłoniło się czterech drabów ubranych od butów po kaszkiety na czarno. Czarnecki schował broń i wskazał palcem ciało.

– Weźcie go i zróbcie mi porządne odciski we wszystkich autach, które przywiózł – polecił. – Ciało tam, gdzie pozostałe, ma nie wypłynąć co najmniej do wtorku za dwa tygodnie i niech to przypomina robotę

w dawnym stylu – Prószków, Wołomin. No i przypomnijcie reszcie jutro, że zbiórka już o szóstej, bo auta trzeba będzie rozstawić. Jasne?

– Jasne – odpowiedział stojący najbliżej Czarneckiego żylasty typek średniego wzrostu z bulwiastym nosem. Przykucnął za Fidem, uważając na krew, i podniósł ciało, wsunąwszy mu ręce pod pachy.

Czarnecki zrobił krok do przodu, dotknął rany wlotowej w głowie chłopaka, a potem wtarł krew w znaczek na klapie. Dopiero wtedy dało się dostrzec, że płytka nie jest jednolita. Przez środek przecinał ją prosty krzyż.

***

Do północy i przybycia Sawki zostało jeszcze trochę czasu. Siedząc w pokoju, Zawisza nie umiał się powstrzymać przed zezowaniem na fotografie, od czego bolały go już oczy i głowa. Uznał więc, że najlepszym wyjściem będzie wybrać się na spacer. Wziął szybki prysznic, przy okazji zachlapał pół pokoju, wytarł podłogę drugim dostępnym ręcznikiem i przebrał się w coś mniej rzucającego się w oczy niż koszulka reprezentacji.

Właściwie, pomyślał z rozbawieniem, gdy przejrzał się w lustrze, teraz był wręcz przeciwieństwem rzucania się w oczy. W czarnej wojskowej kurtce i dżinsach w tym samym kolorze, w ciemności był w zasadzie niewidoczny. Czasem z tego korzystał w Katowicach, gdy szedł na nocną akcję.

Co prawda, tego wieczoru akcji nie planował, ale i tak włożył do wewnętrznej kieszeni krótką, teleskopową pałkę, a wojskowe buty starannie zasznurował. Kochał Polskę, ale była to miłość Kmicica do Oleńki – dużo jeszcze nieporozumień było trzeba i wiele łbów pozostawało do rozbicia, nim pojawi się choć cień wzajemności. Na razie najmilszym, na co mógł liczyć, były porównania do Makumby czy Olisadebe.

Zjechał na dół. Gdy mijał recepcję, puścił oko stojącej za ladą dziewczynie, a ta znowu się zaczerwieniła i spuściła wzrok. Obszedł budynek, przez chwilę dumał, jak przejść na drugą stronę ruchliwej ulicy, aż w końcu zdecydował się cofnąć troszkę na most Łazienkowski.

Był miły, letni wieczór. Na Wiśle skrzyły się światła, gdzieś z drugiego brzegu dobiegały muzyka i śmiechy. Paliły się ogniska, lampki rozwieszone między słupkami, neony. Dym o zapachu kiełbas, karkówek i cebuli niósł się nad wodą aż na drugi brzeg. Zawisza szedł możliwie blisko rzeki. Nie

zawsze się dało, czasem miejsce było odgrodzone lub wręcz zabudowane, ale gdy tylko mógł, schodził w mrok i z rękami w kieszeniach chłonął wieczór i jego atmosferę.

Raz mało nie wpadł na niego rowerzysta. Jechał wprost na Zawiszę, chyba trochę zamyślony, skręcił w ostatniej chwili, ale potem i tak wyrżnął orła, gdy obejrzał się za siebie.

– Jesteś prawdziwy – powtarzał w szoku raz za razem, gdy Zawisza próbował udzielić mu pomocy. – Powiedz, że jesteś, kurwa, prawdziwy.

– Jestem. – Błysnął w uśmiechu bielą zębów.

– Powinniście nosić odblaski. – Rowerzysta pokręcił głową z dezaprobatą, po czym wstał, sprawdził rower, poprawił siodełko. – Chuja was widać w tej ciemności.

Zawisza szedł dalej. Teraz w bladym świetle dostrzegał pary migdalące się na ławkach, samotnego gościa popijającego piwo, kogoś sikającego w krzakach.

Im bliżej mostu Poniatowskiego, tym na bulwarze robiło się tłoczniej i głośniej. W pewnym momencie ludzi było już tyle, że Zawisza uznał, iż dalszy spacer nie ma już sensu i pora wracać.

Wtedy usłyszał znajomy głos…

ROZDZIAŁ 7
POD MOSTEM

Przez moment Gośka rozważała podjechanie tramwajem, ale gdy znalazła się na przystanku, obok niej stały tylko ubrane na czarno, mocno czymś rozdrażnione dziewczyny zbite w ciasną grupę. Rozmawiały przyciszonymi, ale podekscytowanymi głosami. W pewnej chwili jedna z nich – wysoka, obcięta na krótko, taka w typie modelki – podniosła głowę, rozejrzała się i posłała Gośce naprawdę nieprzyjemne spojrzenie, zarezerwowane pewnie wcześniej dla męskich natrętów.

Gośka wychyliła się nad torowisko, ale dostrzegła światło tramwaju dopiero daleko na horyzoncie, uznała więc, że może się przejść. Najpierw jednymi, potem drugimi pasami obeszła rondo, poprawiła ułożenie torebki i dziarskim krokiem powędrowała wzdłuż budynku Muzeum Narodowego, a potem dalej na most Poniatowski.

Była w połowie drogi, gdy minął ją tramwaj po brzegi wypchany ludźmi. Na tle kolorowych, rozbawionych mieszkańców Warszawy, zapewne zmierzających także nad Wisłę, ściśnięta grupka kobiet w czerni wyglądała niczym dziura, wyrwa w rzeczywistości, wcielona noc. Nagle Gośka nabrała niezwykle silnego przeczucia, że ktokolwiek teraz stał przy tych dziewczynach, musiał czuć przenikliwy, wręcz bolesny chłód.

Szła dalej. W pewnym momencie śmignął koło niej samochód z otwartymi oknami, dudniący hip-hopem, a kilka sekund później kolejny, jadący z przeciwka, zaoferował nieznany jej utwór disco polo w efektownym remiksie Dopplera. Oburzony rowerzysta zadzwonił na nią dzwonkiem. Drugi, który chciał minąć ją akurat na przewężeniu, prawie na nią wpadł, a potem dobre sto metrów szedł obok i na przemian to przepraszał, to próbował podrywać. To ostatnie szło by mu nieco lepiej, gdyby nie miał na sobie obcisłych, rowerowych spodenek z groteskowym ochraniaczem w kroku, ale ponieważ generalnie był miły, Gośka nie zamierzała go jakoś obcesowo spławiać.

Przedstawił się jako Bartek. Powiedział, że pracuje dla sporej kancelarii prawniczej i dopiero od niedawna ma czas na rower, bo wcześniej o takiej godzinie pewnie jeszcze siedziałby w kancelarii.

– Dałbym ci swoją wizytówkę, ale jak sama widzisz, nie mam kieszeni – stwierdził, klepiąc się po żebrach i udach, jakby mimo wszystko szukał wizytownika. – No, ale może złapiemy się na fejsie, co?

Powiedziała, że jasne. Podała mu wymyślone imię i nazwisko – Monika Rożek, a on wyjął telefon z mocowania na ręce i natychmiast wpisał w wyszukiwarkę portalu. Wyskoczyło osiem opcji, a Gośka pokazała mu tę z księżniczką Elsą na zdjęciu profilowym.

– To ja – powiedziała z przekonaniem. – Możesz dodać, a ja później zaakceptuję.

– Królowa lodów? Najs!

Gdy ponownie na nią spojrzał, zdała sobie sprawę po jego uśmiechu, że to nie było zwykłe przejęzyczenie. To był żart, w dodatku w jego przekonaniu na tyle udany, że zamierzał go, nomen omen, ciągnąć. Nagle poczuła, że nie ma ochoty dłużej z tym człowiekiem gadać. Więcej nawet, że nie ma ochoty już na niego patrzeć czy po prostu być obok. Ten żart to może był i drobiazg, ledwie maleńki kroczek, ale zdecydowanie w niewłaściwą stronę i nie miała ochoty sprawdzać, gdzie zaprowadzi ją brak reakcji. Zatrzymała się więc, otworzyła torebkę i zaczęła w niej szukać. Miała świadomość, że się czerwieni, jak zawsze w niezręcznych sytuacjach, ale liczyła na to, że w żółtym świetle lamp nie będzie tego aż tak widać. Poza tym już dawno obiecała sobie, że zacznie z tym walczyć.

– Czegoś szukasz, Moniko? – zapytał Bartek i również przystanął. – Może ci pomóc jakoś?

Pokręciła głową, wciąż przerzucając rzeczy w torebce.

– W zasadzie czekam, aż sobie pójdziesz – odparła. – Ale jeśli znajdę przy okazji tę puszkę gazu, to też się nie zmartwię.

Nie odpowiedział. Usłyszała tylko powietrze wypuszczane jak po ciosie w brzuch. Zachrzęściły przerzutki i pedały, a potem do jej uszu doszło niewyraźne „suka”, które równie dobrze mogło być wiatrem albo mlaskiem opon na asfalcie.

Przestała grzebać w torebce i spojrzała przez ramię na rozświetlone Centrum, skąpane w szybko zapadającym zmroku. Gdzieś w jej głowie pojawiła się myśl, żeby może zawrócić, pójść z powrotem, przysiąść znowu w jakiejś kawiarni na dworcu. Odpędziła ją jednak i ruszyła do przodu. Kilkadziesiąt metrów dalej zeszła po schodach do przejścia pod mostem i wyszła wprost na gwarliwy, przybrzeżny bulwar.

Prawie nie było tu światła, ledwie tyle, co skapnęło z mostu i latarni pobliskiej ulicy. Ludzie siedzieli na kamiennych schodkach, pili piwo bądź wino z puszek, butelek i plastikowych kubków, rozmawiali. Pod mostem, w kolejce do toi
toiów, zawierały się tymczasowe znajomości, nieco dalej, przy samej wodzie, grupka czterech nastolatków stała na baczność i śpiewała *The End* Doorsów, niemal całkowicie przekrzykując głos Morrisona dochodzący z głośniczka.

Szła powoli, z przyjemnością słuchając, jak żywe rozmowy przechodzą z tematu w temat, z języka w język. Byli tu ludzie w T-shirtach, koszulkach i klapkach, byli też tacy i takie, którzy nad Wisłę wpadli prosto z pracy – mieli na sobie garnitury bądź garsonki, a biel ich koszul czy bluzek odcinała się od ogólnej szarości.

Jakaś dziewczyna zatoczyła się na Gośkę, za co zaraz przeprosiła i zaproponowała łyk wina. Słysząc odmowę, uniosła ręce, jakby się poddawała, czym wywołała salwę śmiechu kolegów i koleżanek. Sama Gośka też się uśmiechnęła, choć nie powstrzymała nerwowego odruchu poprawienia torebki. Coś bowiem było w tym śmiechu, co przebijało się przez warstwę wesołości, coś…

Przyspieszyła kroku. Ta jedna myśl, przypadkowa, instynktowna i zupełnie obca, stała się nagle najważniejsza. To, co jeszcze przed sekundą było wyłącznie gwarem ludzi szukających rozluźnienia po męczącym dniu, zyskało jakiś brzęczący, nieprzyjemny poddźwięk. Jak bzyczenie rozdrażnionego ula. Rzuciła okiem na kolejną mijaną grupkę i w żywej gestykulacji mówiącego właśnie chłopaka dostrzegła nerwowość, drżenie. W ułożeniu ust, w zmarszczeniu nosa i czoła, w cieniach formujących się na twarzy niczym w zmieniającej się nieustannie planszy z tego psychologicznego testu z plamami było coś pierwotnego, agresywnego. Coś szukało ujścia.

Odwróciła głowę przekonana, że to atak paniki – zwyczajnie za dużo stresu, za głośno tu, za ciemno, zbyt niepewnie, ale wtedy zobaczyła kłócącą się parę. Choć tylko mówili do siebie podniesionymi głosami, ich widmowe ręce, rozedrgane niczym amplituda radiowej częstotliwości, rozmyte jak na nieudanym zdjęciu, już się wznosiły. Już zaciskały się pięści, już…

– Hej, mała, dokąd tak gonisz? Tu jestem.

Zatrzymała się i zdała sobie sprawę, że wciąż jest na bulwarze, ale poza centrum tłumu. Tu ludzi było dużo mniej, a jedyną większą grupę stanowiła paczka ubranych w dresy młokosów siedzących półokręgiem na schodkach wokół kilku puszek po piwie i dwóch flaszek. To właśnie stamtąd dobiegł ją ten nieco skrzeczący, gardłowy głos. Postanowiła go zlekceważyć i po prostu minąć chłystków, ale kątem oka dostrzegła, że jeden z nich wstał, zeskoczył ze stopnia i szykował się do zastąpienia jej drogi.

Zwolniła, by zyskać chwilę czasu do konfrontacji, a jednocześnie zaczęła bardzo intensywnie myśleć. Jeśli zacznie biec przed siebie, odbiorą to jako zachętę do zabawy i na pewno się na nią rzucą. Było ich pięciu i w przeciwieństwie do niej mieli sportowe buty, nie byli też dość pijani, by się słaniać. Na pewno ją złapią, i to w dodatku z dala od ludzi.

Mogła też zawrócić, przecież od tłumu na bulwarze dzieliło ją ledwie parę kroków. Mogła zacząć krzyczeć i prosić o pomoc, co kosztowałoby ją trochę wstydu, ale pewnie przyniosłoby skutek. Była niemal pewna, że ktoś by się tam za nią wstawił, a za pierwszym poszłaby fala kolejnych. Skończyłoby się pewnie na wyzwiskach, płomiennym rumieńcu, z którym podziękowałaby swoim wybawcom, a potem szybkim powrocie na dworzec i…

Przystanęła w lekkim rozkroku i poprawiła torebkę.

– Przepraszam, ale stoisz mi na drodze – powiedziała do chłystka.

Znowu poczuła, że się czerwieni. To jej zmora, rzecz, której nigdy nie była w stanie opanować i która w wielu sytuacjach kosztowała ją sporo utraconej bezpowrotnie pewności siebie i idących za nią szans. Zwykle była skłonna ze wszystkiego się wycofać, byle tylko ludzie nie widzieli, jak policzki, szyja i czoło zaczynają jej płonąć, jakby miała gorączkę, a głos wpada w dziwne wibracje.

Ale nie teraz. W tym momencie półmrok dodawał jej odwagi i pewności siebie, a tłumiony do tej pory gniew domagał się ujścia. Była zła, nie, była wściekła. Na Mirka, że podjął decyzję za jej plecami i rozegrał wszystko tak, by musiała się zgodzić. Na Bartka z mostu, że nie potrzebował nawet pięciu minut, by okazać się dupkiem; na dziewczyny z przystanku, a nawet na Zawiszę, że tak bezceremonialnie się rozpanoszył z tym swoim dżentelmeństwem, właściwie nawet nie zastanawiając się, czy ona sobie tego życzy. Nade wszystko jednak była zła na siebie, że na to pozwalała wyłącznie dlatego, żeby jej durny organizm nie narobił jej wstydu, reagując na świat jak spłoszona pensjonarka z dziewiętnastowiecznej powieści.

Nie teraz, powtórzyła sobie i przyjrzała się uważnie chłystkowi. Był dobrze zbudowany, pewnie dwa razy cięższy od niej; najwyraźniej ćwiczył, choć brzuch wskazywał, że miał partie treningowe, które raczej odpuszczał. Gęba zarośnięta, głęboko osadzone oczy, emanujące, podobnie jak krzywy uśmiech, tą uliczną, cwaniacką pewnością siebie. Zauważyła też bliznę tuż pod krótką, nażelowaną grzywką. Ciągnęła się w poprzek zmarszczek na czole, lekko na ukos.

– Nie ma się co śpieszyć, mała – powiedział, postępując krok do przodu. – Wieczór jest piękny, tu taka miła kompanija, nie chłopaki?

Zawtórowali mu pełnym aprobaty rechotem, od którego Gośce zrobiło się niedobrze. Przełożyła torebkę na lewe ramię, ale tak niefortunnie, że pasek zsunął się i zatrzymał dopiero na dłoni. Chłystek podążył za nią wzrokiem i już otwierał usta, by to skomentować, ale wtedy zaciśnięta w pięść prawa ręka Gośki wystrzeliła nagle i trafiła go prosto w krtań. A potem, nim ktokolwiek zdążył zareagować…

***

…Gośka wykonała rzut.

Zawisza, gdy usłyszał nerwowy głos Gośki, szybko dopasował go do rysujących mu się w półmroku sylwetek, przyspieszył kroku i wszedł w światło akurat w chwili, gdy kobieta najpierw uderzyła przeciwnika, a potem odrzuciła na bok torebkę, sprawnie złapała chłystka i wykonała rzut przez bark. Wylądowała na przewróconym facecie i zanim się podniosła, trochę koślawą, przerdzewiałą sprężynką grzmotnęła go jeszcze łokciem w splot.

Koledzy chłystka poderwali się niemal natychmiast. Pierwszy, najśmielszy i największy ze wszystkich, zeskoczył ze stopnia i uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– No lalka, ale takie dżudy to mogłaś sobie darować – powiedział. – Teraz już będziesz musiała zadbać o kolegę. Jesteś mu winna.

Gośka cofnęła się o krok, ustawiła gardę. Trochę za niską, koślawą jak ta sprężynka i ze zbyt oczywistym ustawieniem nóg pod low kick, ale Zawisza i tak był pod wrażeniem. Nie spodziewał się po królowej uroczego rumieńca takiej waleczności. Wiedział jednak, że drugi raz ta sztuczka nie mogła się udać. Facet, który stał przed nią, był większy niż pierwszy – nim raczej nie miała szans rzucić. Nie miała też przewagi zaskoczenia; nawet

jeśli właściwie wyprowadzi ciosy, to raczej nie zrobią one wrażenia na osiłku ani jego trzech kolegach.

Zawisza odchylił połę kurtki i wyciągnął pałkę teleskopową. Uchwycił ją mocno, spuścił rękę wzdłuż ciała i pewnym krokiem ruszył do przodu.

– Hej, ty, gruby! – krzyknął.

Zadziałało. Wielkolud i jego koledzy odwrócili się w jego stronę, nawet Gośka zaryzykowała pełne nadziei spojrzenie.

Niedobrze, dziewczyno, pomyślał Zawisza. Chcesz walczyć, to nigdy nie trać koncentracji.

– Byłeś szczepiony, gruby? Bo wiesz, w dzisiejszych czasach to nieoczywiste, a ty wyglądasz trochę na zadżumionego.

Pozostali zeszli ze schodków. Jeden podniósł po drodze butelkę, zważył ją w dłoni, drugi strzelił karkiem. Trzeciego albo ta sytuacja bardzo podkręciła, albo szukał w kieszeni noża czy kastetu. Nagłe poruszenie gdzieś w rozmytym tle świadczyło, iż sytuacja zwróciła już uwagę tłumu z okolic mostu. Część bardziej ciekawskich imprezowiczów już szła w tę stronę.

Gdy dojdą, będzie już po wszystkim, pomyślał Zawisza. Potrzebował tylko utrzymać na sobie uwagę chłystków jeszcze przez kilka sekund, kilka kroków.

– A wiesz, gruby, jak kiedyś mówiono na dżumę? – zapytał. – Pewnie nie, bo nie wyglądasz, jakbyś się przykładał w szkole. No ale może mnie zaskoczysz, co? Wiesz…

Wielkolud odwrócił się, stając frontem do Zawiszy. Zacisnął pięści i zęby.

– Pierdolony czarnuch… – zaczął cedzić.

Ręka Zawiszy zatoczyła szeroki łuk. Olbrzym uskoczył przed ciosem, pozwalając, by Murzyn śmignął przed nim, ale nim zdążył wyprowadzić własne uderzenie, dostał łokciem w podbródek, aż nim zatrzęsło. Zawisza wywinął się w zgrabnym piruecie, szybkim ruchem otworzył pałkę i walnął z całej siły na odlew, aż gruchnęły kości.

– Prawie dobrze – ocenił. – Mówili na nią czarna śmierć.

Nie zdążył się obejrzeć, a wielkolud osunąć, gdy rzucili się na niego pozostali trzej. Z nimi jednak Zawisza nie miał większego kłopotu, bo – jak łatwo dało się zauważyć – nigdy nie ćwiczyli walki zespołowej. Przeszkadzali sobie, wpadali na siebie, ich ciosy były nieskładne, a celu dosięgnął właściwie tylko jeden, i to niemal pozbawiony impetu.

Zawisza z kolei punktował każdą pomyłkę. Pałka śmigała ze świstem, z każdym unikiem wiązała się szybka kontra, a to z bliska, a to z półdystansu.

Od mniej więcej połowy tego nieco przeciąganego starcia coraz liczniejsza publiczność kwitowała każde takie uderzenie pomrukiem aprobaty, a upadek każdego przeciwnika głośnym wiwatem. Gdy upadł ostatni, a Zawisza przyklęknął, by uderzeniem o beton złożyć pałkę, rozległy się oklaski.

Gośka podeszła do niego, podała mu rękę.

– Dziękuję – powiedziała. – To było niesamowite.

Wzruszył ramionami.

– Czy ja wiem, miałem przewagę, bo prawie mnie nie widzieli. Za to ten rzut, powiem ci… ten rzut…

Chciał jakoś rozwinąć tę myśl, ubrać może w fachowe słowa, uzupełnić poradą, ale przeszkodziło mu nagłe poruszenie i piskliwe, agresywne krzyki jakiegoś faceta. Gdy się obejrzał, dostrzegł szczupłego chłopaka z długą, starannie wypielęgnowaną brodą. Nosił obcisłe spodnie i fioletową koszulę, spod której podwiniętych rękawów wyłaniały się skomplikowane tatuaże. Pochylał się nad facetem, którego powaliła Gośka, kopał go z furią po żebrach i darł się przy tym, jakby od tego zależało jego życie, jednocześnie starannie oddzielając słowa kolejnymi kopnięciami:

– I! Właśnie! Przez! Takich! Chujów! Takich! Chujów!

– Ej, stary, przestań. Wystarczy. – Zawisza postąpił krok w jego stronę, ale wtedy poczuł, że ktoś łapie go za rękę.

– Spójrz na nich – szepnęła z przestrachem Gośka. – Coś się z nimi dzieje.

Rzeczywiście, tłum niedawnych imprezowiczów stojący w półkręgu nad pobitymi chłystkami ucichł nagle i z milczącą fascynacją wpatrywał się w brodacza w fioletowej koszuli. Jednocześnie gdzieś z ostatnich rzędów narastał i nasilał się miarowy pomruk, jakby…

– Słyszysz to brzęczenie? – zapytała Gośka. – Jak w jakimś ulu.

– No właśnie… – zaczął Zawisza, ale umilkł, nie wiedząc, co właściwie mógłby tu dodać. Odruchowo spróbował ukryć Gośkę za sobą, ale ta się oparła i nie puszczając jego ręki, stanęła obok.

Dziewczyna z pierwszego rzędu wygięła się nagle w tył, szarpnięta spazmem, po czym rzuciła się do przodu. Doskoczyła do zbierającego się z ziemi olbrzyma, złapała go za głowę, odchyliła ją na bok i wgryzła się

w szyję. Wielkolud wrzasnął przeraźliwie i to był chyba sygnał potrzebny całej reszcie, bo nagle i oni zaczęli się trząść, skręcać, a potem rzucać na leżących zbirów.

– Co to, kurwa, jest?! – zawołał z przerażeniem ktoś za plecami Zawiszy. Ten obejrzał się przez ramię i…

– Czarny, uważaj!

Odruchowo wyciągnął rękę, a atakująca go dziewczyna z połową głowy ogoloną na łyso, a drugą zafarbowaną na niebiesko, nadziała się szyją wprost na jego dłoń. Warknęła coś, próbowała ugryźć, kopnąć, ale tylko miotała się bezradnie. Zawisza spojrzał jej prosto w oczy i zobaczył, że całe są źrenicami – nie dostrzegł w nich nawet śladu bieli. Walnął ją w skroń pewnym, mocnym ruchem, a gdy zwiotczała, cisnął w ulizanego gogusia pod krawatem, który zamierzył się na niego butelką. Chłopak był niewiele większy od niebieskowłosej, więc razem polecieli do tyłu, robiąc tym samym miejsce na kolejnych atakujących i walczących.

To nie jest tak, zauważył Zawisza, unikając kolejnych ciosów i zadając szybką, skuteczną serię własnych, że oni walczą z nami czy tymi na ziemi. Oni walczą każdy z każdym.

Ponownie rozłożył pałkę, zrobił unik, szarpnął za mijającą go rękę, by wykorzystać impet chybionego ciosu. Grzmotnął rękojeścią broni jak młotem, kogoś zdzielił łokciem. Nie wiedzieć kiedy znalazł się nagle w samym środku kolorowego tłumu. Napierali na niego weseli brodacze, ulizani biznesmeni i wymoczkowaci hipsterzy. Tłukły go i próbowały gryźć dziewczyny szukające na bulwarze clubbingowego natchnienia lub towarzystwa, rzucały się na niego awangardowe poetki i tekściarki z krótkimi włosami na żel.

On sam nie pozostawał dłużny, odpowiadał każdej z tych ucieleśnionych potrzeb odmienności, każdej indywidualności zebranej teraz w cudaczną, dziką zbiorowość. Lał z góry po samurajskich kucykach, z dołu w zbieg ciasnych rurek pod wymyślnymi klamrami pasów, szarpał napomadowane wąsy i brody, łamał obcasy, hybrydowe paznokcie i, gdy już naprawdę zdał sobie sprawę, że to być albo nie być, gładko wydepilowane nogi.

Nie miał pojęcia, ile już rozbito na nim butelek, zawartością ilu kubków go oblano, czy mokry był od piwa, wina, czy krwi. W pewnym momencie odrzucił gdzieś pałkę i po prostu łapał, za co się da, szarpał, rozrywał tunele w uszach, rzemienie niezliczonych wisiorków, bransoletki przyjaźni. Grzmocąc głową, miażdżył twarze i tłukł markowe okulary, krawędzią

superpłaskiego tabletu ciął jak nożem. A wszystko to do wtóru nieludzkich wrzasków, jęków i przeraźliwego pszczelego buczenia.

Przy którymś obrocie dostrzegł Gośkę. W jakiś sposób wznosiła się ponad tłumem i rozdawała razy na lewo i prawo podniesioną z ziemi torebką, której pasek zawinęła wokół nadgarstka. Potrzebował sekundy, której zdecydowanie nie miał, by zauważyć, że dziewczyna siedzi na barana na wielkoludzie, którego Zawisza wcześniej znokautował. Zdążył jeszcze pomyśleć, że prawdziwe wojny tworzą dziwne sojusze, a potem mocny cios w tył głowy powalił go na kolana.

***

Korzystając z kolejnych czerwonych świateł, Sawka ponownie wybrała numer Zawiszy. Jak poprzednio, po pięciu sygnałach odezwała się poczta głosowa bez spersonalizowanego powitania, prosząc o zostawienie wiadomości. Nie zrobiła tego. Rozłączyła się, wbiła bieg i ruszyła przez skrzyżowanie. Chciała dać znać nowemu znajomemu, że wypadł jej ostatni kurs i zjawi się u niego wcześniej, ale przecież równie dobrze mogła to zrobić już spod hotelu. Zawisza mógł się przecież kąpać, mógł wyjść na spacer i zostawić telefon do ładowania, cokolwiek. Będzie chciał, to oddzwoni, a jak nie, Sawka wypali papierosa pod hotelem i pojedzie. Nie będzie się przecież narzucać, nawet jeśli z ciekawości aż ją skręcało. Co to były za plany? Czemu tak ukryte? I dlaczego, do cholery, ktoś dał je Zawiszy i uciekł?

Oczywiście to mógł być internetowy prank. Ostatnimi czasy stawały się one coraz bardziej złożone i profesjonalne, bo i coraz częściej finansowane były przez duże firmy, chcące na nich ukręcić własne lody. Internetowe żarciki odnoszące sukces, jak jej tłumaczyły swego czasu Łokietki, coraz rzadziej bywały faktycznie dziełem amatorów, a coraz częściej celowo uproszczonym i sprymitywizowanym formalnie viralem. „Coś jak homemade porn robiony przez profesjonalne studio”, jak to koledzy byli łaskawi jej zobrazować, jakimś cudem uważając, że takie porównanie najlepiej do niej trafi.

Rozkołysany facet na przystanku zamachał na nią, a gdy po prostu go minęła, pokazał jej środkowy palec. Mignęła mu światłami i na najbliższym skrzyżowaniu skręciła w lewo w Konwiktorską. Gdy minutę później mijała skwer Dywizji Pancernej, na którym spory tłumek podziwiał akurat

multimedialny pokaz grających fontann, zadzwonił telefon. Zerknęła na niego, ale zamiast numeru Zawiszy na ekranie zakwitła pajęczyna. Odebrała i wcisnęła głośnik.

– Kapral Macioszek zrezygnował z kursu – powiedziała, nim ktokolwiek zdążył się odezwać. – Powiedział, że słabo się dziś czuje i woli zostać…

– Coś się dzieje pod Poniatowskim – przerwał jej metaliczny, przetworzony głos. – Jedź tam natychmiast.

Przyspieszyła. Do mostu miała moment.

– Co znaczy „coś się dzieje”? – zapytała. – Mam wziąć zabawki?

– Tak – odparł głos i połączenie zostało przerwane.

Sawka wciągnęła powietrze, sapnęła, zmieniła pas ruchu i jeszcze mocniej docisnęła gaz. Stare, odrestaurowane nadwozie zaprotestowało cicho, ale dla tego, co kryło się pod maską, nie była to nawet połowa możliwości.

***

Gość, który ugryzł Gośkę w nogę, miał na zębach aparat. Gdy się szarpnęła, by uwolnić łydkę, metal rozrył jej skórę i mięsień prawie do kości. Wrzasnęła, wierzgnęła mocniej, a wtedy olbrzym, na którego karku siedziała, jakby zyskał nowe siły. Ryknął, zadarł ręce i zaczął tłuc na oślep, jak cepem, byle się wyrwać.

– Jebać! Jebać! – darł się, dopóki Gośka nie ścisnęła mu udami szyi, czym mało nie pozbawiła go tchu.

Parli w stronę schodów, a imprezowicze napierali, ale też okładali się między sobą. W ruch szły reklamówki z piwem, plecaki kostki z naszywkami metalowych kapel, tablety i laptopy. Ktoś miał nóż, potem go stracił, a potem znów go miał, tyle że w oku. Pulchna dziewczyna w różowej koszulce z cyrkoniowym napisem „Bitch, I’m fabulous” siedziała okrakiem na lasce w kraciastych ogrodniczkach i wyła do księżyca, trzymając w ręce okrwawiony pukiel włosów ofiary. Wszystko to, myślała gorączkowo Gośka, coraz mocniej przypominało wyobrażenie prokościelnych polityków o Przystanku Woodstock. Brakowało jeszcze tylko, żeby pośród tej całej krwi i wrzasków ktoś zaczął uprawiać seks.

Olbrzym pod nią wykonał nagły zwrot. Podniosła wzrok i dostrzegła, jak świetnie sobie dotąd radzący Zawisza pada pod silnym uderzeniem w tył głowy. Już chciała krzyknąć, ale zobaczyła nagły słup białego światła, który

na krótką chwilę zwrócił uwagę wszystkich, a potem dziwną sylwetkę u szczytu schodów, trzymającą w rękach coś przypominającego kształtem rurę.

– Kto może, niech padnie! – zawołała dziewczyna i Gośka zdała sobie sprawę, że to Sawka, taksówkarka, która ich dzisiaj podwoziła. Tylko co ona tutaj robiła?

– Mam paść? – zapytał olbrzym i grzmotnął prosto w twarz pryszczatego chudzielca w peruwiańskim ponczo. Cios był mocny, dobrze wymierzony i pod jego wpływem twarz niemal zapadła się do wewnątrz jak gliniany, nieuformowany dzban.

– Chyba lepiej… – zaczęła Gośka i w tym samym momencie Sawka zaczęła strzelać.

Do wrzasków, krzyków i innych nieludzkich dźwięków dołączył miarowy terkot, a z rury, która zdawała się obracać, sypał się w tłum grad dużych, ciężkich pocisków, doskonale widocznych w blasku reflektora. Krzyki jeszcze się nasiliły, ale nagle było w nich więcej bólu niż gniewu, a imprezowicze bardziej niż na walce skupiali się teraz, by osłonić twarze. Większość z nich kierowała się przy tym w stronę światła i przyjmowała dziwne pozy, zupełnie jak wampiry w starych filmach przyłapane przez brzask.

Jedna z kul trafiła olbrzyma prosto w pierś. Stęknął cicho, jakby z wyrzutem, a wtedy drugi pocisk trafił go tuż pod szyją. Wielkolud poleciał do tyłu, nerwowo machając rękami. Gośka szczęśliwie wylądowała na kimś, przetoczyła się, wstała, a potem skulona pobiegła w stronę miejsca, gdzie upadł Zawisza. Wokół niej świstały gumowe kule, padali ludzie, a ci, którzy po prostu leżeli, próbowali odczołgać się z linii strzału.

Jeden pocisk sięgnął jej ramienia, co bolało jak najboleśniejsze wspomnienie z przeszłości. Jednak mimo tego i coraz bardziej doskwierającego bólu rozoranej łydki dobiegła do Czarnego, zepchnęła leżących na nim chłopaka w płóciennej koszuli i dziewczynę w bluzce w kwiaty, po czym z wysiłkiem obróciła Zawiszę na plecy. Sprawdziła mu puls. Żył. Klepnęła go w twarz. Otworzył oczy.

– W porządku – zapewnił i poderwał się z miejsca tylko po to, by zarobić gumową kulką, która na szczęście tylko go musnęła. – Ej, co jest?!

Terkotanie ucichło.

– Zawisza? – rozległ się zdziwiony głos Sawki. – Ty tutaj?

Murzyn podniósł się powoli, korzystając ze wsparcia Gośki. Wyprostował się, przeciągnął, kopnął w okrągłą twarz rudzielca w sportowej marynarce, który próbował go ugryźć.

– A gdzie mam być w Warszawie w letni, kurwa, wieczór? – zapytał powoli, ruszając pośród pojękujących, ale najwyraźniej skutecznie już spacyfikowanych imprezowiczów. – Ponoć to właśnie tu są najlepsze imprezy.

– Ponoć – zgodziła się Sawka i obejrzała się nerwowo, gdy dotarł do nich dźwięk policyjnych syren.

– Idziecie ze mną czy zostajecie? – zapytała i wskazała kciukiem za siebie. – Stoję tam na awaryjnych.

Dopiero z bliska Gośka dostrzegła, że to, co pierwotnie wzięła za rurę, jest w zasadzie kilkoma szerokimi lufami zmontowanymi w okrąg i najpewniej obrotowymi. Były zamocowane do dużego pudełka przypominającego trochę dmuchawę do liści, a to z kolei zostało podłączone przewodem do pokracznego plecaka rodem z filmu *Pogromcy duchów*.

– Co to, u diabła, jest? – Zawisza uprzedził pytanie Gośki.

Sawka wzruszyła ramionami.

– Ja krocząca na przekór modzie. Idziecie?

Zawisza wyłączył i podniósł przenośny reflektor, a potem razem przebiegli przez ulicę i wsiedli do taksówki migającej pomarańczowymi światełkami. Odjechali w samą porę – niemal w tym samym momencie przy bulwarze zjawiła się kolumna policyjnych furgonetek na sygnale. Większość z wysiadających z nich mężczyzn nie miała na sobie mundurów, tylko garnitury albo po prostu czarne stroje. Żaden nie wydawał się zaskoczony tym, co zobaczył.

ROZDZIAŁ 8
W SIECI

Skrzydlata i uśmiechnięta niebieska koperta mrugnęła i z cichym świstem pognała w róg ekranu. Jeszcze miesiąc temu, gdy zainstalował ten program pocztowy, było to naprawdę zabawne. Potem urocze, wreszcie stało się zupełnie przezroczyste. Dziś oznaczało już tylko, że mógł odhaczyć kliknięciem ostatnie zadanie na TodayList. Zrobił to, odsłuchał cichej fanfary i odchylił się na krześle, nawet nie patrząc na swoje dzisiejsze statystyki.

W oficjalnie już zamkniętym biurowym open spasie panował półmrok rozjaśniany tylko bladym niebieskawym światłem kilku monitorów. Mimo to życie biurowe trwało. Z pokoju socjalnego dobiegały śmiechy i zapach smażonego sera, na korytarzu dwie dziewczyny od kwadransa bezskutecznie wybierały się na papierosa, a gdzieś w kącie pod oknem Mr Zoob cichutko, żeby nikomu nie przeszkadzać, domagał się, by nikt mu nie mówił, co ma robić na swoim kawałku podłogi.

Dochodziła dwudziesta trzecia i Maks wiedział już, że nie ma sensu jechać do domu. Upewnił się tylko, że w najniższej szufladzie biurka pod stosem wydruków i kartonową pokrywką wciąż ma śpiwór, niewielki materac z wbudowaną pompką, kosmetyczkę, koszulę i bieliznę na zmianę. Sugestia skompletowania i regularnego uzupełniania tego zestawu, choć otrzymana w pierwszym tygodniu pracy w formie żartu, okazała się jedną z najlepszych porad, jakie Maks dostał w tej firmie.

– Co tam, chłopie?

Jak zwykle Kuba Pawlikowski pojawił się znikąd. Chudy, łasicowaty typek z kozią bródką i coraz wyraźniejszym plackiem łysiny pośród hebanowoczarnych włosów miał taką właśnie zdolność, że wyrastał ci w pewnej chwili za plecami. Wyłaniał się zza ramienia i miałeś wrażenie, że wyrosła ci tam nagle druga głowa. Zawsze rzucał niezobowiązujący tekst w stylu „co tam” albo „sie masz czy sie nie masz, koleś”, a jednocześnie wślepiał ci się w monitor. Jeśli akurat robiłeś coś, co nie jest pracą, a czego firmie nie udało się zablokować, uśmiechał się tryumfalnie i nic nie mówił, ale przez resztę dnia posyłał ci znaczące spojrzenia. „Ja wiem”, mówiły ten

wzrok i grymas. „Wkurz mnie, wpychając się do kolejki po kawę albo mówiąc, że to ja zjadłem jogurt grubej Baśce, a wykorzystam tę wiedzę”.

Tym razem Kuba nie miał szczęścia, co skomentował cichym westchnieniem. Zaraz jednak zobaczył otwartą szufladę i zarechotał cicho.

– O, nocna szychta, proszę, proszę. Dawno cię z nami nie było. Wiesz, że na konsoli nie ma już ani jednego twojego wyniku w topce? Ani w czołgach, ani w samolotach, nigdzie. A w *Overwatchu* to już w ogóle wyleciałeś z rozgrywek, bo ileż można było czekać?!

Max podrapał się po policzku. Właściwie nie wiedział, jak to skomentować. Zarówno to, że ostatecznie porzucił konsolę, kiedy wreszcie udało mu się skompletować porządnego peceta, jak i to, że odkąd rzucił kawę, bardziej niż granie cenił sobie sen, nie zyskałoby uznania. I nie chodziło już nawet o Pawlikowskiego, ale ta wieść szybko by się rozniosła i straciłby swój ostatni towarzyski bastion. Odkąd nie palił, nie pił kawy i nie miał czasu na trzymanie ręki na serialowym pulsie, zrozumiał wreszcie, o co chodziło z tym niebyciem samotną wyspą.

– To jak, zagramy w coś? – zapytał Kuba.

Maks rzucił ukradkowe, tęskne spojrzenie na śpiwór i powoli pokiwał głową.

– Tylko wcześniej wezmę prysznic – zastrzegł.

– Pewnie, jasne – Pawlikowski machnął ręką, dając do zrozumienia, że nie interesują go takie przyziemne sprawy – ale będziesz musiał zejść do tych z Wilkinsona, bo u nas na prysznicach nie działa ciepła woda. Tylko weź klapki, bo inaczej cię nie wpuszczą. Masz klapki?

– Nie mam – przyznał z przykrością Maks.

Kuba wyszczerzył się tylko i klepnął go w ramię, po czym zniknął gdzieś na chwilę. Wrócił z parą żółtych klapek Kubota.

– Masz te, ale wisisz Greckiemu pięć szlugów. Albo możesz sobie wziąć z szuflady Szaramary, ale nie wiem, czy chcesz od niego. On tam sobie niby założył ostatnio zamek, ale z tyłu jest poluzowany nit i jak odciągniesz…

– Wezmę te, dzięki. – Przejął klapki, wyjął kosmetyczkę z przyczepionym sportowym, szybkoschnącym ręcznikiem, bieliznę i luźną koszulkę. – To idę.

– Zajmę konsolę. Kawy chcesz?

– Nie piję.

Gdy dotarł do windy, stojące tam dziewczyny akurat doczekały się trzeciej. Anka, Ewka i Karola, dwie pierwsze z HR-u,

trzecia chyba z finansów. Wszystkie przyszły do firmy jakoś w tym samym czasie, potem trzymały się razem na wyjeździe integracyjnym i tak już zostały jako najlepsze przyjaciółki. W firmie mówiono na nie aniołki Charliego, bo trochę przypominały filmowe trio, oczywiście z tej nowej wersji. Karola była szczupłą, zgrabną blondynką, Ewka atrakcyjnym rudzielcem o pełniejszych kształtach, a u filigranowej Anki, gdyby się uprzeć, można by się dopatrzeć azjatyckich rysów.

– O, idziesz do Wilkinsona? – zauważyła Ewka. Właśnie wcisnęła guzik windy i przekładała z ręki do ręki przypominającą pendrive paczkę cienkich papierosów. – Ponoć sprawdzają teraz, czy masz własny żel, bo im podkradali mydło z dozowników.

– Mam. – Maks poklepał dumnie kosmetyczkę, by zaraz zdać sobie sprawę z idiotyczności tego gestu. Chcąc jakoś zamaskować tę niezręczność, brodą wskazał na papierosy. – Coś jest nie tak z palarnią?

– Co, ty nie wiesz? – zdziwiła się Anka. – Zlikwidowaliśmy i teraz będzie tam pokój do jogi. Ale to dobrze, bo już śmierdziało olejkami z elektryków. Kto w ogóle wymyślił to cholerne elektryczne palenie na pół gwizdka?

Udała odruch wymiotny, co rozbawiło Ewkę, ale trochę zniesmaczyło Karolę. Patrząc ponad przyjaciółkami, blondynka posłała Maksowi przepraszające spojrzenie. Zabrzęczała winda, rozsunęły się drzwi. Weszli do środka i dziewczyny wcisnęły parter.

– Też będziesz musiał od dołu, schodami – powiedziała Ewka, gdy palec Maksa zawisł nad trójką z dodatkową etykietką „Wilkinson”. – Przesadzali z nocną zmianą i teraz po dwudziestej drugiej rejestrują wszystkie zatrzymania u nich na piętrze.

– Zresztą, jakbyś szedł od dołu, to mógłbyś z nami wyjść na chwilę – zaproponowała Karola. – Papierosek w miłym towarzystwie przed kąpielą.

Maks przełknął ślinę, zastanawiając się, co powiedzieć. Przez moment poczuł się jak w ogólniaku, gdy pierwszy raz spróbował papierosa, bo głupio mu było przed dziewczynami z trzeciej, że nie pali. Mało się wtedy nie udławił dymem, tak go dusił i drapał, ale był dumny, bo udało mu się ani razu nie kaszlnąć. Nie miał pewności, czy teraz, po takiej przerwie, uda mu się utrzymać fason.

– Nie palę – odparł wreszcie.

Postarał się, by zabrzmiało to jak informacja, a nie manifestacja zdrowego trybu życia odcinająca się bielą na tle ich niegodnych postępków.

Tego chyba najbardziej nie lubił w innych niepalących – zachowywali się tak, jakby fakt nierobienia czegoś był pierdolonym osiągnięciem.

– Nie musisz palić – powiedziała Anka. – Ale rzeczywiście fajnie by było, jakbyś chwilę z nami postał. Przyda się facet.

Ewka zaraz pokiwała głową.

– No, ostatnim razem, jak byłyśmy na dole, to łaziło tu takich dwóch techników. Ukraińcy chyba. Jeden taki typowy łysy seba, ale drugi… no był krypny.

Wzdrygnęła się na samo wspomnienie, a Maks uświadomił sobie, że chyba nie chce wiedzieć, co według dziewczyny znaczy to słowo. Został już wyznaczony na obrońcę, niespecjalnie mógł odmówić. Pozostawało mu jedynie mieć nadzieję, że nic się nie wydarzy. Nie chciał w każdym cieniu wokół fontanny, w każdym krzaczku, drzewku, ławce czy zamkniętym na trzy spusty food tracku widzieć teraz gościa, którego Ewka uważała za krypnego Ukraińca.

Nie pytaj, przykazał sobie w myślach.

– Krypny? – zapytał.

– No krypny taki, nie wiem. – Ewka wzruszyła ramionami. Winda akurat zjechała na dół, zadzwonił dzwonek i rozsunęły się drzwi. – Stary taki, chyba miał coś wytatuowane na głowie, po bokach i z tyłu. No i patrzył tak jakoś dziwnie, jakby…

– Ewka chce powiedzieć, że patrzył, jakby w ogóle nie był zainteresowany – zadrwiła Karola – a to, sam rozumiesz, dość nietypowe.

Miał wrażenie, że się zawstydził, ale na szczęście dziewczyny zajęły się siedzącym w recepcji panem Mareczkiem, trochę mu słodząc, trochę żartując i jak zawsze prosząc o otworzenie bramki awaryjnej. Drobny, łysiejący czterdziestoparolatek z denkami od słoików na oczach trochę się krygował i silił na surowość, ale ostatecznie – jak zawsze – otworzył bramkę i wyszczerzył w szerokim, niemal chłopięcym uśmiechu, gdy Anka posłała mu całusa. Maks zawahał się przez chwilę, ale ostatecznie położył swoje rzeczy przy windzie i podążył w ślad za dziewczynami.

Bycie bohaterem to podejmowanie ryzyka, pomyślał, mijając bramkę.

***

Świtoń nie był pewien, co właściwie robi, ale robił to z dumą prawdziwego patrioty. Nareszcie w normalnych ciuchach – no, normalniejszych, bo

jednak sam z siebie nie ubrałby się w robolski kombinezon – podążając za największą legendą patriotycznych ruchów w kraju, realizował misję wagi narodowej. Nie musiał wiedzieć jaką, tak jak żołnierz na froncie nie potrzebuje niczego więcej, jak tylko dostać rozkaz i go wykonać, dostać kolejny i z niego również się wywiązać. Czy w tysiąc dziewięćset dwudziestym każdy żołnierz znał plan Marszałka? Nie! Ale ufali i tej ufności zawdzięczali zwycięstwo.

On zatem też ufał i w tym zaufaniu tachał skrzynkę z narzędziami w jednej ręce, torbę Ordona na ramieniu drugiej, a latarkę w zębach. Nie odzywał się, nie pytał. Po prostu był i tworzył historię.

Ordon zaś robił swoje. W oparciu o plany a to gdzieś wchodził, a to wychodził, otwierał studzienki, znikał w nich, potem pojawiał się jakimś cudem z zupełnie innej strony po śrubokręt krzyżak i dwie trytytki.

Ordon, myślał Świtoń, niemal unosząc się z dumy jak balon. Ten Ordon. Człowiek, który przywiózł do Polski wiedzę o kibolskich ustawkach, a potem stał się ich prawdziwą legendą. Za pomocą kija bejsbolowego, uszczerbionego na znak hołdu o jasnogórski mur, za jednym zamachem strącił trzy policyjne hełmy prewencji, a w więzieniu, do którego potem trafił, założył tajną szkołę walki kibolskiej. Mówiło się nawet, że za każdym razem, gdy ktoś z młodych w tym kraju prawidłowo wyjebie komuś krótkiego z dyńki, to jest to zasługa szkoły Ordona.

Był rodzimowiercą, ale Jezusa i jego matkę szanował jak prawdziwy Polak. Gdy padła propozycja, by intronizować ich na Króla i Królową Polski, powiedział ponoć, że lepsze to niż demokracja Żydów i pedałów. Zresztą w obronie katolickich wartości stawał nie tylko w Polsce, lecz także za granicą, gdy w czasie stanu wojennego wylądował na budowie na Wyspach i tak go jakoś zaniosło do Belfastu, gdzie wsławił się walką o sprawę. Przywiózł stamtąd, prócz paru blizn, breloczek z koniczynką.

Świetnie jeździł konno, statystował w *Ogniem i mieczem*, a gdyby wszystkich Cyganów, których przegonił, posadzić na wozy i ustawić w rządku, tabor ciągnąłby się zapewne od morza do morza.

I teraz z kimś takim właśnie on, Świtoń, J-23 współczesnego polskiego podziemia, był na ważnej dla kraju misji. Snując się po biznesowym miasteczku, na którym nigdy wcześniej nie był, pomiędzy budynkami, w których mimo pory wciąż paliły się światła, słuchając szemrania fontanny i stąpając po reflektorach wpuszczonych w chodnik, czuł, że jest szczęśliwy i spełniony.

– Dobra, szczylu. – Ordon zamknął skrzynkę, przy której właśnie majstrował, odwrócił się i wrzucił do torby szczypce i zestaw wytrychów. – Skończyliśmy na dziś. Weź to teraz wszystko zanieś do samochodu i podjedź tu po mnie, to pojedziemy na Narodowy.

– Tam też coś robimy? – podkręcił się Świtoń.

Myśl, że być może do tego wszystkiego przyjdzie mu jeszcze pod osłoną nocy wejść na teren tego najważniejszego po Jasnej Górze obiektu w kraju, a może nawet stanąć na jego murawie, robiła mu w dole brzucha miło jak jeszcze nigdy. A gdyby do tego zrobić to wszystko z legendą polskiego patriotyzmu? Człowiekiem, którym byłby Wałęsa, gdyby tylko nie był zdradzieckim Bolkiem i umiał w ustawki…

Ordon jednak rozwiał jego nadzieje.

– Chcę go tylko zobaczyć – powiedział. – Potem pojedziemy spać, bo jutro ważny dzień. No leć, ja skoczę jeszcze wziąć od tych tam fajkę.

Wskazał ręką kółeczko po przeciwnej stronie placu złożone z trzech palących dziewczyn i jednego chłopaka nerwowo rozglądającego się na boki.

Świtoń nie krył zdumienia.

– Pan pali? Wydawało mi się, że nie.

– Ostatniego to nawet patriotycznie – odparł sentencjonalnie Ordon, po czym zamachał ręką, jakby odganiał natręta. – No już, zapierdalaj. Muszę się jeszcze dzisiaj chwilę przespać.

***

Telefon zawibrował na nocnym stoliku. Kaja właściwie miała się już kłaść, ale nie mogła się powstrzymać przed doczytaniem ostatniego rozdziału kryminału *Osiedle marzeń*. Opowiadał o osiedlu niemal identycznym jak to, na którym kiedyś planowała zamieszkać, ale teraz chyba zmieniła trochę zdanie. Wymacała telefon na oślep i przysunęła do oczu.

Miała jedną nową wiadomość, od Iki, koleżanki z femiklubu. To była jedna z tych przeraźliwie chudych i bladych dziewczyn noszących na głowie kolorowe chustki i wyglądających, jakby powodzenie wyjątkowo ciężkiej chemioterapii postanowiły uczcić półroczną głodówką w Etiopii. Jednocześnie promieniowały od niej niezwykła radość i pogoda ducha, które sprawiły, że z nią jako jedyną Kaja była skłonna odbudować zerwany

kontakt. Myślała nawet o tym, żeby do niej napisać, ale jakoś się nie składało, bo praca, studia, potem rower… A teraz proszę, MMS.

Na zdjęciu przysłanym przez Ikę znajdowały się ubrane na czarno dziewczyny z walecznymi minami. Niektóre miały na sobie hełmy czy kawałki husarskich zbroi zabranych z ekspozycji złożonej w kącie przestronnego pomieszczenia. Inne przyjmowały szermiercze pozy, uzbrojone w szable i sztylety. Po lewej na stole stały ekspres do kawy, butelki wody mineralnej, kubki, stos przykrytych folią kanapek i ciastek, a pod blatem widać było worki kawy Usawa (fair trade).

„Jeszcze nie jest za późno, siostro” – głosił podpis dołączony do zdjęcia.

Kaja pokręciła głową. Więc jednak to zrobiły, szurnięte wariatki. Wyskoczą tam jutro i wygłoszą swoje manifesty przed tysiącami kibiców i kamerami z całego świata. Oby tylko miały naprawdę przemyślane, co chcą powiedzieć.

Puknęła palcem w twarz Werony, unoszącej hełm, jakby to był puchar zwycięstwa, i pomyślała, że gdyby tej dziewczynie przyprawić leżące w kącie skrzydła, wyglądałaby jak anioł.

– Warto mieć kogoś takiego na okoliczność zwiastowania – powiedziała na głos, po czym odłożyła telefon i wróciła do przerwanej lektury.

***

– Co ty tam robiłeś? I co to w ogóle było, do cholery? – zapytała Sawka.

Zerknęła w lusterko na Zawiszę siedzącego na tylnym siedzeniu jej taksówki. Murzyn właśnie obmacywał obolałe przedramię, upewniając się, że nie jest złamane. Gdy zorientował się, że pytanie skierowane jest do niego, zrobił zdziwioną minę.

– Skąd mam wiedzieć, co to było? Wyszedłem na spacer i…

– I światu odwaliło akurat, kiedy przyszedł tam pan superbohater! – zadrwiła Sawka. Gładko weszła w zakręt na Zagórną. – Pół warszawskiej hipsterki, dzieci kwiaty, studenciaki i aspirujący artyści – wszyscy całe wakacje grzecznie obalający piwka na bulwarze akurat dzisiaj, podczas twojego spaceru, zamienili się w bandę cholernych Morloków, tak?

Zawisza wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, kim są Morloki, ale jeśli się dobrze domyślam, to chyba tak – odparł, po czym wskazał na siedzącą z przodu Gośkę. – Ciekawi mnie raczej, dlaczego jej o nic nie pytasz? I dlaczego sama nie

powiesz, co, do jasnej cholery, robiłaś z pneumatycznym gatlingiem na cholerne gumowe kulki. Nie wiedziałem nawet, że istnieje coś takiego.

– Bo nie istnieje – odparła Sawka. Zatrzymała się przy wjeździe na parking i pobrała bilet. – Dobra, nieważne, leć na górę i zabierz te obrazki. Myślę, że cokolwiek się tam wydarzyło, ty musisz kogoś poznać, a ciebie chyba trzeba opatrzyć.

Popatrzyła najpierw na nogę Gośki, na której cieknąca krew twardniała powoli w brunatną skorupę, a potem na jej umęczoną twarz.

– Mam jakiś apap, jak chcesz – zaproponowała, gdy Zawisza wyskoczył z samochodu i pognał do hotelu. Gośka powoli odwróciła głowę i zdobyła się na lekki półuśmiech.

– Proszę cię, jesteśmy kobietami – powiedziała cicho. – Gdybyśmy na byle pierdołę brały przeciwbóle…

Poruszyła się i skrzywiła z sykiem, a potem odetchnęła kilka razy głęboko i pochyliła się, by zerknąć pod nogi.

– Szlag! Chyba zostawiłam tam torebkę. Pożyczysz mi telefon? Muszę zadzwonić do eksa i sprawdzić, czy nic im nie jest!

– Jasne. – Sawka podała jej aparat. – A byli tam? Znaczy na bulwarze?

Gośka pokręciła głową, wstukała szybko numer i przyłożyła smartfon do ucha.

– Nie, znaczy nie powinni i ich tam nie widziałam, ale… No cześć, Mirek… Tak, wiem, że jest późno, ale właśnie słyszałam w radiu, że coś tam się działo w Warszawie, jakieś zamieszki i… Tak, wiem, że Warszawa jest duża, tak… Nie, nie jestem przewrażliwiona… Dobra, dobra, jasne, cześć!

Rozłączyła się i odetchnęła z ulgą. Oddała Sawce telefon.

– Dzięki.

– Nie ma sprawy. Ta rana to rozcięcie?

– Ugryzienie z rozoraniem. – Gośka musnęła ranę palcem i skrzywiła się na widok plamy krwi na gumowym dywaniku samochodu. – Myślisz, że powinnam wziąć coś na wściekliznę?

– Na pewno na tężec – odparła Sawka. – Ale spokojnie, Pająk i Łokietki na pewno będą coś mieli.

Widząc niezrozumienie rysujące się na twarzy Gośki, pokręciła głową.

– Bez sensu teraz tłumaczyć, zaraz tam będziemy. Zresztą wraca Zawisza.

Rzeczywiście Murzyn wyłonił się właśnie zza rogu, przebiegł obok kontuaru, wypadł na zewnątrz i w kilku susach dopadł samochodu.

– Wszystkie rzeczy zabrałeś? – zapytała Sawka, ruszając, gdy tylko zamknął za sobą drzwi.

– Obstawiam, że raczej tu już nie wrócę.

Skinęła głową na znak aprobaty, podjechała pod szlaban, wsunęła bilet do czytnika.

– Zapnijcie pasy, oboje – powiedziała, gdy szlaban się uniósł. – I jak mi kto zarzyga auto, będzie sprzątał.

W lusterku dostrzegła wyraz powątpiewania na twarzy Zawiszy, ale nie zamierzała go teraz komentować. Zamiast tego zatrzymała się za szlabanem, wybrała numer w telefonie i wrzuciła na głośnik.

– Tak? – zmodulowany elektronicznie głos odezwał się po pierwszym sygnale.

– Jadę do was – rzuciła Sawka, zamykając okno. – Na zielono.

– Tak – odparł głos i połączenie zostało przerwane.

Zaraz potem zapiszczały opony i warszawa wyrwała do przodu.

***

Głównymi ulicami pędzili tak, że budynki zdawały się rozmywać. Sawka w nieco nonszalanckiej pozie lewą rękę trzymała na kierownicy, prawą zaś niemal nieustannie redukowała lub podbijała biegi. Pędzili, klucząc między samochodami, z jednego pasa na drugi i z powrotem, właściwie nie zwalniając i wykorzystując każdą szczelinę. Ani razu nie trafili na czerwone czy choćby żółte światło; sunęli tak gładko i płynnie, jak na pewno nie powinna tego robić zabytkowa z wyglądu gablota.

Zawisza z coraz większym trudem trzymał fason; Gośka już się tym nie przejmowała, jęczała i popiskiwała, za punkt honoru stawiając sobie niepuszczenie pawia. W pewnym momencie była już naprawdę blisko, ale wtedy Sawka nagle szarpnęła za ręczny, samochodem obróciło, a Gośkę rzuciło na szybę. Uderzyła się w głowę i jej organizm natychmiast zapomniał o wymiotach. Przez moment jechali bokiem, by nagle wyrwać do przodu i wpaść w wąską uliczkę pełną zaparkowanych po obu stronach samochodów. Sunęli między nimi na lusterka z taką samą prędkością jak przed chwilą na wielopasmówce. Wypadli na kolejną szeroką drogę, cudem

unikając zderzenia z jadącymi z boku samochodami, przecięli pas zieleni i, znowu na ręcznym, złapali właściwy kierunek.

Trwało to ledwie parę chwil, a może całą wieczność, aż w końcu znaleźli się gdzieś na pełnych nieużytków obrzeżach miasta. Dopiero wtedy Sawka nieco zwolniła, a potem zjechała z asfaltowej drogi na pełną kałuż żwirową, między segmenty garaży. Ostatni z nich miał na bramie namalowaną pajęczynę i przed nim właśnie zatrzymała samochód. Wycelowała w bramę małym pilotem. Gdy garaż się otworzył, wjechała do środka, zaciągnęła ręczny i wyłączyła światła. Jak na zawołanie podłoga drgnęła i zaczęła się miarowo osuwać.

Zawisza odruchowo rozłożył ręce, zapierając się o drzwi.

– Kim ty, do cholery, jesteś? – zapytał.

Sawka odwróciła się do niego; w półmroku na jej twarzy malowało się zakłopotanie, ale w oczach tańczyły rozbawione iskierki.

– Jeszcze nie wiem – odparła. – Wszystkie fajne ksywki były już zajęte.

Gośka milczała, wpatrując się z fascynacją najpierw we wmontowane w ściany światła szybu, a potem, gdy zjechali niżej, w rozświetloną przestrzeń podziemnego garażu.

– Oż ty, w życiu – stęknął w pewnej chwili Zawisza. – Niesamowite.

Komplement był trochę na wyrost, bo poza swoim położeniem betonowa sala, w której się znaleźli, nie różniła się niczym od większości samochodowych warsztatów, jakie można było zobaczyć w całej Polsce. Na środku pomieszczenia znajdował się wysoki, hydrauliczny podnośnik, pod ścianą stał stojak na opony, a obok regał z podręcznymi drobiazgami jak wycieraczki, żarówki czy kanistry z olejem. Na oświetlonym dodatkowo stole leżał rozbebeszony silnik, a po podłodze wąską strużką ku kratce ściekowej płynęła jakaś czarna maź. Oprócz warszawy z podwójną trzynastką w garażu znajdowały się jeszcze cztery pojazdy. Duży, opancerzony żuk z płytą z wizjerem zamiast szyby, tarpan z ogromnym działkiem na pace i wyraźnie podrasowany motocykl Junak. Największe wrażenie robiła jednak stojąca najbliżej ściany i lśniąca srebrno syrena.

– Tym powinnaś jeździć – powiedziała Gośka, wskazując na pojazd. – Śliczna jest.

Sawka potrząsnęła głową.

– Jeszcze niegotowa.

– Coś w środku? – zaciekawił się Zawisza. – Bo z zewnątrz wygląda super, te przyciemniane szyby, felgi z syreną…

– Nie ona – sprostowała Sawka, nagle dziwnie zawstydzona. – Ja.

Platforma, na której zjeżdżali, znieruchomiała, taksówkarka wykorzystała więc okazję, wypięła się z pasów i wysiadła, kierując kroki do przeszklonych drzwi, prawdopodobnie wiodących do kantorka. Zawisza odprowadził ją wzrokiem, po czym sam również rozpiął blokujący go pas. Z przodu dobiegło go ciche syknięcie.

– Pomóc ci? – zapytał.

– Nie trzeba – odparła Gośka. – Ale dziękuję – dodała po krótkiej pauzie.

Otworzyła drzwi i ostrożnie, jak osoba z niedowładem od pasa w dół, rękami uniosła obie nogi i wyciągnęła je na zewnątrz.

Zawisza wysiadł i zaczął przechadzać się wzdłuż pojazdów. Powstrzymując się od dotykania, przyglądał się nitom, mocowaniom pancernych blach, znaczkom na masce, próbował zajrzeć do szoferek. Akurat dotarł do motocykla, gdy z kantorka wyszła Sawka, a za nią, wspierając się na lasce, starszy, żylasty jegomość.

Mężczyzna równie dobrze mógł mieć siedemdziesiąt, co sto pięćdziesiąt lat. Mięśnie na jego rękach nie były w stanie należycie wypełnić naciągniętej za młodu skóry, która jednak nie zwisała nigdzie, a tylko marszczyła się niczym kora naprawdę starego drzewa. Śnieżnobiałe włosy nosił obcięte na jeża, kanciastą szczękę miał gładko ogoloną. Na tle ciemnej karnacji mocno wyróżniał się gęsty, biały wąs, a skryte za okularami połówkami stalowoniebieskie oczy patrzyły na świat trzeźwo i przenikliwie, ale też – co sugerowały okalające je zmarszczki – z odpowiednim dystansem.

Na widok Zawiszy mężczyzna uśmiechnął się lekko i wyciągnął rękę.

– A więc jednak, panie Zawiszo, nie urlop, a gościnne występy.

Zawisza w trzech krokach pokonał dzielący ich dystans i uścisnął podaną dłoń. Choć nie dał tego po sobie poznać, zdziwiła go siła i pewność uścisku staruszka.

– Zawiszo, to jest porucznik Anatol Wieczorkowski, pseudonim Pająk – przedstawiła Sawka. – W czasie powstania warszawskiego szaroszeregowy adiutant mojego dziadka, a po wojnie twórca Sieci…

– Dawne czasy. – Starzec skromnie machnął ręką. – Teraz po prostu stary dziad, wciąż kochający swój kraj i to miasto, w którym, ciekawostka taka, padł dzisiaj chyba rekord kradzieży samochodów, o ile nie mylą nas zebrane policyjne raporty. Ale, ale – rozejrzał się nagle – gdzie nasza dzielna bohaterka?

Wyjrzał zza Zawiszy przesłaniającego mu warszawę i zamachał do siedzącej w niej Gośki. Gdy ta odmachała niepewnie, mocno się przy tym czerwieniąc, pokuśtykał w jej stronę.

– No, powiem pani, czy też panience, bo nie wiem, że takiego zaskoczenia, jakim był pani dzisiejszy występ, dawno nie przeżyłem. Po Zawiszy, jak go sobie dzisiaj rano sprawdziliśmy, już wiedziałem, czego się spodziewać, ale te pani akrobacje…

– Zaraz! – wszedł mu w słowo Zawisza, zerkając najpierw na plecy Pająka, a potem na Sawkę. – To znaczy, że… W jaki sposób pan to wszystko widział, co?

Pająk przystanął, wsparł się na lasce i powoli obrócił głowę, spoglądając przez ramię.

– A co mam oglądać? – zapytał. – Te ogłupiające teleturnieje, jak reszta ludzi w moim wieku?

Sawka parsknęła cicho, zaraz jednak spoważniała pod ciężarem pełnego wyrzutu spojrzenia Zawiszy.

– No nie patrz tak, przecież po to was tu zabrałam, żeby wyjaśnić, nie? Pająku, zajmij się Gośką, a ja skoczę dla niej po jakiś wózek, niech nie nadwereża tej nogi.

– Nie trzeba… auu! – Gośka poderwała się z miejsca, by pokazać, że faktycznie nie trzeba jej pomocy, ale ból usadził ją z powrotem. Spod strupa popłynęły strumyczki świeżej krwi.

Pająk cmoknął i pokręcił głową.

– Zadzwoń po Limanowskiego, niech tu do nas syna wyśle. Albo od razu do Andrzejka, jak masz numer – polecił. – Powiedz mu, że będzie szycie.

– Właśnie to zamierzałam zrobić – odparła Sawka, po czym wzięła Zawiszę za rękę. – Chodź, weźmiesz ten wózek, kiedy ja będę dzwoniła. A przy okazji poznasz Łokietków.

***

PONIEWAŻ ŻYLI PRAWEM WILKA – uroczysty festyn sportowy ku czci Żołnierzy Wyklętych już jutro

Już jutro o godzinie dziewiątej rano rozpocznie się na Polu Mokotowskim festyn sportowy zorganizowany wspólnie przez Urząd Miasta Stołecznego Warszawy, Stowarzyszenie Walki o Pamięć Wyklętych „Wataha” i Stołeczny Ruch na rzecz Patriotycznych Aktywności

Fizycznych. W ciągu pełnego atrakcji dnia Mieszkańcy Warszawy będą mogli wziąć udział w biegu sztafetowym i wyścigu dziecięcych trójkołowców oraz zobaczyć inscenizację „Co Wilk robi w lesie” w wykonaniu grupy rekonstrukcyjnej Patriotów Stołecznych „PS To prawda”… (czytaj więcej)

Mirek przewinął niżej.

MY JESTEŚMY RUCHEM! – kontrowersje związane z najnowszą Masą Krytyczną

„My nie wstrzymujemy ruchu. My jesteśmy ruchem” – jak zawsze pod tym hasłem ulicami centrum Warszawy przejadą rowerzyści biorący udział w kolejnej Warszawskiej Masie Krytycznej. Cel nieodmiennie pozostaje ten sam: miasto przyjazne rowerom i rowerzystom.

Choć to kolejna edycja tego wzbudzającego skrajne emocje wydarzenia, atmosfera jeszcze nigdy wcześniej nie była tak gorąca. Ze względu bowiem na odbywający się jutro mecz i planowany na samo południe przemarsz kibiców przez Aleje Jerozolimskie, Urząd Stołeczny w kontrowersyjnej i bezprecedensowej decyzji wycofał zgodę na planowaną trasę przejazdu. Mimo to rowerzyści deklarują, że przejazd rozpocznie się planowo o 11:30 na placu Zamkowym, a trasa obejmująca między innymi Nowy Świat i Aleje… (czytaj więcej)

Mirek wrócił na górę strony. Podrapał się po policzku, upił gorącej herbaty i jeszcze raz odświeżył serwis „Sen o Warszawie”, który wedle jego wiedzy zawsze podawał wszystkie stołeczne informacje najszybciej i najkonkretniej. Głównym newsem wciąż był jednak jutrzejszy mecz i przygotowania do niego przebiegające, jak wyraził się dziennikarz, zaskakująco spokojnie. Żadnych zamieszek, żadnych incydentów, o których mogła mówić Gośka, nie wspominano ani nawet nie sugerowano.

Mimo to Mirek nie był w stanie przekonać samego siebie, że ten telefon był tylko objawem matczynej histerii. Jego była żona miała wiele wad, ale choć łatwo się peszyła i niekoniecznie radziła sobie w nowym towarzystwie, to gdy sytuacja przekraczała pewien punkt krytyczny, coś w jej głowie przeskakiwało i stawała się automatem. Czasem wtedy się jej bał, na pewno jej takiej nie lubił, ale skłamałby, gdyby stwierdził, że nie bywało to przydatne. Spodziewał się nawet, że dziś ją taką zobaczy, gdy powie jej o meczu. Przyjęła to jednak zaskakująco dobrze i rozsądnie. Tylko potem ten telefon…

Odświeżył ponownie i tym razem na stronie pojawił się nowy tekst. Nie był to jednak news, a felieton opatrzony zdjęciem mężczyzny w garniturze, przypominającego trochę odchudzonego Wojtka Manna i obejmującego się rękami w niemal gangsterskiej pozie. Tytuł tekstu brzmiał *Policyjna żaba* i już po lekturze pierwszego akapitu było wiadomo, że stanowił on nawiązanie do dowcipu o lwie, który chciał podzielić zwierzęta na mądre i piękne. „Przecież się nie rozdwoję” – powiedziała wówczas żaba, co zdaniem felietonisty przedstawiało ten sam dylemat, przed którym okoliczności i władze postawiły stołeczną policję. Ta bowiem, musząc jakimś cudem obstawić kilka dużych wydarzeń w różnych częściach miasta, miała teraz „do przełknięcia solidną żabę” związaną z kadrowymi niedoborami. „Kto na to pozwolił? – zastanawiał się dziennikarz. – I czym to się wszystko skończy?”

Mirek też nie miał pojęcia, podobnie jak większość komentujących. Jednak w przeciwieństwie do nich, zamiast wyrazić swoją frustrację, niepokoje i obawy w kilku wulgarnych, obraźliwych słowach, zamknął przeglądarkę i poszedł się umyć.

Po drodze, mijając drzwi sypialni Pawełka, zerknął do środka. Chłopczyk spał na boku, a sądząc po jego błogiej minie, śniło mu się coś naprawdę ładnego.

ROZDZIAŁ 9
PAJĘCZYNA

Nie dało się tego dostrzec z perspektywy warsztatu, ale za zwyczajnymi biurowymi drzwiami z mleczną szybą kryło się nie biuro, a kilkumetrowy korytarz śluzy zwieńczony futurystycznymi wrotami z iluminatorem z kilkuwarstwowego, wzmacnianego szkła.

– Odlatujemy w kosmos? – zadrwił Zawisza, a Sawka w odpowiedzi pociągnęła go lekko.

– Tu nie stój, bo…

Nie dokończyła, gdyż rozległ się huk i tuż przed nim spadła ciężka metalowa krata. Zaraz też nieruchoma dotąd kamera nad wrotami poruszyła się i przekrzywiła jak łeb ciekawska sroka.

– Jeśli to standardowa procedura, to współczuję ludziom z małym pęcherzem – zauważył z przekąsem Zawisza.

– Nie mamy takich, a garaż ma własną łazienkę – odparła Sawka. – Poza tym nie, to nie jest standardowa procedura. Po prostu się popisują, prawda, chłopaki?

Pomachała do kamery, a ta odmachała, jakby usiłowała czemuś usilnie zaprzeczyć. Zaraz potem rozległ się syk śluzy i wrota odsunęły się na bok, odsłaniając pomieszczenie przypominające na pierwszy rzut oka punkt kontroli lotów albo salę giełdy. Punkt centralny stanowiło wielkie, wygięte w podkowę biurko zastawione komputerami, a spod sufitu zwisały ustawione pod kątem ekrany, z których każdy emitował inny program. Jak się okazało po chwili, monitorami były również ściany złożone z równych kwadratowych segmentów, obraz drgał na stop-klatce ukazującej deszczową ulicę z filmu *Łowca androidów,* przez co chwilowo bardziej przypominały nie najlepszej jakości fototapetę.

Przy biurku na ruchomych krzesłach siedzieli dwaj młodzi mężczyźni. Byli podobnej postury i przypominali nastolatków urywających się z wuefu, by pograć w sieci, a potem siedzących przy komputerze tak długo, że reszta klasy zdążyła już skończyć studia. Luźne w ramionach nerdowskie koszulki podwijały się na dużych brzuchach, długie, spięte w kucyk włosy

zdążyły już w tej postaci skamienieć, a w brodach z pewnością dałoby się znaleźć kilka owadów uwięzionych w stwardniałych kroplach miodu.

Ten bliżej wejścia, w grubych okularach i koszulce z Batmanem straszącym tańczącego klauna Pennywise'a, posłał Zawiszy i Sawce przelotne spojrzenie.

– Spiełdalaj – powiedział i dwoma kliknięciami zmienił widok na najbliższych monitorach.

Zawisza spojrzał na taksówkarkę.

– To było do mnie? – zapytał.

– Nie – odparł zamiast niej okularnik. – Do niej. Bo wiem, jak to się tełaz potoczy.

Odepchnął się od blatu, przejechał na krześle do końca stołu i dopiero wtedy z trudem podniósł się z miejsca. Od pasa w dół miał na sobie sięgające kolan bermudy z Ligą Sprawiedliwości i kapcie w kształcie głów Homera Simpsona.

– Ona załaz powie, Zawisza, poznaj Łokietków. Oto błacia Władysław i Witold Łokietniccy. A wtedy ty zapytasz, dlaczego Łokietki, a ona popłosi nas, byśmy się przedstawili. A wtedy będzie jak zawsze kupa śmiechu.

Zawisza podrapał się po potylicy.

– Wiesz, może mam zbyt czarne poczucie humoru, ale nie widzę w tym niczego zabawnego – przyznał.

Sawka parsknęła cicho.

– Oni nazywają się Rokietniccy – wyjaśniła i dała Zawiszy chwilę, by to sobie ułożył. Gdy na jego twarzy pojawiło się zrozumienie, zwróciła się do okularnika. – I jak tam, Władziu, wiecie już, co się wydarzyło pod Poniatowskim?

Łokietek wzruszył ramionami.

– On się wydarzył. – Wskazał na Zawiszę. – Powiem ci, Sawka, że po dzisiejszym dniu cołaz mocniej jestem skłonny uwierzyć w twoją teołię o supełhełosach. Gdzie Pająk?

– Został z naszą koleżanką. A właśnie, potrzebujemy wózek dla niej, bo oberwała. I trzeba zadzwonić do młodego Limanowskiego, niech wpadnie do ambulatorium.

– Macie tu ambulatorium?! – zdziwił się Czarny.

Władek Rokietnicki wzruszył ramionami.

– Wszystko tu mamy, chłopie, to jaskinia Batmana – odparł. – I włeszcie jest tu jakiś pławdziwy bohateł. Nie planujesz zostać w Wałszawie na

dłużej?

– Jak to nie macie bohatera, a ona? – Zawisza pokazał na Sawkę, która tylko machnęła ręką.

– Spokojnie, to tylko takie przekomarzanki – stwierdziła. – Ja nabijam się z ich „eł”, a oni odgryzają się w taki sposób. Kiedyś zrobili mi nawet na urodziny miecz He-Mana, ale z dildo zamiast głowni. Dobywając go, miałam mówić… jak to było, Władek?

– Na potęgę posępnego napleta – odparł tamten zupełnie nieskrępowanym tonem. – I to nie był żałt, Sawka. Napławdę przydałby ci się…

– Wózek – wtrącił się Zawisza. – I telefon do lekarza.

– A tak, już. – Władek pstryknął palcami i dotknął wpiętego w klapę metalowego znaczka przypominającego grot strzały o zaostrzonych krawędziach. – Wituś, zadzwoń do Andrzejka Limanowskiego, co? Pilna potrzeba z szyciem.

Pochylony dotąd nisko nad klawiaturą drugi z Łokietków zdjął z uszu wielkie słuchawki i odwrócił się, ukazując opiętych na brzuchu Kapitana Amerykę i Wolverine’a w wiecznym starciu.

– Nie możesz jak człowiek do mnie podjechać i klepnąć w łamię? Wkurza mnie już to twoje stałtłekowe pokłęcenie. Cholełny gadżeciarz. Cześć Sawka, cześć panie Zawisza.

– Wszyscy mnie tu znają? – zdziwił się Czarny.

– Wszyscy mają Google’a – odparła Sawka. – A od naszego pierwszego spotkania mieli chwilę na research. Dobra, idę po wózek, zaraz przyjdę. A wy zadzwońcie i nie zanudźcie gościa.

– Wal się – mruknął Władek, kręcąc z dezaprobatą głową. – Czasami tłaktuje nas jak dzieci, Zawiszo. Taka pławda. Oboje z Pająkiem to łobią, a bez nas to by tutaj…

– Jesteś za Małvelem czy DC? – zaciekawił się nagle Witold.

Władek obejrzał się przez ramię gwałtownie, jakby ktoś go właśnie uderzył w tył głowy.

– Dzwonić miałeś!

– No to dzwonię – żachnął się tamten, pokazując trzymany telefon. – Późno jest, nie odbieła, to konwełsację podtrzymuję w międzyczasie. To jak, panie Zawisza?

Czarny uśmiechnął się bezradnie, rozkładając ręce.

– Ostatnio nie mam czasu na komiksy, więc trudno powiedzieć.

Władek Rokietnicki machnął głową tak energicznie, że aż szczęknął zębami.

– No właśnie, nie ma czasu, bo łobi to napławdę. Swoją dłogą, panie Zawisza, nie chciałby pan przetestować pału naszych zabawek? Łobimy je sobie w wolnym czasie, ale Sawka to stłaszna tładycjonalistka. Ona tylko kastet, bejsbol czasem. Na to działko na gumowce, co go dzisiaj użyła, to ją namawialiśmy chyba z pół łoku. A tełaz, upałta choleło? Wyszło na nasze, co? Wyszło?

Sawka, która szła właśnie w kierunku śluzy, pchając przed sobą składany wózek inwalidzki, ograniczyła się do pokazania mu w odpowiedzi środkowego palca.

– Zaraz będę, poczekaj tu – powiedziała, gdy dostrzegła, że Zawisza odwraca się w jej stronę. – I nie daj im się zagadać, bo pewnie będą mieli z tysiąc pytań.

Rokietnicki zbył tę uwagę sapnięciem, ale gdy tylko taksówkarka wyszła za drzwi, złożył ręce jak do modlitwy.

– Dobła, bo jedna rzecz mnie diablo ciekawi, a Wikipedia nic o tym nie pisze – powiedział. – Jak to jest z tym twoim pochodzeniem, co? Znaczy wiemy z jednego fołum, że podobno wychował cię jakiś polski ksiądz, tak? Ale gdzie się nauczyłeś tak walczyć? Bo te piłuety, to błaciee…

– Od niego właśnie.

Zawisza zdjął kurtkę i ostrożnie odłożył ją przez blat biurka. Przez chwilę przyglądał się monitorom, na których na przemian pojawiały się to wiadomości z serwisów lokalnych i ogólnokrajowych, to znowu widok z kamer przemysłowych i roztrzęsione, rozpikselowane obrazki ze smartfonów nadających na żywo. Rozpoznawał część pokazywanych miejsc, jak choćby plac przed Pałacem Kultury czy amfiteatr obok Złotych Tarasów. W przypadku innych założył, że to również Warszawa.

– Cześć. Szycie. Cześć – powiedział Witek, a potem się rozłączył i odłożył telefon.

– Ojciec Jan był wcześniej komandosem – podjął po chwili
Zawisza, czując na sobie spojrzenie obu Łokietków czekających na rozwinięcie odpowiedzi. – Służył w polskich jednostkach, a potem pracował dla Amerykanów. Potem trochę zbłądził i przez wiele lat zajmował się przemytem i handlem bronią, ale ostatecznie się nawrócił i…

– Czekaj, chyba widziałem o nim film. – Przypomniał sobie Witek, ale Zawisza pokręcił głową.

– Nie, to podobna historia, ale ta ojca Jana jest bardziej pokręcona. Dość powiedzieć, że przez dwa lata siedział w chińskim więzieniu z mnichem z klasztoru Shaolin, a gdy potem obaj uciekli do Japonii…

Władek Rokietnicki zdjął okulary i zaczął przecierać szkła koszulką.

– No dobła, nie chcesz mówić, to nie mów, ale nie wkłęcaj nam głupot – żachnął się. – Takie rzeczy się nie dzieją.

– Powiedział gość w podwarszawskiej jaskini Batmana – odciął się Zawisza.

***

– Onieśmielające, prawda? – zapytał Pająk, by zaraz samemu sobie odpowiedzieć. – Mnie, przyznam się, nieustannie onieśmiela. To miejsce, to, co się z nim wiąże. To, jak zaplata się ludzki los.

Stał nad Gośką już od dłuższej chwili, ręce wsparte na lasce drżały mu lekko z wysiłku, ale gdy zaproponowała, żeby się zamienili albo żeby chociaż zajął miejsce na tylnym siedzeniu, starszy mężczyzna uśmiechnął się tylko.

– Walkę z własną słabością trzeba ćwiczyć nieustannie, by wykorzystywać raz na jakiś czas, w chwili próby – odparł i więcej już nie proponowała. Powtórzyła mu tylko te same słowa, gdy po raz drugi zaproponował jej środek przeciwbólowy. Pająk uznał to za wyborną ripostę.

Kilka długich minut trwali tak sobie w milczeniu. Gośka spoglądała czasem na swojego towarzysza, częściej jednak zerkała to na drzwi, za którymi zniknęli Zawisza i Sawka, to na własną nogę. O innych ranach i bolących miejscach już zapomniała. To jedno nie dawało jej spokoju – bała się zakażenia.

– Zna pani warszawską legendę o złotej kaczce?

Musiała się skupić. Coś tam jej kołatało o jakichś lochach, biednym chłopcu, kaczce na podziemnym jeziorku.

– O tym krawcu, co dostał majątek, który musiał wydać tylko na siebie, tak?

Staruszek pokiwał głową i zaśmiał się sucho, trochę jakby kaszlał.

– Właśnie tak! Tylko to nie był krawiec, a szewczyk. To zawsze jest szewczyk, pewnie dlatego tak dzisiaj lubimy kląć.

Uśmiechnęła się na ten żart, bardziej jednak na widok rozbawionej twarzy Pająka. Kiedyś w zoo widziała takiego wielkiego żółwia lądowego,

który miał podobny wyraz pyska i sprawiał wrażenie najszczęśliwszego stworzenia na świecie.

– To ja jestem tym chłopcem z bajki, proszę pani – powiedział Pająk. – Zaraz po wojnie znalazłem tu, w podwarszawskich kanałach, wielki skarb, o którym nie mogłem nikomu powiedzieć. Złoto, srebro, kryształy, cenne obrazy, wszystko to poupychane w skrzynki i zalepione gliną. Trzy dni zajęło mi wyniesienie tego i schowanie poza miastem. Miałem taki własnoręcznie zmontowany wózek. Ze trzysta kursów nim wtedy zrobiłem.

Pokiwała głową, na co on uniósł palec.

– Wiem, co pani sobie myśli! – powiedział nagle surowo. – Że to wszystko ukryli sobie ludzie na czas wojny, a ja ich okradłem.

– Wcale tak nie pomyślałam! – zapewniła, a stary znajomy rumieniec zjawił się natychmiast, zalewając czerwienią jej czoło, policzki, dekolt.

Pająk przyjrzał się jej uważnie i bardzo powoli, jak tamten żółw, pokiwał głową.

– Ja bym tak pomyślał – stwierdził. – Ale to nie była prawda, bo wracałem tam potem każdego dnia i siedziałem godzinami, czekając, nasłuchując. Nie chciałem tylko, by te skarby wpadły w ręce ruskich. W końcu jednak, gdy po miesiącu nikt się nie zjawił, zacząłem przychodzić coraz rzadziej i rzadziej, aż w końcu uznałem, że szkoda czasu. Tak stałem się posiadaczem majątku, którego nie mogłem wydać inaczej niż małymi kawałeczkami, na własny użytek. I wtedy wymyśliłem, że zbuduję niewidzialny dom. Taki ukryty pod ziemią, który przetrwa każdą wojnę. Schron, rozumiesz. Zebrałem trochę złota i ruszyłem w Polskę w poszukiwaniu fachowców. Znowu było jak w bajce. Tu zgarnąłem ślepego, co cegły kładł równo jak nikt, tu jednorękiego chemika, co mi cement z niczego umiał wyczarować, tam wreszcie Żyda, co się znał na architekturze…

Zrobił pauzę, zamyślił się, w końcu machnął ręką.

– Długo by o tym opowiadać – stwierdził w końcu. – Dość powiedzieć, że wraz z grupą zebranych przyjaciół zbudowaliśmy to miejsce i zapełniliśmy je potrzebującymi. Przychodzili tu ci, którzy musieli zniknąć. Zostawali, ile było trzeba, potem odchodzili. W pewnej chwili mieszkało tu ze sto osób, co było o tyle kłopotliwe, że każdemu z nich na wejściu i wyjściu musieliśmy zasłaniać oczy. Byli AK-owcy, inni polityczni uratowani z transportów na Sybir, księża. Ale tym miejscem, którym jest teraz, schron stał się dopiero w sześćdziesiątym szóstym. Byłem wtedy jako

student wieczorowy łódzkiej filmówki w Łodzi na spotkaniu z Kirkiem Douglasem. Aktor jakoś wypatrzył mnie w tłumie takich samych jak ja mężczyzn w kowbojskich kapeluszach, podszedł i powiedział po angielsku: „Robisz coś dobrego, co, chłopie? Widać to w twoich oczach. I w twoim świetle”. A potem dał mi z torby kilka komiksów o Batmanie, z których jeden udało mi się schować przed esbecją. Tam po raz pierwszy przeczytałem o jaskini.

Na dźwięk otwieranych drzwi przerwał i odwrócił się.

– Oho, chyba wracają.

Gośka wciąż wpatrywała się w jego pomarszczony, stary profil. Czy to, co powiedział, mogło być prawdziwe? Czy rzeczywiście jakimś cudem znalazła się właśnie w starej warszawskiej baśni przemienionej przez hollywoodzkiego gwiazdora w amerykański komiks, i to po tym, jak spokojni mieszkańcy Warszawy stali się na jej oczach krwiożerczymi zombie? Jakim cudem zwyczajny Wrocław, gdzie wsiadała z synem do pociągu, zmienił się w to wariactwo w ledwie kilkanaście godzin?

– Wnioskuję po minie, że usłyszałaś historię jaskini. – Sawka podjechała wózkiem do samochodu i pomogła Gośce się przesiąść. – Zaraz będzie tu lekarz, który cię pozszywa.

– Świetnie – odparła Gośka. – I tak, pan Pająk…

– Po prostu Pająk – powiedział staruszek. – Pozwól mi się poczuć młodziej, co?

– Oczywiście, przepraszam… Pająku – poprawiła się. – A ty, Zawiszo, jak się tu odnajdujesz? Bo wybacz, ale wygląda na to, że z obecnych chyba tylko ja nie znam twojej historii.

– To jest nas dwoje – odparł Czarny, by zaraz doprecyzować. – Znaczy ja również nie znam twojej, a może być interesująca.

– Jak tylko przemoc domowa potrafi – odparła z przekąsem Gośka i uśmiechnęła się gorzko, by zaraz na widok ich min unieść ręce w obronnym geście. – Nie, nie chodzi o Mirka, tatę Pawła, tylko mojego wcześniejszego chłopaka, właściwie narzeczonego. Byliśmy szkolną parą, wyjechaliśmy zaraz po maturze do Anglii. Wiecie, pierwsza wielka miłość, takie nie mają przeszkód nie do pokonania. Znaliśmy oboje język, on robił trochę na budowie, ja dorabiałam wcześniej jako opiekunka, ale zmywaka też się nie bałam. Najpierw jakoś szło, potem nie szło, a potem uderzył mnie po raz pierwszy, akurat gdy większość zarobionych pieniędzy poszło w kaucję na mieszkanie. Więc zostałam na te trzy miesiące, z których zrobił

się rok, a potem dwa. W końcu spotkałam takiego Redda. Nauczył mnie tego i owego pod warunkiem, że gdy skończymy, to ja odegram się na swoim narzeczonym. Miałam jakieś podstawy, w szkole trenowałam judo i trochę taekwondo, więc nie zaczynałam od zera. Ćwiczyliśmy bardzo intensywnie, codziennie przez dwa lata, a na koniec odegrałam się na narzeczonym i po prostu odeszłam. Najpierw do Redda, a potem z powrotem do Polski. Taka ot historia.

Zaśmiała się nerwowo, by płynnie przejść w udawany kaszel.

– A ty, Sawka? Jaka jest twoja…

Taksówkarka pokręciła głową.

– To już później, teraz szkoda marnować czas. Pająku, skąd macie nagranie z bulwaru?

– Z kamery pod mostem. – Starzec podniósł dłoń i wyprostował jeden palec, by zaraz dołożyć doń kolejny. – Drugie ujęcie od jakiegoś dzieciaka, co był tam, gdy przyjechała policja. Złapał ciebie, jak strzelasz, wasz bieg do taksówki, a potem… No właśnie, to powinnaś zobaczyć, bo to nie była policja. A ci ludzie nie trafili ani do aresztu, ani do szpitala.

Sawka zmarszczyła czoło i Gośka nie mogła się oprzeć wrażeniu, że w tym krótkim momencie, gdy na siebie patrzyli, zdążyli wymienić wiele niesłyszalnych dla nikogo słów. Wreszcie taksówkarka złapała za uchwyty wózka.

– Pamiętajcie o zdjęciach – powiedziała i energicznie popchnęła Gośkę w stronę drzwi do śluzy.

***

– Cześć. Szycie. Cześć.

Andrzej Limanowski odsunął rękę z telefonem od ucha i pozwolił jej opaść swobodnie na poręcz skórzanego fotela. Westchnął ciężko, wpatrując się w leżące na dywanie zabawki, które już za chwilę miał posprzątać.

Na stoliku obok świeżo nalana cola na lodzie pryskała drobniutkimi bąbelkami. Sama cola, bez whisky, jaką swego czasu nalewał sobie, gdy naśladował ojca siadającego w fotelu z książką i wieczornym drinkiem. Gdy dorósł, Andrzej spróbował kiedyś dolać do swojego dziecięcego drinka szkockiej, ale uznał, że tylko by ją marnował.

Ojciec, pomyślał. Pierwszy i wciąż największy życiowy autorytet; człowiek o nieskazitelnej opinii i żelaznych zasadach. Wybitny lekarz i po

prostu dobry człowiek. Patriota w pełnym i właściwym znaczeniu tego słowa; nie jak ta smarkateria w barwach narodowych, którą dziś policja przywiozła im na SOR. Było ich czterech, ale ranny był tak naprawdę tylko jeden. Stracił dwa palce, nie wyrzuciwszy w porę petardy, którą jak ostatni kretyn odpalił na Centralnym.

To za sprawą ojca Andrzej został lekarzem. Sam z siebie, nigdy nie czuł się naciskany czy przymuszany. Przeciwnie, tata powtarzał ciągle, że nie po to tyleśmy sobie o tę wolność walczyli, żeby ci teraz mówiono, co masz robić w życiu. Ale Andrzej chciał i poszedł na medycynę, a później został cenionym chirurgiem, człowiekiem honoru i polskim patriotą. Zupełnie jak stary Limanowski.

Potem, gdy któregoś dnia ojciec zabrał Andrzeja, wtedy jeszcze na stażu, by pomógł mu w pajęczej jaskini, chłopak czuł ekscytację połączoną z bezbrzeżną wręcz dumą. Wtedy był jeszcze sam – Weronę poznał dopiero dwa lata później – więc zapytany, czy w razie czego Organizacja może liczyć na niego jak na jego ojca, zgodził się bez wahania. Złożył przysięgę i regularnie przy każdej zmianie numeru telefonu w pierwszej kolejności podawał go właśnie Pająkowi i Łokietkom, a dopiero później reszcie znajomych.

Sytuacja zmieniła się nawet nie tyle z poznaniem Werony, ile później z urodzeniem się małej Ludki. Od początku ustalili sobie bowiem, że rodzicami będą takimi, jakim zaplanowali zostać małżeństwem. To miał być prawdziwy test, czy uda się im być partnerami na równych prawach, dzielić się czasem i obowiązkami, znajdować czas dla siebie osobno, dla siebie razem bez małej i, oczywiście, najwięcej dla siebie razem z nią.

Wraz ze szczęściem Andrzej Limanowski odkrył też ciężar zbyt wielu złożonych obietnic i tego, jak potrafią się one wzajemnie wykluczać. Wezwania do szpitala, wezwania do jaskini, obowiązki domowe. Ot, choćby teraz. Werona już dawno temu zaklepała sobie ten wieczór na nocowanie na mieście z dziewczynami. Nie miało znaczenia, czy to impreza, praca nocna, czy grupowa, przyjacielska interwencja – nikt i nic nie powinno tego zakłócić. Łatwo jest, wiedział o tym aż za dobrze z rodzinnego domu, zachwiać należytymi proporcjami i tym samym zmusić ludzi ci bliskich, by żyli twoim, tym ważniejszym życiem.

Łokietki czy Pająk nigdy jednak nie wzywali go bez powodu, a na ile się orientował, zaufanych lekarzy w sieci ostatnio brakowało.

Trzecia strona tej sytuacji była czysto techniczna i dotyczyła Ludki. Właśnie położył ją do łóżka po kąpieli i wieczornej bajce. Ściąganie opiekunki teraz potrwałoby strasznie długo, bo ta, którą jego córka naprawdę lubiła, mieszkała po drugiej stronie miasta. Zawsze zostawała jeszcze pani Grażynka z naprzeciwka, która traktowała Ludkę jak drugą wnuczkę, ale o tej porze starsza pani pewnie już spała…

– Szlag – mruknął, stukając telefonem o poręcz fotela. Życie według prostych zasad nie powinno być takie trudne!

Wstał, przeszedł przez mieszkanie – zajrzał po drodze do pokoju córki – i wyszedł na korytarz. Czując się jak ostatni uliczny kombinator, cichutko zapukał do drzwi naprzeciwko, myśląc, że jeśli kobieta z jakiegokolwiek powodu go nie usłyszy, drugi raz już pukać nie będzie. Oddzwoni, powie, że nie ma jak…

Wtedy jednak usłyszał otwierane zamki w drzwiach, a w progu stanęła w pełni ubrana, pogodna pani Grażynka.

– Co pan doktor tak cichutko puka, jakby sił nie miał zupełnie? Z synową właśnie na skajpie gadam i jakbym sobie nie szła herbaty zrobić… Ej, doktorze, a pan co taki zmieszany? Stało się coś?

Podrapał się pod uchem.

– No ja właśnie po prośbie, bo mi żona wyszła dziś na noc, a ja wezwanie dostałem i…

– Już, tylko klucze wezmę i synowej powiem. W Kanadzie są, to u nich środek dnia jest teraz.

Kobieta odwróciła się z werwą niezwykłą jak na siedemdziesięcioparoletnią staruszkę i powędrowała do pokoju. Po chwili wróciła, trzymając w ręce pęk kluczy, czytnik i smartfon.

– Dziękuję pani z całego serca – powiedział wzruszony Limanowski.

– Ku chwale ojczyzny – odparła pani Grażynka.

Trzy minuty później Andrzej był już w podziemnym garażu, a po kolejnych dziesięciu parkował przy pojedynczym bloku na Służewcu. Wyciągnął ze schowka pokrowiec na okulary, a z niego klucze i wysiadł.

Upewnił się, że nikt go nie widzi, podszedł do klatki, otworzył drzwi i zszedł do piwnicy. Świecąc sobie maleńką latarką przy kluczach, znalazł drzwi oznaczone numerem 44P. Wszedł do środka, zamknął za sobą i dopiero wtedy przekręcił zawór w rurze nad głową. Trzy razy w prawo, raz w lewo, dwa razy w prawo. Brudna od piachu i pyłu klapa odskoczyła, a Limanowski podniósł ją, zszedł na schodki i nacisnął na ścianie najpierw

przycisk po lewej, by zatrzasnąć klapę, a następnie po prawej, by włączyć światło. Jasnym, rozświetlonym korytarzem doszedł do torów, gdzie czekał już na niego mały wagonik, trochę przypominający bobslej. Wsiadł do niego i zapiął pasy.

***

– Doktołek jest już w tunelu – ogłosił Witek Rokietnicki, na moment odrywając wzrok od monitora. – Za chwilę będzie w ambulatołium.

Na ekranie przed nim znajdował się pierwszy z zeskanowanych obrazków. Zrzucony na pasek licznik informował tam o kolejnych przeskanowanych plikach, a drugi, procentowy w prawym górnym rogu, o postępach obróbki, jakiej poddana została fotografia.

– Dobra, idziemy. – Sawka zsunęła się z blatu, na którym siedziała, i poprowadziła wózek. – Polubisz doktorka, Gośka. Świetny facet, znakomity fachowiec, a przystojniak, że ho ho!

– Wolny?

– Wolny – przytaknęła Sawka ze śmiechem – ale szczęśliwie żonaty.

Ambulatorium, w którym się znalazły, było niedużym pokojem, zastawionym szafkami skoncentrowanymi wokół fotela i kozetki. Choć czyste, nie przerażało szpitalną sterylnością, a jedynie wzbudzało podziw utrzymanym porządkiem. Ściany pomalowano tu na blady niebieski, meble – na biało. Leki za przeszklonymi drzwiczkami leżały na półeczkach oznaczonych literami alfabetu, a każdy pojemnik miał napisaną odręcznie datę otwarcia i ważności. Ruchomy sprzęt, jak respirator, stojak do podwieszania kroplówek czy nawet zwykły stołek, rozstawiono równomiernie wzdłuż ścian, na odmalowanych na podłodze miejscach.

Gdy Sawka zatrzymała wózek, Gośka podniosła się i z sykiem bólu, ale i wyraźną satysfakcją sama przeniosła się na kozetkę.

– Czekaj, pomogę ci – zaproponowała taksówkarka.

Gośka pokręciła głową.

– Wózek na miejsce odstaw – wycedziła. – Burzy feng shui.

Sawka roześmiała się, ale zgodnie z poleceniem złożyła i odstawiła wózek pod ścianę.

– No to, dziewczyno, jaka jest twoja historia? – zapytała Gośka. – Dlaczego tam w garażu, przy tej syrence…

– Powiedziałam, że nie jestem gotowa? – Sawka, wciąż zwrócona przodem do ściany, zastukała palcami o poręcz wózka. Gdy się odwróciła, na jej twarzy gościł nie do końca szczery uśmiech, a prawa ręka miętoliła kieszeń, w której znajdowały się papierosy. – To wóz mojego ojca. Był tu gliną swego czasu, normalnie jeździł fiatem, a potem oplem, ale tę syrenę dopieszczali z dziadkiem na okoliczność… bo ja wiem? Chyba mieli taki pomysł, by z mojego ojca zrobić takiego bohatera Warszawy, tylko wiesz, dojrzałego, z milicyjną przeszłością. No i to miał być taki jego charakterystyczny wóz. Nawet mu pasowało: komisarz Waryniecki Stanisław. W skrócie Wars. Czy może być lepsze imię dla warszawskiego herosa?

Albo dla wagonu restauracyjnego, pomyślała odruchowo Gośka, ale na szczęście nie powiedziała tego głośno. Przygryzła policzek od środka, mając nadzieję, że tak pod pozorem bólu ukryje kolejny rumieniec, i gestem zachęciła Sawkę, by mówiła dalej.

– Odstrzelili go pruszkowscy na jakiejś akcji. Gdzieś się władował, próbował ratować postronnych i zarobił kulę w szczękę. Nie było co zbierać. Po tym wszystkim dziadek się wycofał z podziemia, mnie też zabronił przychodzić. Wróciłam dopiero po jego śmierci, ale w międzyczasie całymi dniami tylko treningi sztuk walki, nauka strzelania u wujków i samochód. W tajemnicy przed dziadkiem zrobiłam licencję detektywa i parę różnych takich kursów. Jazda rajdowa, jazda po mieście… O, jest i nasz doktor.

Gośka odwróciła się i w miejscu, w którym zupełnie nie spodziewała się drzwi, zobaczyła odchyloną na bok ścianę i stojącego w wejściu mężczyznę. Rzeczywiście był przystojny. Wysoki, dobrze zbudowany, z pociągłą twarzą i szerokim nosem, który nieco przełamywał wpisaną w rysy arystokratyczną delikatność. Włosy nieokreślonej do końca barwy zaczesane miał na bok, szczękę, mimo pory, gładką. Wyglądał na zmęczonego, ale gdy się odezwał, z jego przyjemnego głosu biły energia i stanowczość, ale też pewna czułość.

– Sawka. – Skłonił się taksówkarce.

– Doktorze.

Limanowski podszedł do Gośki i podał jej rękę.

– A my się chyba nie znamy. Limanowski Andrzej.

– Małgorzata Tar… znaczy Olszewska. Przepraszam, wciąż się przyzwyczajam po rozwodzie.

Skinął głową i pochylił się nad raną. Musnął palcem brunatną skorupę i cmoknął parę razy, przyglądając się poszarpanej skórze. W końcu odsunął się, zdjął marynarkę i zakasał rękawy koszuli.

– Pomożesz mi? – zapytał Sawkę.

– Jasne.

– W takim razie przygotuj miskę i środki odkażające. Ja dam pani Małgorzacie coś na znieczulenie. Jest pani na coś uczulona?

– Wystarczy Gośka. I nie trzeba znieczulenia.

Limanowski się zawahał, ale w końcu z uśmiechem pokiwał głową.

– Zawsze zapominam, co to za miejsce i że tu się szyje zawsze największych twardzieli – stwierdził. – No dobra, bierzmy się do roboty.

***

– Wyglądasz na nieco zagubionego, Zawiszo – zauważył Pająk. – Rozumiem, że w Katowicach pracujecie w nieco innym systemie.

Zawisza się roześmiał.

– Nasz system to podstarzały menel trzepiący wszystkich prądem i katujący ich ciężkimi brzmieniami – wyjaśnił powód swojego rozbawienia. – Do tego jest jego kumpel Ślązak, wariat pozszywany z kawałków różnych świętych i mający więcej osobowości niż wy tutaj monitorów, oraz kilku meneli. Ciężko to w ogóle porównywać do… Jak właściwie działa ta wasza siatka?

– Już ci tłumaczę – zaofiarował się Władek Rokietnicki. – Wituś, dasz sobie ładę z tymi skanami?

– Muszę na szybko napisać płogłam, któły nauczy komputeł patrzeć na zdjęcie zezem – odparł jego brat. – To nie może być tłudne.

– Dobła, to działaj. Kawy, Zawiszo?

– Tak, poproszę.

Gdy Władek ruszył w stronę stojącego za filarem ekspresu, Zawisza przysunął się lekko do Pająka.

– Jak to jest możliwe, że obaj mają taką samą wadę wymowy? I to tak bardzo wyraźną?

Staruszek zaśmiał się cicho.

– To nie tak. Wadę ma tylko Władek, ale on uczył brata mówić – wyjaśnił. – Przygarnąłem ich jako sieroty, gdy uciekli
z domu opieki gdzieś w Pomorskiem. Władek miał wtedy siedem lat, Witek

cztery, ale mówił mało. A kiedy już się tak nauczył, to później nie chciał tego zmieniać.

– Co tam tak szepczecie, hę? – zapytał głośno Władek, przekrzykując ekspres.

– Nic takiego – odparł Pająk. – Rób tę kawę i chodź tutaj, bo wiele jest do powiedzenia. A ty, Zawiszo, pozwolisz, że sobie jednak usiądę, dobrze?

Podsunął sobie ruchome krzesło Władka i opadł na nie z wyraźną ulgą.

– Powiem ci, przyjacielu. Nie chcesz być stary. To chyba najsmutniejsza rzecz na świecie.

– Niedołężność? Zmęczenie? – Zawisza przysiadł na skraju biurka i zaplótł ręce na podołku.

– To też – Pająk pokiwał głową – ale przede wszystkim poczucie, że twój czas na zmienianie świata już minął. Co miałeś zrobić, zrobiłeś, a teraz rzeczywistość po prostu biegnie inną drogą. Ot, choćby wolność. Walczyliśmy o nią, śniliśmy o niej, a gdy ją mamy, to najchętniej byśmy ją zabrali z powrotem. Dawkowali, obwarowali tysiącem warunków. Bo kiedy widzę czasem, co dziś znaczy bycie patriotą, to mam wrażenie, że ktoś tu coś odwrócił do góry nogami. Cholera, Zawisza, my z tym właśnie walczyliśmy! Inaczej rozumiem patriotyzm w tym kraju!

Czarny pokiwał głową i palcem wykonał w powietrzu obrys wokół własnej twarzy.

– Chyba coś o tym wiem – powiedział ze smutnym uśmiechem.

Pająk sapnął.

– No właśnie. Wiesz co? Tak sobie myślę, że kiedyś oburzyłbym się na to, co władze zrobiły z tym napojem, a dziś, z goryczą, bo z goryczą, mogę tylko przyklasnąć.

Zawisza zmarszczył brwi.

– Co? Z jakim napojem?

– Z Dumnym Łodakiem – wyjaśnił Władek, podchodząc z dwoma kubkami kawy. Jeden podał Zawiszy, z drugiego upił łyk. Pająka wskazał ruchem głowy. – Jemu nie wolno. Jak go zobaczysz przy ekspłesie, możesz użyć tej swojej pałki.

– Chyba ją zgubiłem pod mostem – odparł Zawisza. – I co z tym Rodakiem? Bo nic nie czytałem.

– Nikt też oficjalnie nic nie pisał – odparł Władek z rozbawieniem. – To my tu o tym tyle gadamy, że się Pająk zapędził. A Łodak zawieła wyciąg z błazylijskich jagód nitołii. Odpowiednio zmodyfikowany działa tłochę jak

słodek uspokajający, ale bez skutków ubocznych w postaci apatii czy senności. Amełykanie złobili nawet na jego bazie coś, co nazwali tłus dżus, czyli sok połozumienia. Ponoć gdy łozpylali to z ałmatek wodnych podczas buntów w więzieniach i zamieszek ulicznych, przynosiło świetne efekty. Mogę ci dać tłochę linków, jak chcesz poczytać.

Zawisza nie krył zdziwienia.

– I to znajduje się w Dumnym Rodaku? – zapytał.

– Tak jest! W napoju rzekomo enełgetyzującym, któły tłafia dokładnie w awantułujący się tałget i jest na łazie dystłybuowany tylko na tełenie stolicy, odpowiednio wcześnie przed meczem. Złesztą nie wiem, czy słuchałeś ładia, ale wszyscy mówią, że tak spokojnie to jeszcze przed żadnym meczem nie było.

Zawisza nie odpowiedział. Upił kawy i skupił wzrok na monitorze drugiego z Łokietków, gdzie obracało się zdjęcie z pancernym pociągiem. To gubiło ostrość, to jej nabierało, odsuwało się, zbliżało, a wszystko do wtóru kliknięć myszki i kolistych ruchów wykonywanych przez Witka.

– I co, Zawiszo, też masz wątpliwości? – zapytał Pająk.

– A może po płostu nie smakuje ci kawa? – Chciał wiedzieć Władek. – Płóbowałem dołwać tę łozdawaną na ulicach, tę feł tłejd, bo kosztowałem płóbki, ale niestety nie jest dostępna w detalu. Tylko wybłane kawiałnie i fiłmy. Zostaje nam zwykłe Tchibo.

Zawisza przeniósł wzrok z okularnika na starca.

– Kawa jest w porządku – odparł. – I nie, Pająku. Nie mam żadnych wątpliwości. To jawne skurwysyństwo i jeśli raz pozwolić rządowi na takie zagrywki, nawet w twoim mniemaniu w słusznym celu, to następnym razem zrobi to samo w innej sprawie, wiedząc już, że wolno mu wszystko.

– To samo mu mówię. – Władek wycelował w niego palcem. – Tyle że to w ogóle nie jest rząd. Pająk się upiełа, że tak, ale on po płostu nie chce wierzyć, że mamy z Witkiem łację, że to głubsza międzynałodowa spława. A my spławdziliśmy płoducenta tego napoju, prześledziliśmy wszystkie możliwe ścieżki, kto komu gdzie, fiłmy matki, babki, wnuczki i fiłmy cioteczne kuzynki.

– I co?

– Dowodów żadnych. – Władek wzruszył ramionami. – Ale poszlak całe mnóstwo. Zanim ostatecznie zgubiliśmy kapitał, widzieliśmy całą listę naszych stałych znajomych z czasu, gdy szukaliśmy, kto stoi za ludźmi od masowych łepływatyzacji w Wałszawie. Albo od skupowania ziemi od

Kościoła, któły ją odzyskał, a potem poszła pod małkety. Pokazujemy to Pająkowi łaz po łaz, ilekłoć błysną nam te same nazwiska i twarze na zdjęciach, ale on nie chce wierzyć.

Stary prychnął.

– Żadni oni. Ubzduraliście sobie, bo oglądacie za dużo tych waszych seriali, a potem siedzicie na forach i popadacie w paranoję, że wszystko na świecie jest ze sobą powiązane. Ja już widziałem takie właśnie metody. To wszystko da się wyjaśnić prościej.

– Tak? – Władek odstawił kubek na blat tak energicznie, że wylała się spora część zawartości. – To jak wyjaśnisz tych facetów, którzy zjawili się na bulwarze? Tych w gałnitułach, a nie mundułach? I dlaczego nie przyjechała tam żadna kałetka, tylko same ładiowozy? Nikt z bijących się tam ludzi nie tłafił do żadnego szpitala, nie mamy żadnej infołmacji z ani jednego SOŁ-u o bijatyce akułat na bulwarze. Wypałowali? Na to trzeba mieć budżety, Pająk. Budżety! Złesztą wedle naszego systemu łozpoznawania twarzy…

– Znikają ludzie?! – Pająk aż się zapluł. – Nie rozśmieszaj mnie! To przecież klasyczna esbecja! I nie mydl mi tu oczu swoimi procentami z komputera! Widzisz, co chcesz widzieć. Co to jest sześćdziesiąt procent po ciemku, z daleka i słabego…

– Heloł, żyjemy w nowym tysiącleciu, a SB to nigdy nie byli faceci w czełni, do choleły jasnej…

– Dość! – ryknął Zawisza na tyle głośno i nagle, że nawet odklejony od rzeczywistości Witek odwrócił się zaciekawiony i powolnym gestem zsunął z uszu słuchawki. – O czym wy, do jasnej cholery, mówicie? O jakich onych?!

Pająk znowu prychnął i z trudem podniósł się z krzesła.

– Niech już ci sami opowiedzą o tych swoich durnotach, ja tego znowu słuchać nie zamierzam – stwierdził. – Tylko z łaski swojej, jak już skończą, nie śmiej się za głośno, bo się obrażają. Idę zobaczyć, jak się miewa nasza pacjentka.

Najszybciej, jak mógł, choć wciąż powoli, skierował się do ambulatorium, odprowadzony wściekłym spojrzeniem Władka.

– Dobra, Łokietek. O jakich onych ci chodzi? – powtórzył swoje pytanie Zawisza. – Mów szybko i miejmy to za sobą. Kto szprycuje kibiców i wszechpolaków, kto jeździ radiowozami i sprawia, że znikają ludzie w centrum Warszawy?

Władek zmrużył oczy, szukając czegoś na twarzy Zawiszy. Może kpiny, może niedowierzania. Wreszcie cmoknął cicho i odwrócił się do komputera. Jego serdelkowate paluchy uderzyły o klawiaturę.

– Będziesz się śmiał albo powiesz „bez jaj” – zaczął, nie przestając wklepywać do komputera ciągów informacji i komend. Na monitorze otwierały się i zostawały sprowadzone na pasek kolejne okna: zeskanowane wycinki artykułów, zdjęcia, mapy, statystyki. – Ale zanim dojdziemy do czasów bieżących, pokażę ci najpiełw, że oni istnieją i działają. Wszystko ci pokażę, na ile jestem w stanie. Będziesz to miał w linkach, ałchiwum i inne takie, choć oczywiście to żadne dowody, a spława jest skomplikowana. Bo to nie jest coś, co można z miejsca wytłumaczyć. Temat sięga dawnych dziejów i społych tełenów, a żeby znaleźć ślady, trzeba łączyć pozołnie niepołączone fakty. Mówię ci, tłochę jakbyś czytał Dana Błałna. Ale załaz sobie prześledzisz całą histołię, zobaczysz dokumenty, skany zapisów bankowych sięgających szesnastego wieku, a potem setki, jeśli nie tysiące innych kwitów potwiełdzających – wbłew woli i intencji samych zaintełesowanych, bo pewnie chcieli to wszystko ukłyć, ale jeszcze nie umieli – tłansfeły pieniędzy, zakupy, wydatki na działania opełacyjne i inne takie. Zakładane fiłmy, fuzje, a wszystko stełowane z tylnego siedzenia. To wielka spława, a co gołsza osobista, bo dłanie mają do nas, Polaków, żal i się napławdę uwzięli…

– Kto to są oni, Władek?

Rokietnicki, zanim odwrócił się na krześle, wymienił spojrzenie z przyglądającym się w milczeniu bratem. Ten zmierzył Zawiszę taksującym spojrzeniem, po czym powoli skinął głową.

– To iłonia losu, że się tu zjawiłeś, Czałny Zawiszo. Że akułat ty. Iłonia losu, ale nie przypadek, tak jak nie jest przypadkiem, że my jesteśmy Łokietki, a on, Pająk, nas ukłył – powiedział z powagą Władek Rokietnicki. – Słyszałeś kiedyś, że histołia toczy się kołem? No to się właśnie, choleła, przytoczyła znowu, bo…

Zrobił pauzę trochę po to, by wziąć oddech, ale bardziej chyba dla zwiększenia dramaturgii. Policzki drżały mu z ekscytacji, oko pod okularami podrygiwało w nerwowym tiku. Spocone ręce na przemian rozluźniał, to znów zaciskał.

– Uważamy bowiem, że oni to utajniony, ale wciąż płężnie działający Zakon Szpitala Naświętszej Małii Panny Domu Niemieckiego w Jełozolimie. Nie ta oficjalna mieszcząca się w Wiedniu austłiacka

podłóbka na pokaz, nie baliwat będący oficjalnie częścią Kościoła katolickiego, tylko najpławdziwsi…

– …Krzyżacy? – dopowiedział Zawisza, przywołując doskonale znaną mu z powieści Sienkiewicza krótszą nazwę zakonu.

Powiódł wzrokiem od jednego brata do drugiego, szukając w ich twarzach choć cienia rozbawienia. Jakiegokolwiek dowodu, że właśnie go w tej chwili wkręcają, zapewne wraz z Pająkiem, który za chwilę wyjdzie z ambulatorium, pękając ze śmiechu. Gdy jednak nie dostrzegł na twarzach braci niczego poza powagą, a drzwi, za którymi zniknął staruszek, wciąż pozostawały zamknięte, upił kolejny łyk kawy i pokręcił z niedowierzaniem głową.

– No kurwa, bez jaj!

ROZDZIAŁ 10

RZECZY, KTÓRE DZIEJĄ SIĘ PO ZMROKU

Tomasz Czarnecki odebrał telefon akurat w chwili, gdy kończył przydzielać skradzione auta do poszczególnych kierowców. To było skomplikowane logistycznie zadanie, bo na każdego człowieka wypadało co najmniej siedem pojazdów. Większość z nich trzeba było zaparkować legalnie, przynajmniej do godziny zero, a potem, w kluczowej chwili, szybko przestawić. Najlepiej, by wymagało to przebiegnięcia najwyżej jednej przecznicy.

Miał to oczywiście wszystko rozpisane, ale co innego ustalać teoretyczny plan, a co innego pracować na przydzielonych mu w ostatniej chwili ludziach. Rzecz jasna, znał ich wszystkich, pochodzili z jego domeny, a znajomość swoich była wymagana pod karą wykluczenia, ale do ostatniej chwili brakowało mu wiedzy, z kim rozegra tę część akcji, co komplikowało sprawę. Mimo to poradził sobie z wszystkim, a gdy opuszczał parcelę przy Magazynowej, już się nią nie martwił.

Nowe zadanie, choć również miał na nie opracowane procedury, było dużo bardziej skomplikowane i zawierało znacznie więcej zmiennych. Dotyczyło tak zwanego samozapłonu klasy drugiej, czyli – jak to tłumaczono w trakcie prezentacji planu podczas zlotu hodowców kaktusów leczniczych w centrum konferencyjnym we Frankfurcie – momentu, w którym czynnik wyzwalający z jakiegoś powodu generuje się samoistnie na grupie osobników większej niż cztery. To właśnie, wedle rozmówcy Czarneckiego, nastąpiło tego wieczoru na nadrzecznym bulwarze przy moście Poniatowskiego.

Pierwsze, kluczowe w takiej sytuacji działania podjęto od razu. Wszystkich osobników zabezpieczono i wywieziono w bezpieczne miejsce, utrzymując ich w stanie uniemożliwiającym jakiekolwiek reakcje niepożądane. Zabezpieczono szereg nagrań wydarzenia i monitorowano sieć w poszukiwaniu osobników nieprzechwyconych. Samo miejsce

odcięto, używając do tego wiarygodnego wytłumaczenia i odpowiednio wiarygodnych rekwizytów.

Teraz wchodziła w grę faza druga i to jej właśnie dotyczył telefon. Czarnecki nie miał pojęcia, ile było łącznie osobników i ilu kumotrów jeszcze przydzielono do tego zadania, ale jemu do rozlokowania przypadło dwanaście osób, czterech pomocników i jedna furgonetka. No i oczywiście udostępniono mu bazę wraz z oddelegowanym doń specjalnym bratem konsultantem.

Działania rozpoczął już w drodze. Polecił przygotować pomocnikom kompletną dokumentację widocznych obrażeń swoich osobników, jak również, na podstawie informacji znajdujących się w ich telefonach i dokumentach, ustalić adresy zamieszkania, potencjalnych współlokatorów, a także ulubione lokale, w których dany osobnik zwykł bywać.

Z tym ostatnim miał Czarnecki naprawdę sporo szczęścia, wyszło bowiem na to, że pięciu osobników przynajmniej osiem razy w ciągu trwającego lata odwiedziło lokal Bastet należący do człowieka Zakonu, a znajdujący się około dziesięciu minut pijackim marszem od mostu. W takiej sytuacji praca była w zasadzie żadna. Zanim przytransportowano osobników, zdemolowano lokal, tak by zniszczenia pasowały do obrażeń, spreparowano słabej jakości nagranie z monitoringu i przygotowano dla zaufanych pracowników wersję do powtarzania o bandzie ukraińskich chuliganów. Potem wezwano policję i karetkę.

Z pozostałych siedmiu osób jedna para się znała. Wedle zapisu z ich rozmów czatowych, od dłuższego czasu flirtowali ze sobą, mimo iż oboje byli w związkach. Tych Czarnecki kazał przewieźć na drugi brzeg i umieścić w krzakach. Następnie polecił jednemu z podwładnych dokonanie brutalnej penetracji dziewczyny i uzupełnienie obrażeń chłopaka o cios tępym narzędziem w głowę. Reszta historii układała się już sama.

Czarnecki nie miał wątpliwości, że bardzo pomocnym czynnikiem była amnezja, jaką wywoływała ostatecznie substancja w połączeniu z adrenaliną. Dziura w pamięci obejmowała jednak zwykle od godziny do maksymalnie trzech, należało więc działać szybko.

Trudność sprawił osobnik numer dziewięć współdzielący mieszkanie z czterema innymi studentami. W tym jednym przypadku Czarnecki posunął się do ostateczności i kazał wrzucić osobnika do rzeki po wcześniejszym przeciągnięciu przez nabrzeżne chaszcze. To, penis wystający z rozpiętych spodni i obrażenia otrzymane na bulwarze,

a sugerujące co najwyżej jakąś bójkę, układały się w kolejną wiarygodną opowieść o studencie, który przeholował i zwyczajnie nie miał szczęścia.

Najłatwiejszy z kolei był osobnik numer dwanaście. Mieszkał sam, w połówce domu na końcu ulicy, a jego sąsiedzi z drugiej połowy przebywali akurat na wakacjach. Tym długowłosym brodaczem Czarnecki postanowił się zająć osobiście. Oficjalnie po to, by móc wcześniej zwolnić zespół, a faktycznie ze względu na uderzające wręcz podobieństwo osobnika do pewnego wyjątkowo wrednego malborskiego nauczyciela angielskiego z czasów szkolnych kumotra Czarneckiego.

Po długiej analizie wszystkich możliwości jego wybór padł na łazienkę. Czarnecki opuścił osobnikowi spodnie i bokserki, po czym ułożył go tak, by jego stopy wystawały do przedpokoju. Głowę z już wcześniej przestawioną szczęką odchylił do tyłu, jakby układał łeb dywanikowego niedźwiedzia. Zasłonkę prysznicową owinął mężczyźnie wokół ręki i szarpnięciem zerwał ją wraz z drążkiem. Wreszcie znalezionym w kuchni młotkiem uderzył w toaletę znajdującą się teraz tuż nad głową osobnika. Wybrał miejsce, w które mężczyzna mógłby przy upadku zaryć brodą.

Żałował jedynie, gdy zacierał ślady swojej obecności i gasił światło, że nie będzie mu dane usłyszeć myśli, jakie towarzyszyć będą osobnikowi po przebudzeniu, kiedy jego umęczony, skacowany mózg zacznie sobie to wszystko składać do kupy.

***

Nie trzeba było wiele czasu, by Zawisza pogubił się w dostarczanych mu informacjach. Pamiętał coś o hołdzie pruskim i poprzedzającym go przejściu wielkiego mistrza na luteranizm. Zdaniem Władka była to zmyłka, bo, jak twierdził, czołowi ojcowie Zakonu najpierw odrzucili Boga zaraz po grunwaldzkiej porażce, a potem opracowali własną religię w oparciu o elementy chrześcijańskie, której pozostali wierni po dziś dzień. Mottem Zakonu zostały słowa „Bóg działa z ukrycia”. Trzymając się go bardzo ściśle, w kontrolowany sposób przeprowadzili rozłam na tych, którzy poszli za wielkim mistrzem Hohenzollernem w luteranizm czy potem kalwinizm, i tych, którzy pozostali przy papieżach, pomagając budować to, co potem nazwano kontrreformacją.

Jednocześnie najlepiej wykształceni ojcowie i bracia, których nikt nie wymienia z nazwiska, nazywając już tylko bratem Wilkiem czy ojcem

Ogniem, zdobywali dalsze wykształcenie i wiedzę, a nade wszystko skupili się na odzyskiwaniu władzy i zsekularyzowanego majątku.

Dotąd Zawisza pamiętał, ale potem wszystko ruszyło lawinowo, a Władek mówił tak szybko, że trudno było cokolwiek zrozumieć. Udział Zakonu w kolejnych wojnach, wspieranie takich albo innych rządów, podkopywanie Napoleona i zawsze, gdy tylko ktoś ich o cokolwiek podejrzewał, podsyłanie mu oficjalnie działającego Zakonu jako chłopca do bicia. Potem wojna i lawirowanie pomiędzy pomaganiem Hitlerowi a wspieraniem aliantów, wreszcie złoty okres dla zakonnych szpiegów, czyli czasy żelaznej kurtyny. Cokolwiek by się działo, jakikolwiek konflikt by się szykował, zakonnicy spod znaku czarnego krzyża byli najwyraźniej wszędzie i po każdej stronie. Wykorzystywali walczące siły, podjudzali je, by potem, dzięki wywołanemu zamieszaniu, wyjść ze sprawy z jak największym zyskiem.

– Ze wszystkiego biołą po kłopelce, taką mają metodę – tłumaczył Władek. – Bez pazełności, ostłożnie, z każdej spławy, w jaką się angażują, czełpią ledwie zauważalne zyski. Ale kłopla do kłopli i już mają piękny, łwący stłumień.

Zawisza myślał. Składał to wszystko razem, rozplątywał supły pamięci, gdy orientował się nagle, że coś pomieszał. Nie chciał dopytywać, bo znał takich jak Władek. Zadasz im jedno proste pytanie, a powiedzą ci tysiąc nowych rzeczy, które jeszcze bardziej namieszają ci w głowie. Uznał w końcu, że najważniejsze to zrozumieć ich związek z Warszawą i obecnymi sprawami. Jeśli taki jest, to na czym polega, a jeśli go nie ma, to po cholerę w ogóle marnować czas. Zapytał o to.

– Oczywiście, że jest związek! – żachnął się Władek i skinął na brata, który wrzucił na połączony ekran ścienny pierwszą mapę.

Przedstawiała ona polskie Pomorze przechodzące wyjątkowo złośliwą odmianę ospy wietrznej. Wszędzie roiło się od mniejszych i większych czerwonych plamek, zwłaszcza na terenach na wschód od Gdańska.

– Te czełwone punkty to miejsca wykupione od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego łoku przez spółki lub osoby pływatne, któłe udało nam się wstępnie powiązać z Krzyżakami. Jak widzisz, w większości płóbują odzyskać swoje dawne ziemie i…

– Co znaczy: spółki powiązane z Krzyżakami? – wszedł mu w zdanie Zawisza.

Władek westchnął, wyraźnie niezadowolony, że musi tłumaczyć takie oczywistości. Skinął na brata, a ten wrzucił na boczny ekran infografikę pełną strzałek, kółek i nazw znanych marek.

– Spółki i fiłmy powiązane to takie, któłych większościowe udziały lub nawet całość udziałów mają kompanie albo zarządzane przez kumotłów, albo takie, w których ich łozdłobnione pomiędzy pomniejszych udziałowców akcje dają im pakiet większościowy. Ale one nie są ich, nic nie płowadzi bezpośłednio i ostatecznie do Zakonu. Bo im nie chodzi o pazełne głomadzenie zysków, ale o to, żeby w łazie potrzeby mieć kontłolę, a w łazie wpadki wszystkiego się wyprzeć. Osoby pływatne powiązane z Zakonem to…

– Chyba się domyślam – mruknął Zawisza. – Wróćmy do mapy. Te plamki to…

– To wszystko, Zawiszo. Fabłyki, błowały, ale i hotele czy pensjonaty, małe fiłmy budowlane, piekałnie, apteki, nawet księgałnie. Jest kilka fiłm przewozowych, są szkoły językowe, kilka szkół walki, galełie handlowe, małka odzieżowa. No i ziemia. Mają pod kontłolą mnóstwo tełenów łolniczych i lasów. Podobnie rzecz się ma… Wituś, daj mi tu mapę Podkałpacia, co?

– Mówmy teraz o Warszawie – poprosił Zawisza.

Władek skinął głową i na ekranie pojawiła się mapa stolicy. Ta wersja była bardziej skomplikowana, bo do oznaczenia obszarów użyto trzech różnych kolorów.

– Czełwony nołmalnie, jak wcześniej – wyjaśnił starszy Łokietek. – Niebieski to ziemie odzyskane przez Kościół katolicki, ale pod zarządem ludzi Zakonu. Mamy tu pałę nazwisk i zdjęć, jakbyś chciał zobaczyć księży Krzyżaków…

– Później. Co to jest żółty?

– To efekty dzikiej łepływatyzacji. Krzyżacy znajdują rzekomych spadkobiełców i pomagają im odzyskać dawne mienie za bałdzo solidny płocent od wałtości. Potem tak to wszystko spławnie ustawiają w bankach, że w ciągu dwudziestu, trzydziestu lat udaje im się przejąć lokal na własność.

– Trzydzieści lat to długo – zauważył Zawisza, na co Łokietek zamachał ręką.

– Długo dla ciebie, dla mnie, dla obecnego mistrza. Ale dla Zakonu działającego już tyle stuleci? Tak postępują w całej Eułopie, ale rzadko kto

im łobi taki płezent, jak tełaz w stolicy z tym odzyskiwaniem niełuchomości. Tak czy owak, jak widzisz, gdy połączyć te kołoły, da nam to… – na ekran wjechała kolejna mapka – …taki obłazek. Siedemdziesiąt płocent tego, co w tym mieście jest coś wałte, to Krzyżacy. Stąd nasza piełwsza teołia dotycząca Dumnego Łodaka – po płostu Zakon dba o porządek. Pilnuje, by mu nie zdemołowano cołaz bałdziej jego miasta. Napój pojawił się wszak na półkach niedawno, jest tylko w stolicy, tałgetuje idealnie kibiców i tych, co chcą się nazywać patłiotami. No ale jednak to nie do końca ich styl. W dodatku te wydarzenia pod mostem…

– Myślisz, że ta histeria była czymś wywołana? Że tak jak Dumny Rodak uspokajał, tak coś innego wywołuje agresję?

Władek rozłożył ręce.

– Może. Tylko na kim, po co i do czego ma to dopłowadzić? Bo ja, przyznam ci się, nie widzę w tym sensu. Wiem tylko, że na nagłaniu… Wituś… O właśnie, patrz na ekłan. Na nagłaniu z komółki odjeżdżacie wy, podjeżdżają ładiowozy i wysiadają z nich panowie w gałnitułach. Witek, oznacz naszych! No właśnie. Te twarze mają, jak mówiłem Pająkowi, wysoki stopień zgodności z twarzami ludzi Zakonu, któłych już wyłapaliśmy a to na wiecach politycznych w Olsztynie czy Ełku, a to na otwałciach zakonnych inicjatyw w Austłii czy na Ukłainie. Silnołęcy błaciszkowie krzyżaccy, chłopcy od ochłony i błudnej łoboty. W każdym łazie, bo do tego zmierzam, jeśli Krzyżacy stoją za tym nagłym wybuchem agłesji, to znak, że łobią swoją stałą sztuczkę, błachu. Że znowu podjudzają, głają na dwie stłony i płóbują coś z tego uzyskać. Pytanie tylko, kto tu jest stłonami konfliktu.

Zawisza dopił kawę i odstawił kubek na blat. Przeciągnął się, podrapał po głowie i przetarł oczy.

– Muszę to sobie chyba wszystko poukładać i przemyśleć – stwierdził w końcu. – A jakby się dało, to kimnąłbym się też na chwilę.

– Jasne – wielkodusznie zgodził się Władek, co wcale nie było takie oczywiste, zważywszy na stopień jego nakręcenia tematem. – Na lewo od ambulatołium są drzwi do części mieszkalnej, stąd nie widzisz, bo za filałem. Możesz się tam wymyć, przespać, tu jeszcze tłochę zajmie z tymi mapkami. To, co na łazie widać zezem, to tylko jakiś dziwny załys, niedający się dopasować do żadnych ulic czy miejsc w Wałszawie. Ale spokojnie, obudzimy cię jakby co. Jak sieć znajdzie coś o tych ludziach

z bulwału, to też. I przygotujemy pałę zabawek, żebyś tak bez niczego nie latał, dobła?

– Dobra – przytaknął Zawisza.

Ruszył w stronę części sypialnej, ale gdy mijał drzwi ambulatorium, przystanął na moment. Usłyszawszy ze środka ożywiony męski głos, cicho zapukał.

***

Kilka razy Gośka była bliska omdlenia, a dwa razy z jej gardła wyrwał się cichy okrzyk, ale poza tym zszywanie zniosła dzielnie. Doktor Limanowski był jednocześnie delikatny i bardzo profesjonalny, wszystkie czynności wykonywał szybko, ale z należytą troską. Dało się odnieść wrażenie, że jest rozluźniony, ale Gośka dostrzegła, jak ciągle ukradkiem zerka na leżący obok telefon, sprawdzając albo godzinę, albo liczbę kresek zasięgu.

Sawka z Pająkiem przyglądali się im spod ściany; ona stała, on siedział na niskim stołku. Choć co jakiś czas zagadywali uprzejmie, główny temat ich rozmowy nie dawał możliwości, by się w niego włączyć inaczej niż wścibskim dopytywaniem.

– Mówię ci, że coś będziemy musieli z tym zrobić – powiedział Pająk. – Wiesz, jak to jest, czytałaś o tym, widziałaś ten film o matematyku. Jak jesteś wystarczająco inteligentny, to wszystko sobie dopowiesz. Poskładasz, uzupełnisz, zinterpretujesz…

– Albo wszystko zanegujesz – odparła Sawka. – Nie mówię, że mają rację, że ta ich teoria to cokolwiek więcej. Ale Łokietki to rozsądni, inteligentni goście; próbują ci to pokazać, a ty się zapierasz.

– Bo to bzdura!

Gośka miała zamiar zapytać, co za bzdura, ale wtedy poczuła mocniejsze niż wcześniej szarpnięcie i syknęła z bólu. Łzy pociekły jej po policzkach.

– Nie wiem, czy to pocieszające, ale skończyłem – powiedział Limanowski. – Jeszcze tylko założymy opatrunek i… szlag!

Zdjął rękawiczkę i sięgnął po wibrujący telefon, z którego spoglądała na niego ze zdjęcia śliczna, krótko ostrzyżona, czarnowłosa dziewczyna. Doktor patrzył na nią przez moment z mieszaniną strachu i żalu malującą się na twarzy, aż wreszcie odebrał.

– Cześć, kochanie – powiedział sztucznie wesołym głosem. – Jak się bawisz?

Odsunął się w kąt ambulatorium i zwrócił twarzą do kąta jak niegrzeczny dzieciak, a Gośka spojrzała na Sawkę i Pająka z miną pytającą, czy powinni mu dać chwilę prywatności. Ona by dała, krępowało ją siedzenie tutaj bez spodni i słuchanie, jak mąż kłamie żonie przez telefon. Bo, że kłamał, była pewna. Znała to spojrzenie, to zmieszanie, rozpoznawała ten ton głosu. Swego czasu Mirek nauczył ją wielu rzeczy.

– Z małą w porządku, ale ja zastanawiałem się, czy nie pojechać z nią rano na Pole Mokotowskie, bo tam podobno jakiś festyn… A, nie, to nie wiedziałem. No to oczywiście, że nie zabiorę jej do… Ej, Wera, ale nie mów w ten sposób. Wiesz, że nie lubię, gdy… – Doktor urwał i obejrzał się ukradkiem przez ramię, niczym dzieciak palący papierosa na śmietnikach za szkołą. – A gdzie ty właściwie jesteś?… Nie, nie inwigiluję cię, to po prostu ciekawo… Na stadionie? A co ty, na litość boską, robisz na… No powiem ci, że popieprzyło was do reszty. Takie… Takie rzeczy to jednak powinnaś ze mną uzgadniać, wiesz?! Wera… Wera… Ty wiesz, że ja szanuję twoje poglądy i decyzje, ale takie rzeczy…

Miotał się coraz bardziej. Z jednej strony, próbował wejść w słowo żonie, która mówiła coraz głośniej, aż Gośka była już w stanie wyłapać ze swojego miejsca na leżance pojedyncze słowa, a nawet kawałki zdań. Z drugiej strony, Limanowski starał się za wszelką cenę zbudować przed znajdującą się w ambulatorium trójką – a pewnie i przed sobą samym – pozór dojrzałej rozmowy dorosłych, kochających się ludzi, co mu zupełnie nie szło. Po trzecie, był wyraźnie rozdarty między chęcią uświadomienia żonie, jak bardzo źle zrobiła, podejmując decyzję bez rozmowy, a palącym go wstydem z powodu hipokryzji, jakiej by się w ten sposób dopuścił. Bo jego, jak się domyśliła Gośka, nie powinno tu być. Nie uzgodnił tego z żoną, zostawił ich dziecko, choć pewnie miał z nim siedzieć, i zjawił się tutaj, na zdecydowanie nieformalnym wezwaniu. Czy jego żona wiedziała o tym podwójnym życiu? A jeśli nie, czy można zbudować solidny związek z taką tajemnicą?

– Dobra, czyli rozumiem, że będziesz dopiero wieczorem, o ile w ogóle, tak? – Głos Limanowskiego stał się suchy, rzeczowy. – I zdajesz sobie sprawę, że to, co chcesz zrobić, to przestępstwo, prawda? Nie traktuję cię protekcjonalnie, moja droga… I nie, to nie jest mansplaining! Przestań, kurwa… Przepraszam, Wera, już nie krzyczę. Jestem po prostu… Tak, rozumiem, że ty też. Spokojnej nocy i daj znać, jak poszło. Tak… Cześć.

Rozłączył się i powoli odwrócił.

– Moja żona ukrywa się na Stadionie Narodowym, a jutro najwyraźniej weźmie udział w nielegalnym feministycznym happeningu – powiedział, wpatrując się w kratkę wentylacji nad głową Sawki. Westchnął ciężko i ścisnął trzymany w dłoni telefon. – Kurwa mać!

Ktoś zapukał cicho.

– Proszę – powiedział Pająk.

Zawisza wszedł do ambulatorium i trochę się zdumiał na widok lekarza. Zaraz jednak dostrzegł wciąż uchylone drugie drzwi i na jego twarzy pojawiło się zrozumienie.

– Zawisza. – Wyciągnął rękę do doktora.

– Limanowski – odparł tamten nieco nieobecnym głosem.

– I jak tam, przyjacielu, jesteś już zwolennikiem teorii o drugim Grunwaldzie? – zadrwił Pająk. – Mają ci chłopcy fantazję do opowiadania niestworzonych rzeczy, co?

Zawisza wzruszył ramionami.

– Wiem, że już to mówiłem, ale powtórzę. Pyta mnie człowiek, który pod Warszawą zbudował jaskinię Batmana i dowodzi siecią oplatającą, jak zrozumiałem, całe miasto?

Pająk zmarszczył czoło.

– Nie mów mi, że im wierzysz.

– Na razie trawię. I muszę się przespać. Jak noga?

Gośka udała, że kusząco przejeżdża po niej ręką.

– Na razie żadnych pończoch, złociutki, bo się porobią oczka. Ale poza tym w porządku, prawda, doktorze?

– Co? A tak. – Limanowski potrząsnął głową, jakby się właśnie przebudził. – Dobra, załóżmy ten opatrunek i będę się musiał zbierać. A, Pająku, jak sam słyszałeś, mogę być na parę dni wyłączony ze wszelkich akcji. Miej to na uwadze.

– Przekażę Łokietkom – zapewnił starzec, kiwając głową. – A ty, Zawiszo, możesz się iść przespać do…

– Części mieszkalnej, wiem. – Zawisza ziewnął w zaciśniętą pięść. – Nie wiem tylko, czy uda mi się zasnąć z tyloma myślami w głowie.

– Uda ci się – rzekł Pająk. – A czasem to właśnie sen pomaga wszystko poukładać.

– Idź – dodała Sawka. – My posiedzimy z Gośką i potem też pójdziemy się przespać. Coś mi się czuje, że czeka nas długi dzień.

Zawisza podzielał to przeczucie, dlatego nie dyskutował dłużej, tylko przeszedł do części mieszkalnej. Miał wrażenie, jakby w chwili przekroczenia progu przeniósł się do typowego M z cyferką gdzieś na warszawskim blokowisku. Zwyczajne, wstawiane seryjnie przeszklone drzwi, boazeria na ścianach, pod sufitem pawlacze i żyrandol z Ikei. W łazience wanna z zasłoną prysznicową, w kuchni zestaw z innej epoki i czajnik z gwizdkiem.

Nie miał siły się zastanawiać, skąd ten pomysł na wystrój. Skorzystał z toalety, wszedł do najmniejszego z pokoi i w ubraniu padł na łóżko.

Śnili mu się mężczyźni w ciemnych garniturach siedzący na koniach obleczonych w białe kropierze z czarnym krzyżem. Mieli na nosach przyciemniane okulary, w rękach telefony, a za nimi ciągnęła się cała armia łysych, biało-czerwonych szalikowców wznoszących deski wyrwane z ławek, potłuczone butelki i maczety. Ze wzgórza naprzeciw, prowadzeni przez takich samych Krzyżaków w garniakach, krzyczeli dziko ci, z którymi Zawisza walczył dziś na bulwarze. Młodzi yuppie, awangarda, hipisi, nerdy i hipsterzy. Ich laptopy niczym tarcze lśniły w słońcu, aktówki, torebki i teczki grzechotały jak kościane zbroje.

Zawisza stał pomiędzy przekrzykującymi się stronami, na samym środku pola bitwy, zakuty w zbroję czarną jak smoła, w której było mu niewiarygodnie gorąco, uzbrojony w dwa wielkie miecze.

– Mam tak samo jak ty miasto moje, a w nim… – kobiecy głos po lewej zaintonował nagle Niemenowy *Sen o Warszawie*.

Zawisza odwrócił się i dostrzegł Sawkę, także w rycerskiej zbroi. Na trzymanym w ręce puklerzu miała herb syrenki wpisanej w kierownicę lub znaczek Mercedesa.

– …najpiękniejszy mój świat, najpiękniejsze dni… – podjęła Gośka w stroju dwórki, trzymająca wielką białą chustkę, tak jakby zaraz miała zarzucić ją Zawiszy na głowę.

Nie zdążyła jednak, bo w słonecznym rozbłysku pojawił się na koniu król w przepysznych, biało-czerwonych gronostajach i ze złotą koroną na siwiuteńkich skroniach. Przez moment miał twarz Pająka, a potem jego oblicze wykrzywiło się i zmieniło w bardziej zniszczoną, choć zdecydowanie młodszą twarz Ryśka Zwierzchowskiego zwanego Dreszczem.

Śląski superbohater, samozwańczy władca piorunów i pierwszy fan australijskiego zespołu AC/DC uniósł do góry rękę, a spomiędzy ułożonych

w diabełka palców wystrzeliła elektryczna wiązka.

– Pamiętaj, kim jesteś, Zawiszo! – zawołał. – Czarnuchem, którego nikt tu nie chce! Bohaterem, na którego nie zasłużyli! Skop im dupy, bracie!

Wiązka elektryczna wystrzeliła z jego palców ku niebu i rozdarła je na pół, a wtedy wszyscy ludzie, których Zawisza kiedyś poznał – dzieciaki i dorośli z afrykańskiej wioski, misjonarze, zakonnice, celnicy, wykładowcy i studenci z katowickiej uczelni, łotrzy i bohaterowie – cały chór postaci z husarskimi skrzydłami na plecach zaśpiewał na głosy melodię *Hallelujah* z *Mesjasza* Haendla:

– Skop im dupy! Skop im dupy! Skopimdupy, skopimdupy…

Ale komu? – chciał w tym momencie zapytać. Nie zdążył jednak, bo z jednej strony do jego boku przywarła Sawka, z drugiej Gośka, a obie armie ruszyły na siebie, zostawiając za sobą Krzyżaków w garniturach.

I rozpoczęła się wielka bitwa…

CZĘŚĆ 2

WARSZAWSKI DZIEŃ

ROZDZIAŁ 11
TRUDNE PORANKI

Jak zwykle Mariacki wyłączył budzik zaraz po pierwszym sygnale, by nie budzić Magdy. Zerknął na nią, uśmiechnął się na widok tego, jak zabawnie zmarszczyła nos, zanim przewróciła się na bok. Dziś przynajmniej dzieci dały im spokój w nocy, żadne nie przyszło. Może dorastały.

Wygrzebał się z pościeli, wsunął na nogi kapcie i poczłapał do łazienki. Po drodze przypominał sobie, że przecież dzisiaj nie odwozi dzieciaków do przedszkola; wziął wolne w robocie specjalnie po to, by zabrać maluchy na festyn pamięci Żołnierzy Wyklętych. Najlepiej by było, gdyby mogli pojechać całą rodziną, ale Magdzie nikt by, ot tak, nie dał wolnego. Pracowała – na razie, powtarzał sobie, na razie – dla jebanego pazernego Francuza. Czemu taki miałby szanować polską tradycję i jej bohaterów? Czemu w ogóle miałby szanować bohaterstwo, skoro wywodził się z narodu pierdolonych tchórzy?! Jak to było? Ile biegów ma francuski czołg? Pięć, z czego cztery wsteczne.

No ale on pojedzie z dziećmi, tak się umówili i tak obiecał sam sobie. Po tych wszystkich tajnych robotach dla podziemia, tych rzeczach, które były na pewno ważne, ale z których mało co zrozumiał, teraz zrobi coś prawdziwie patriotycznego. Nauczy dzieci co nieco o historii i o tym, czym grozi pieprzone lewactwo, które chce, byś przestał być gospodarzem we własnym kraju! Potem wrócą, a on spokojnie obejrzy sobie wieczorem meczyk. Nie śpieszyło mu się na stadion. Bilety za drogie i za dużo hałasu. Wolał w domu.

Wysikał się, opłukał twarz zimną wodą i przeszedł do kuchni. Nastawił kafetierę, włączył radio i otworzył lodówkę. Jak zawsze zawiesił się na chwilę wpatrzony w jej przepełnione półki.

„Wczoraj padł nowy niechlubny rekord. Jak donosi policja na podstawie masowych, wciąż spływających zgłoszeń, w ciągu wczorajszego dnia na terenie Warszawy skradziono łącznie siedemdziesiąt trzy samochody, co oznacza…”

– Co oznacza, że pierdoleni Cyganie i Ukraińcy wyczuli pismo nosem i powyłazili z dziur jak karaluchy – mruknął Mariacki, po czym wyjął

z lodówki parówki i słoik keczupu z Pudliszek, położył je na blacie. Z szafki wyciągnął rondel i wypełnił go do połowy wodą.

To jest właśnie tolerancja w praktyce, myślał, obierając parówki z foliowej osłonki. Wpuścisz, ugościsz, a oni będą tylko czekać, aż się odwrócisz. Bo co ich obchodzi mecz nie ich reprezentacji? Co ich obchodzą uroczystości ku pamięci bohaterów? Jego uczono, że jak jesteś w gościnie, to się stosujesz do reguł gospodarzy i szanujesz ich zasady. Ale czego oczekiwać od Cyganów, którzy okradają ludzi na ulicach, wciskają te śmierdzące perfumy i jak muzułmanie dymają małe dzieci? A Ukraińcy? Tym to nawet trudno się dziwić, podobnie jak Niemcom. Jak im nasz rząd tak długo dupę nadstawiał, to czemu mieli nie wyruchać? Oni tam u siebie banderowców na pomniki, a my o przyjaźni.

Wrzucił parówki do rondla, ukroił chleba i posmarował masłem. W radiu spiker akurat powtarzał wczorajsze informacje o braku incydentów związanych z meczem i o wyjątkowo spokojnym zachowaniu polskich kibiców.

– I może niedobrze – mruknął pod nosem Mariacki. – Może trzeba było jak na Marszu Niepodległości – kominiarki na ryj i pokazać siłę.

Według niego za rzadko się na to decydowali. Wierzył, że podziemie robi dobre rzeczy, w tym takie, których inni – jak chociażby on, ojciec rodziny – nie powinni ryzykować. Cieszył się z tego, że wciąż byli ludzie gotowi nadstawić karku, byleby ustawić wszystko na właściwym miejscu. Ale problemem była skrytość tych działań. Wykonywali je po cichu, a przecież powinni, jak przystało na dumny, odważny naród, zamanifestować swoją siłę. Pokazać arabusom, że tu nie będzie terroru. Tak jak to świetnie napisała jego Magda na fejsbuku pod jakimś lewackim pierdoleniem o byciu porządnym człowiekiem: „Ogień zwalczaj ogniem. Oni nam terroryzm i szariat, my im piece z Auschwitz. Niech zrobią wreszcie coś dobrego”. Zwyzywali ją potem strasznie, wielcy odważni w sieci, aż miał ochotę ich jednego po drugim znaleźć i wytłuc. Zamiast tego jednak wykazał się dojrzałością i wzniósł toast Dumnym Rodakiem. W końcu wyjdzie, kto ma rację. A gdy się zrobi naprawdę gorąco, lewackie kurwy zrozumieją, do kogo jak trwoga.

Zagapił się i jedna z parówek zdążyła pęknąć wzdłuż. Wyłowił wszystkie szybko, wrzucił na talerz i zalał keczupem. Przeżegnał się i już miał odkroić pierwszy kawałek, kiedy dotarło do niego, że jest przecież piątek.

– Kurwa – warknął.

Przez minutę albo dwie wpatrywał się w pachnące nęcąco parówki. W końcu odsunął je na bok i znowu podszedł do lodówki, skąd wyjął żółty ser, cebulę i pomidor. Parówki da dzieciom. One mogą. A najważniejsze są niezłomność i wierność własnym zasadom.

***

Maksa obudziły zapach kawy, gorąco i dziwna suchość w ustach. Poruszył się w śpiworze, obrócił na plecy i zaraz ktoś potknął się o jego nogi.

– O Boże, sorki – usłyszał głos Hanki albo Moniki.

– Spoko, nic się nie stało – odparł i podciągnął nogi.

Leżał tak chwilę w pozycji embriona. Zapach kawy się nasilał, temperatura powietrza wokół rosła. Kilka biurek od niego toczyła się na ten temat rozmowa. Najwyraźniej coś było nie w porządku z klimatyzacją, bo dmuchała ciepłem.

– Lepiej niech szybko to ogarną, bo przyjdzie południe i się tu roztopimy – zauważył, sądząc po niskim, melodyjnym basie, Krzysiek Smaczniak. Jego rozmówca zgodził się z nim, po czym zaklął.

Maks sprawdził godzinę, zastanawiając się, dlaczego jest tu tak tłoczno. Czyżby nie zadzwonił budzik? Zegarek na komórce wskazywał jednak szóstą trzydzieści dwie. Do sygnału pozostawały mu jeszcze trzy minuty. Skąd więc wzięli się tu ci wszyscy ludzie?

Westchnął, gdy dotarło do niego, że przecież był piątek. W piątki ludzie zawsze przychodzili szybciej powodowani nikłą i nieodmiennie złudną nadzieją, że uda się wszystkie zadania wykonać szybciej i może wyjść tego dnia, nawet jeśli nie wcześniej, to przynajmniej o czasie. Praktyka pokazywała, że system nie sprawdzał się nigdzie i w zasadzie dla nikogo, ale to nie miało chyba większego znaczenia. Przychodzenie wcześniej do biura stało się dla części korpoludków swego rodzaju tradycją.

Maks dał sobie czas na leżenie, aż zadzwoni budzik, a ledwie to postanowił, rozbrzmiał sygnał alarmu. Podniósł się więc, usiadł, potarł oczy i wciągnął do śpiwora zawieszone na krześle spodnie. Kilkakrotnie spróbował włożyć je bez wychodzenia ze śpiwora, ale w końcu skapitulował, rozpiął turystyczną mumię i szybko wsunął spodnie. Nie dość szybko, sądząc po oklaskach, jakimi go nagrodzono. Zaczerwienił się i zwinął śpiwór. Włożył świeże skarpetki i buty, wyjął z szuflady kosmetyczkę i ręcznik.

Gdy wstał, zobaczył, że do socjalnego ciągnie się już kolejka z kubkami na kawę. Stojący w niej ludzie sprawiali wrażenie jeszcze bardziej zaspanych niż Maks, choć przecież musieli tu jakoś dojechać. A mimo to kołysali się nieprzytomnie, ziewali i właściwie ze sobą nie rozmawiali. Jak żywe trupy. W tym momencie Maks poczuł dumę, że on zdołał jakoś przełamać ten nałóg.

I z tą dumą malującą się na twarzy ruszył dziarskim krokiem dokonać rytuału porannej biurowej ablucji.

***

Gośka ostatecznie zdecydowała się na jakiś lekki środek przeciwbólowy, bardziej ze zmęczenia i rozdrażnienia niż bólu, a potem zmusiła się, by się położyć. Tępe pulsowanie w łydce albo natłok myśli nie dawały jej naprawdę zasnąć, choć raz czy drugi zdrzemnęła się przez moment. Zapamiętała nawet strzępek snu o tym, jak ubrana w średniowieczną suknię śpiewała jakąś piosenkę. Coś o Warszawie. Niemena? A może to było T.Love? Pamiętała, że byli tam też Zawisza, Sawka i ludzie z bulwaru, którzy zapewne szykowali się na rewanż za wczoraj. No i kibice. Mnóstwo kibiców.

To był jednak tylko strzępek, urywek tej w gruncie rzeczy trudnej nocy, podczas której niezliczoną ilość razy sięgała do ładującego się pożyczonego telefonu i sprawdzała, czy nie dzwonił Mirek. Mogła przegapić, ten aparat miał inny sygnał niż jej. A gdyby coś się stało…

Ale wszystko było w porządku aż do szóstej czterdzieści pięć, która teraz migotała na wyświetlaczu jej telefonu. Przekonana, że więcej już i tak nie pośpi, najpierw usiadła, a potem spróbowała stanąć na rannej nodze. Kończyna zaprotestowała ostrym bólem, co oznaczało, że bez stojącego w kącie wózka jeszcze się nie obejdzie. Przyjęła to z pokorą, zacisnęła zęby i prześliznęła się z kanapy na wózkowe siedzisko. Popychając kółka, jak to widziała na filmach, wytoczyła się z pokoju, a stamtąd do multimedialnej siedziby Łokietków. Gdy wyjechała zza filarów, dostrzegła, że starszy z braci śpi oparty o biurko; młodszy, w wielkich słuchawkach na uszach, wciąż siedzi wpatrzony w monitory.

Podjechała do niego i ostrożnie, by go nie przestraszyć, dotknęła jego pleców. Nie udało się, bo podskoczył jak oparzony i zdarł z uszu słuchawki, uwalniając dźwięki najnowszego przeboju Eda Sheerana.

– Nie chciałam cię przestraszyć – zapewniła. – Zastanawiałam się, czy ty w ogóle kiedykolwiek sypiasz.

– Czasem tak – odparł, wzruszając ramionami. – Ale jak się coś dzieje i jest łobota, to nie.

Pokazał palcem na jeden z ekranów, gdzie komputer już bez jego udziału analizował i przerabiał zdjęcia od Zawiszy. Został jeszcze jeden procent do końca, ale Gośka nie wiedziała, czy tego pliku, czy wszystkich razem.

O wiele bardziej interesowały ją jednak inne ekrany, na których w szarościach kamer przemysłowych i w rozkołysanych ujęciach z telefonów zobaczyła fragmenty porannego życia Warszawy. Były tam więc pierwsze zalążki korków na wylotach z warszawskich sypialni i ludzie czekający w kolejkach po świeże bułki. Jakiś bezdomny budził się na ławce w parku pod Pałacem, podczas gdy jego kolega już srał w krzakach na narciarza z plastikowym kubkiem w jednej ręce i darmową gazetą w drugiej.

– Jak działa ta wasza sieć? – zapytała Gośka.

Witek poskubał się po nosie.

– Na kilku poziomach – odparł. – Piełwszy i najwyższy level to wszyscy przyjaciele Pająka i ich konkłetnie wybłani bliscy. Tacy ludzie jak doktołek, któłego poznałaś wczołaj. Pająk przyjaźni się z jego ojcem, a w pewnym momencie obaj wciągnęli też młodego. Na tej zasadzie mamy w sieci przedstawicieli właściwie wszystkich zawodów, jednocześnie w stolicy i w całym kłaju. Przydatne, jak potrzebujesz chociażby domku nad morzem na tydzień.

– Ja pytałam raczej o to. – Gośka pokazała na ekrany. – Jak działa ta sieć.

– Aha. No to jest level długi, trzeci i czwałty – wyjaśnił Witek i wskazał palcem ujęcia z kamer przemysłowych. – To, na przykład, jest level ostatni, czyli zupełnie bez zgody jesteśmy wpięci do monitołingów na mieście – tych miejskich, zakładowych i wielu innych. Właściwie to powpinaliśmy się do wszystkiego, co się da, stąd wczołajsze sztuczki ze światłami.

Uśmiechnął się na to wspomnienie, by zaraz potrząsnąć głową.

– No ale z tym trzeba uważać. Level długi to tak zwane Wacki, choć przekonujemy Pająka, by zmienił tę nazwę. To skłót od Wałszawskie Cwaniaki oznaczający dzieciaki z biedniejszych łodzin, albo w ogóle z domów dziecka, któłe nam pomagają. Latają z przesyłkami po mieście, noszą paczki, czasem idą gdzieś, gdzie nie mamy kameł. No i obsełwują. Wczołajsze nagłanie was pod mostem to był właśnie Wacek.

Gośka pokiwała głową, ale wtedy jej uwagę przykuła naga dziewczyna mizdrząca się przed lustrem do własnego odbicia. Jej usta układały się w dzióbek, ręka szła do góry, podnosząc włosy, albo na biodro, by przyjąć bardziej nonszalancką pozę.

– A to co? – zapytała. – Bo na pewno nie Wacek.

Witek wyraźnie się zaczerwienił. Z jednej strony, Gośkę to rozbawiło i ucieszyło – że tym razem to nie ona i że chłopak jednak się wstydzi postępku, z drugiej zaś strony, oburzyło ją to jak każde naruszenie prywatności.

– To jest level trzeci – wyjaśnił Witek. – I to też nie tak, że my bez zgody, ale mieliśmy z Władkiem taki pomysł, że stworzymy apkę przyozdabiającą ludzi w supełbohatełów. Mogłeś sobie opłacować kostium i inne takie, a konkluzja była taka, że napławdę stawałeś się lub stawałaś bohatełem. Napisaliśmy w łegulaminie, żadne tam małe litełki, na piełwszym ekłanie, że potrzebujemy oczu i uszu, więc użytkownicy aplikacji mogą, bo wcale nie muszą, nam w tym pomóc. Jak ktoś się zgadzał, to ilekłoć włącza apałat, żeby coś nagłać czy złobić zdjęcie, dostajemy dostęp. Więc to – pokazał na dziewczynę – jedna z naszych supełhełoin.

– A możesz ją przełączyć? Na kogoś innego?

– Jasne.

Zrobił to bez śladu żalu. Obrazkiem, który zastąpił dziewczynę, był chłopak usiłujący zrobić zdjęcie penisa, siedząc na toalecie. Gośka odwróciła wzrok.

– Ludzie są dziwni.

– Nawet sobie nie wyobłażasz – odparł Witek.

Chciał ewidentnie dodać coś jeszcze, ale cichy sygnał powiadomił go o zakończonym procesie obróbki zdjęć. Na ekranie obracały się teraz trójwymiarowe, lekko koślawe modele budynków i widoki z perspektywy ulic. „Dopasowanie 100%” – głosił dumny napis na ekranie. Pod spodem znajdowały się pobrane z sieci fotografie ulicy i biurowych budynków.

– Chyba trzeba obudzić łesztę – powiedział Witek i zanim Gośka zdążyła się obrócić na wózku, wcisnął przycisk.

– Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy! – zagrzmiało z głośników podwieszonych pod sufitem.

Dźwięk był tak głośny, że choć Gośka z całej siły docisnęła dłonie do uszu, nie robiło jej to żadnej różnicy. Pobudka okazała się jednak niezwykle

skuteczna, bo nie minęły trzy minuty, a przy monitorze stawili się wszyscy prócz Pająka.

– On śpi w domu na górze – wyjaśnił Władek, trąc oczy. – O płoszę, co my tu mamy. Czyżby mapkę samego Mołdołu?

Zdjął okulary, przetarł je i nałożywszy na nos, przyjrzał się uważnie modelom. Obracał je to myszką, to znów zmieniał ułożenie głowy, jakby przedrzeźniał widziane na ekranie obiekty.

– Mogę ci to wydłukować – zaoferował Witek, ale jego brat tylko pokręcił głową.

– Nie trzeba. Spławdzam tylko te specjalnie oznaczone miejsca i płóbuję się domyślić, co to właściwie… o kułwa mać! O ja piełdolę!

– Co, co takiego? – Zawisza zrobił krok do przodu, przechylił się nad wózkiem Gośki i próbował dopatrzyć się tego, co tak wystraszyło Władka. – Co ty tam takiego widzisz?

– Widzę, co sobie oznaczyli – odparł Władek. – Jeśli się dobrze domyślam, o co w tym chodzi, i łozumiem natułę wydarzeń spod mostu, to wygląda na to, że powinniście się z Sawką szybko zbiełać. Inaczej szykuje nam się powtółka, i to w zwielokłotnionej skali!

***

Przez chwilę nie pamiętał, jak się nazywał, a gdy to już do niego dotarło, stwierdził, że chyba wolałby się nazywać jakoś inaczej. W ogóle, gdyby miał tylko taką możliwość, chciałby się znaleźć w innym miejscu i innym ciele. W tym potwornie bolał go łeb, przede wszystkim szczęka, chciało mu się pić, a na dodatek śmierdziało i było mokro, a obnażone jajka przymarzały mu do zimnych kafli. Bardzo ostrożny ruch i spojrzenie przekrwionych oczu na jego własne nogi uzmysłowiły mu, że spodnie ma zawinięte wokół kostek.

Leżę w łazience, czyli upadłem, dedukował. Dobrze, że nie zrobiłem sobie nic poważniejszego.

Wtedy dopiero przez pomroki obolałych myśli dotarło do niego, gdzie i w czym leży. Zobaczył kawałki porcelanowego sedesu rozsypane wokół niego, poczuł na głowie strumyczek wody sączącej się z szumiącego cicho zbiornika.

Rozpieprzyłem sobie kibel podbródkiem, zrozumiał wreszcie. Mój łeb jest cały, a kibel poszedł w drzazgi! Wiedział, co to oznacza, nie był głupi

i śledził wiadomości. Najwyraźniej okazał się jednym z tych jakiś czas temu głośnych superbohaterów.

– Muszę mniej pić – skonstatował, by zaraz sentencjonalnie dodać: – Z wielką mocą idzie wszak wielka odpowiedzialność.

Spróbował się podnieść, ale po namyśle – i ostrym proteście w skroniach – uznał, że może jednak poleży jeszcze chwilkę.

ROZDZIAŁ 12
KREW PATRIOTÓW

Ordon zjawił się na Polu Mokotowskim chwilę przed ósmą. Ubrany był w prostą czerwoną koszulkę z wielkim godłem na piersi, na nogach miał swoje stare, ale lśniące od pasty opinacze do czarnych bojówek z wojskowym pasem. Na głowie zawiązał bandanę z kotwicą Polski Walczącej i hasłem „Warszawa 44 – Pamiętamy!”.

Na razie mocno się wyróżniał na tle krzątających się po trawie ludzi, pompujących dmuchane zamki i pałace, rozstawiających płotki, strzelnice, stoiska gastronomiczne i piwne ogródki, ale wiedział, że to tylko do czasu. Jeszcze godzina, może półtorej i ten plac wypełni się ludźmi, którzy wiedzą, co to znaczy patriotyzm; ludźmi, którzy przyjdą tu zobaczyć inscenizację, posłuchać patriotycznych pieśni i wojskowych przyśpiewek, usłyszeć o żołnierzach, których pamięć ruscy chcieli wymazać. Zjawią się całymi rodzinami, Ordon nie miał wątpliwości. Od miesięcy było o tym głośno na wszystkich patriotycznych forach i stronach, w mediach publicznych. To miał być pokaz polskiego patriotyzmu w praktyce, zacierający zły obraz, jaki z taką zaciekłością złodziejska opozycja kształtowała na Zachodzie, ale i w komercyjnych mediach. W ten sposób, tym festynem ku pamięci Żołnierzy Wyklętych, zamierzano udowodnić wszystkim, że można mówić o sprawach trudnych i jednocześnie dobrze się przy tym bawić.

Taki był oficjalnie głoszony plan, ale Ordon przecież wiedział, że będzie inaczej. W dowództwie głębokiego podziemia Polski Wciąż Walczącej podjęto decyzje dalece ważniejsze, choć także niewyobrażalnie trudniejsze zarówno logistycznie, jak i emocjonalnie. Niemniej jednego można było być pewnym – o tym festynie będzie mówił cały świat.

– Drzewo wolności trzeba podlewać krwią patriotów – mruknął Ordon, mijając dzieciaka w wieku Świtonia, taszczącego metalowy płotek.

Chłopak odwrócił się i spojrzał pytająco, ale Ordon odgonił go machnięciem ręki. Tamten wzruszył ramionami, ale nie zaryzykował żadnego obraźliwego gestu. Choć pewnie gdyby nawet taki wykonał, Ordon

nie zauważyłby tego, zbyt pogrążony w myślach ciężkich jak burzowe chmury.

Do wolności była jeszcze daleka droga. Co gorsza, dłuższa niż jeszcze ze dwie dekady temu, jako że przez te dwadzieścia lat szli w niewłaściwym kierunku. Odbierali sobie prawa i oddawali je innym – obcym, słabym i odmieńcom. Znosili nieustanne lamenty, że wszystko się wszystkim należy, a najbardziej szacunek i tolerancja. To nie była wolność, gdy we własnym domu nie mogłeś się odezwać, gdy nie mogłeś go strzec z bronią w ręku.

Gdy skończy się ten dzień, będzie dużo ofiar. Poleją się hektolitry krwi, a park, po którego trawie Ordon właśnie szedł, już na zawsze stanie się nekropolią. Kto wie, może faktycznie pochowają tu potem wszystkich, którzy dziś na tych polach zapłacą najwyższą z możliwych cenę za wolność? Matki, ojcowie, dzieci, babcie i dziadkowie. Ludzie młodzi, starsi, zdrowi i niedomagający. Każdy z nich będzie niepowetowaną stratą dla Państwa Polskiego, dla Narodu, ale będzie też przyczynkiem do zmian.

Ktoś mądry powie potem: „Gdyby tylko mieli broń, by się bronić”.

I zdobędzie dla Polaków broń.

Ktoś inny rzeknie: „Gdybyśmy tylko mieli szczelniejsze granice i ostrożniejszych, odpowiedzialniejszych obywateli, ta obca nam, przerażająca choroba z Afryki nigdy nie zebrałaby takiego żniwa. Sami ją do siebie wpuściliśmy, zresztą widać, kto się nią zaraził – tylko zwolennicy niekontrolowanej tolerancji i otwartości na multi-kulti”.

Tak rozwiążemy wreszcie problem uchodźców.

– Drzewo wolności trzeba podlewać krwią patriotów i tyranów – powtórzył Ordon, tym razem uzupełniając cytat. Bo oczywiście oni też zginą – tyrani poprawności i źle rozumianej tolerancji. Będą walczyć, będą krwawić i wielu z nich padnie u stóp prawdziwych Polaków. A ci, którzy się ostaną, pożałują, że nie padli. Zginą od własnej broni, niezdolni pojąć, że czasem wojna usprawiedliwia ofiary.

Ordon przystanął na środku trawnika, na tyle blisko rozłożonej sceny, na ile pozwalały mu już rozstawione barierki. Zaplótł ręce na piersi i obserwował uwijających się techników. Widział, jak rozkładają i mocują kable, ustawiają mikrofony, sprawdzają kolumny. Patrzył ze smutnym uśmiechem, żałując, że nie udało się na to wydarzenie zaprosić Sabatonu. Posłuchałby ich piosenek, zawsze go pozytywnie ładowały. A potem najchętniej walczyłby w takt tego kawałka o powstaniu warszawskim, do

którego rozbił już niejeden śniady łeb w swoim życiu. Polec do niego byłoby zaszczytem. Choć po prostu umrzeć dla Ojczyzny też będzie w porządku. Miał nadzieję, że ktoś mu w tym kluczowym momencie zrobi dobre zdjęcie.

Zerknął na zegarek; dochodziło wpół do dziewiątej. Zaraz się zacznie. A potem… się zacznie.

***

Choć Sawka się wzbraniała, Pająk uparł się, że mają wziąć syrenę.

– Jest szybsza, dojedziecie na miejsce w parę minut – powiedział. – A poza tym w razie potrzeby jest już… wyposażona.

– Co przez to rozumiesz? Nie masz chyba na myśli broni. Nie zamierzam nikogo zabijać…

– O ile nie okaże się to absolutnie koniecznie – dopowiedział za nią Zawisza, który wszedł właśnie do garażu – bo wtedy w pierwszej kolejności liczy się bezpieczeństwo ratownika.

– Chłopie, aleś się odstawił – zauważyła rozbawiona Gośka.

Zawisza uległ naciskom Łokietków i przebrał się w przygotowane przez nich ciuchy. Miał teraz na sobie skórzane spodnie i czarną motocyklową kurtkę z ochraniaczami na łokciach i barkach, ozdobionymi symbolami polskiego orła. Pod kurtką na mocno dopasowanej kamizelce srebrzystą bielą mieniła się litera Z wpisana w C. Na nos założył przyciemniane okulary, a do pasa przytroczył dwie policyjne tonfy. W ręku trzymał srebrny kij bejsbolowy z uchwytem owiniętym skórą.

– Twój znak to zwykła zapłasowanka, w dodatku w słabej łozdzielczości, bo wzięta z netu – powiedział Władek. – W okulałach jest opcja nokto- i tełmowizji, a także kameła i szełeg funkcji poszerzonej rzeczywistości. One i słuchawka w uchu pozwolą nam pozostać w kontakcie, więc pod żadnym pozołem ich nie zdejmuj. Kamizelka przyjmie kulę z małego kalibłu, ale przede wszystkim powstrzyma nóż czy zęby, kułtka tak samo. W pałkach masz taseły, a jeśli mocno przekłęcisz łączkę, to także linki alpinistyczne. Na pewno nie chcesz nindża gwiazdek?

– To się nazywa shuriken. Nie chcę. – Zawisza uniósł kij i zamachnął się nim. – A co robi to?

Bracia popatrzyli po sobie.

– Jak się umie nim posłużyć, to spuszcza wpiełdol – odparł Witek.

Zawisza wyszczerzył się i wycelował kijem w stronę Sawki ubranej jak przedwojenny warszawski taksówkarz – spodnie w kantkę, biała koszula, kraciasta kamizelka i kaszkiet.

– Zajebiste. A ty co masz?

– Dobry gust w kwestii ubioru – odparła – i wielką ochotę na papierosa. Jedziemy?

– Pamiętacie dokąd i po co? – upewnił się Pająk.

– Władek nam jeszcze raz wyjaśni, prawda, Władziu?

– Się wie – odparł starszy Łokietek. – W syłence to mogę nawet obłaz na szybę rzucać.

Zawisza podszedł do Gośki i wyciągnął do niej rękę. Chwyciła ją i pokręciła głową.

– Nie zachowuj się, jakbyś jechał umierać – powiedziała. – Będę cię mieć na oku, kolego.

Wyszczerzył się i zasalutował kijem.

– No chodź już, Czekoladko. To, że na Domaniewskiej zaraz rozpęta się armagedon, nie znaczy wcale, że będą tam teraz mniejsze korki.

***

– Czy ktoś mógłby coś zrobić z tym gorącem? Bo już nie można wytrzymać! – krzyknął ktoś spod okna.

Pewnie to Hubert, pomyślał Maks, ocierając pot z czoła. On zawsze lubił się wyręczać innymi, cholerny leniwy grubas. Inna sprawa, że nawet gdyby poszedł się drzeć do administracji, wskórałby niewiele i usłyszał to samo, co wszyscy przed nim. Chwilowo się nie da nic zrobić. Jest awaria w całym budynku, a podobno również w innych. Nie, wyłączyć też się chwilowo nie da. Pracują nad usunięciem usterki.

Przynajmniej faktycznie pracowali, a góra się przejęła i zaopatrzyła ich wszystkich w wodę. Obiecali też, że jak się temat nie zamknie do jedenastej, to wyślą wszystkich na home office.

– Do jedenastej to będziemy tu wszyscy zagotowani jak jaja maratończyka w za ciasnych spodenkach – zauważył Kuba Pawlikowski, który jak zawsze pojawił się znikąd. – Już mam wrażenie, że ścina mi się białko w oczach.

Maks sapnął głośno i – miał nadzieję – wymownie. Nie chciał się kłócić czy być wyraźnie opryskliwy wobec Kuby, bo nawet go lubił, a poza tym

atmosfera w biurze i tak była już napięta. Mateusz siedzący przy biurku pod oknem właśnie zbierał resztki monitora po tym, jak za mocno trzepnął siedzącą na nim muchę. W socjalnym poszło już chyba z dziesięć kubków, a Anka z Ewką mało się nie pobiły o jakąś błahostkę. Gdyby nie wszedł między nie Szewcu, pewnie skończyłoby się połamanymi paznokciami i wydartymi kłakami. Szewcu jednak, a właściwie Miron, bo tak miał na imię, nawet w mniej upalne dni roztaczał wokół siebie woń „proszę się rozejść”. Swojej ksywki dorobił się tym, że od ponad roku pracował nad kampanią linii kosmetyków męskich.

Kap. Kropla potu, która wylądowała na klawiaturze Maksa, była tak ciężka, że udało jej się napisać własną literę. A.

Jak wstęp do AAAAAAAAAA, pomyślał Maks. Do cholernego szaleństwa. Nie umiał się na niczym skupić; czuł, że wszystko się do niego lepi, za to wnętrze ust w jakiś sposób pozostaje nieprzyjemnie suche. Nie da rady tak pracować. Telefon wyślizgiwał mu się z rąk. Ekran nie reagował na dotyk spoconych palców.

– Patrzę właśnie na to, co mi wysłałeś – odezwał się głos, który mógł dochodzić skądkolwiek; obrastający agresją i przybierający na głośności niczym śnieżka, która puszczona białym zboczem zmienia się w wielką śnieżną kulę. – Przeglądam wszystkie załączniki, opisy, dołączoną prezentację i powiem ci, że mam właściwie tylko jedno, za to dość zasadnicze pytanie: CZY TO JEST, KURWA, JAKIŚ ŻART?!

– Ej, nie drzyj się, sam tu nie jesteś!

– Ty też się nie drzyj, słuchawek nie masz?!

Seria okrzyków pomknęła przez biurka niczym zaklęcie Łańcuch piorunów w nieśmiertelnej grze *Heroes of Might and Magic III*. Maks zawsze grał lodową twierdzą, bo lubił magów. Teraz zagrałby nią po prostu, by pogapić się na digitalizowany śnieg.

Uznał, że musi wyjść chociaż na chwilę, i wstał od biurka. Pójdzie, przewietrzy się trochę, może weźmie sobie mrożoną kawę w kawiarni na dole. Choć na to się akurat nie nastawiał, bo jeśli faktycznie to, co się działo u nich, mieli też ci z innych biurowców, to pewnie kolejka była tam kilometrowa.

– Teraz to jest prawdziwy Mordor – powiedział na głos do mijającego go właśnie Adama z IT. Ten spojrzał na niego z ukosa i dmuchnął w kroplę wiszącą mu na czubku nosa.

– O chuj ci chodzi, koleś? – warknął.

Maks nie zdążył odpowiedzieć, bo w tym samym momencie dobiegł ich głośny huk, potem drugi i trzeci. Maks miał wrażenie, że to wybuchy i że zatrzęsła się też podłoga, ale to tylko wszyscy rzucili się do okien, by sprawdzić, co się stało.

– Ja nie wiem, to miejsce przestaje się już do czegokolwiek nadawać – zauważył Szewcu. – Co tu się odpierdala, to ja nawet nie…

– Ej, chyba padł mi internet! – krzyknął Hubert. – Kurwa, muszę wysłać ważnego maila!

Wszyscy stojący teraz pod oknami rzucili się do swoich biurek, by zaraz lawinowo zacząć kląć na potęgę. A z każdym kolejnym bluzgiem ich głosy stawały się coraz wyższe, coraz mniej artykułowane, aż w pewnym momencie zlały się w jedno głośne, wysokodźwięczne brzęczenie. Z biurka poleciał pierwszy komputer, a potem kolejne. Zgrzytnęło odsuwane biurko, rozległo się nieludzkie wycie i zaraz podjęło je pięć kolejnych głosów.

Ludzie rzucili się na siebie, zaczęli szarpać się za koszule, spodnie i włosy, gryźć, bić i kopać. Ich źrenice powiększały się z każdym przyspieszonym uderzeniem serca, aż ich oczy stały się całkowicie czarne. W górę poszła gilotyna do papieru i prawie natychmiast do wtóru wrzasków trysnął pierwszy strumień krwi.

To wszystko było kwestią sekund, które Maks spędził, wciąż stojąc w tym samym miejscu przy swoim biurku, ze zdumienia niezdolny do ruchu. W końcu zmotywował go ból. Kuba Pawlicki, który swoim zwyczajem zjawił się nagle obok zupełnie znikąd, położył głowę na jego ramieniu i z całej siły wgryzł mu się w bark. Maks wrzasnął, szarpnął się i uderzył na oślep z całej siły. Co prawda, pozbył się Kuby, ale jednocześnie zwrócił na siebie uwagę wszystkich pozostałych. Przez trzy mgnienia oka wpatrywali się w siebie – on z krwawiącym barkiem; oni przemienieni w szalone zombie na speedzie.

Biegnij, odezwał się w jego głowie obcy, ale wyjątkowo rozsądny głos.

Maks posłuchał. Rzucił się w stronę holu z windami i usłyszał, jak ruszają za nim. Doskoczył do drzwi windy, wcisnął przycisk. W tym momencie rozległ się kolejny huk i w budynku zgasło światło. Wiedział już, że nie dobiegnie do schodów. Musiałby się przez nich wszystkich przedrzeć.

Dlaczego nie zostałem w pierdolonym start-upie? – pomyślał i była to ostatnia w miarę składna myśl w jego życiu.

***

– Skłęć w lewo – polecił Władek – a potem na następnym zakłęcie…
– Nie ucz mnie, jak mam jeździć po Warszawie – warknęła Sawka. – Pilnuj mi tylko świateł i mów, ile mamy jeszcze czasu, zanim tam się zacznie.

– Już się zaczęło – odparł Władek. – Właśnie przed chwilą padły im sełwały, a tełaz płąd. Właściwie stłaciliśmy widoczność z przemysłowych, a Wacków boję się tam posłać, bo…

– Słusznie – wtrącił się Zawisza. – Ważne, że wiemy, że już się zaczęło. Jakiś konkretny plan, co teraz?

– Na ile pokazują te odszyfłowane mapy, będą się kiełować w stłonę centłum, Wołoską i tędy płosto aż do Pól Mokotowskich, gdzie odbywa się festyn pełen dzieciaków. Jak tam dojdą, to będzie stłaszna masakła.

– Nie można ich jakoś ewakuować? – zapytała Sawka.

– Pająk właśnie płóbuje, ale nie ma tam nikogo z sieci, więc jest tłudniej.

– Niech powie, że bomba.

– No właśnie tego płóbujemy. Ale musicie ich wstrzymać, bo bez was w tym tempie będą tam w kwadłans. To jakieś trzy kilometły w linii płostej.

– A skąd pewność, że będą szli prosto i się nie…

Nagły skręt szarpnął Czarnym najpierw w lewo, a potem w prawo, sprawiając, że walnął boleśnie o szybę. Syrenka podskoczyła na krawężniku, zaboksowała na miękkiej trawie, ale na szczęście ruszyła dalej.

– No i masz swoją odpowiedź – mruknęła Sawka. – Skurwysyny blokują boczne drogi.

– Pewnie tymi wszystkimi składzionymi wozami – zasugerował w słuchawce Władek. – Wczołaj padł łekołd…

– To teraz nieważne – wszedł mu w zdanie Zawisza. – Jaki mamy plan?!

– Spłeje.

– Co takiego?

– Spłeje macie w bagażnikach. Puszki.

– Aaa, spreje – dotarło do Zawiszy. – Jakie znowu spreje?!

– Zawiełają ekstłakt tego, co dodawali do Dumnych Łodaków. Zamówiliśmy to u jednego chemika z sieci, gdy tylko odkłyliśmy, że coś takiego jest. Chcieliśmy mieć gaz pacyfikujący i…

Sawka zakręciła kierownicą, szarpnęła za ręczny i bokiem pokonała ostatni zakręt. Byli już na Domaniewskiej i z daleka widzieli wychodzących na drogę korpoludków. Niektórzy poruszali się jak małpy na czterech

kończynach, inni biegali tam i z powrotem lub parli do przodu, tłukąc wszystkich na prawo i lewo. Część zamiast skręcić w lewo ruszyła w stronę, z której nadjeżdżali, ale wtedy zza budynków wyłoniły się cztery furgonetki i sprawnie zablokowały drogę.

– Kierowcy uciekają – zauważyła Sawka.

– A ty byś wolała zostać? Dawaj, wyrzuć mnie przy samych ciężarówkach i jedź naokoło…

– Kto ciebie nagle zrobił szefem, Czekoladko?

– Nikt – odparł. – Ale jeśli ty wysiądziesz, to ja będę tym wozem jechał naokoło. Tak wolisz?

– Nie będziesz prowadził tego samochodu! W ogóle nie mam pojęcia, czy umiesz prowadzić!

– No to mnie tu wysadź.

– Dobra.

Zawinęła przy furgonetkach i poczekała, aż Zawisza wyskoczy ze swoim nowym kijem i wyjmie z bagażnika pas z puszkami wyglądającymi jak granaty dymne. Zastukał w maskę, by ruszała.

– W głowę się postukaj! – krzyknęła, zanim wyrwała do przodu, zostawiając Zawiszę w chmurze spalin.

***

Byli w powietrzu już od dwudziestu minut, podczas których Kacper Dudek robił nic, a jego kamera filmowała Warszawę z lotu ptaka. Nic ciekawego, ale przecież nikt nie oczekiwał od nich pasjonującego materiału. Mieli skręcić widokówkę do prezentacji, podłożyć pod to muzykę i napisy, a potem pewnie wysłać na jakieś Expo na drugi koniec świata. Nikt się specjalnie nie przejmował pomysłem, bo te ciekawe zawsze wzbudzały kontrowersje i prowokowały pytania, kto za to wszystko zapłacił i dlaczego z podatków. Zresztą, jak się chciało widowiska, to się za dużo większe pieniądze zatrudniało kogoś od animacji, jak choćby chłopaków od filmików z *Wiedźmina*, i robiło się show. Tu natomiast liczył się prosty obrazek. Aktywna patriotycznie Warszawa, ale daleka od apokaliptycznych obrazków z jedenastego września. Ot, tu festyn w parku, tu zupełnie pokojowy przemarsz kibiców na stadion.

„Chcę nudy” – powiedział ten goguś w garniaku. Jak on się nazywał? Czarniski? Nie, Czarnecki. Podkreślał tę nudę wielokrotnie, zarówno na

spotkaniu, jak i przez telefon – a potem klepnął w scenopisie. Dawali mu więc nudę z lotu ptaka. Samochody jak resoraki, ściśniętych na ulicach ludzi jak kolorowe paprochy z koszulki gromadzące się w pępku, szarość i szkło budynków, wiatraki klimatyzacji, placki jasnej zieleni trawników, ciemnej parków i skwerów.

Zgoda na przelot nad miastem obejmowała ściśle określoną trasę, wiedzieli więc, że teraz przelecą nad ulicą Wołoską, a potem nad Polem Mokotowskim, by dalej…

– Coś się dzieje na dole – rozległ się nagle w słuchawkach głos wynajętego pilota. Facet miał na imię Wawrzyniec, czy jakoś tak. Miał warkocz na brodzie, magistra prawa, którego zrobił późno, bo po turze w Jugosławii albo innym Iraku, a teraz latał helikopterem. O nim można by film nakręcić, myślał sobie wcześniej Kacper. Poszłoby na festiwale.

– Co znaczy: coś się dzieje? – zapytał zaniepokojony. Nie miał pojęcia, co w slangu pilotów znaczyło „na dole”. Na ziemi, na płozach, pod podłogą?

– Właściwie to trudno powiedzieć – stwierdził Wawrzyniec. – Ale popatrz sam. Całą ulicą idzie jakiś dziwny tłum i wygląda na to, że napierdala się z nimi cholerny motocyklista! Czekaj, obniżam trochę lot.

Helikopter zapikował, a Kacper, lekceważąc żołądek, który dla odmiany postanowił wspiąć się w górę, pod samo gardło, przykleił nos do okna. I wtedy zobaczył najdziwniejszą, najbardziej fascynującą rzecz, jaką kiedykolwiek przyszło mu oglądać na żywo. Ludzie w garniturach i garsonkach, w większości młodzi, parli przed siebie, wymachując rękami, skacząc jak małpy, rozbijając śmietniki i samochody. Wpadali na siebie bądź rzucali się celowo i wtedy przetaczali się po ziemi, szarpiąc się i tłukąc bez opamiętania. Między nimi zaś faktycznie biegał jakiś facet, wywijając na prawo i lewo kijem bejsbolowym.

Weźmie to każda pierdolona stacja świata, pomyślał podekscytowany Kacper. To jak *The Walking Dead* w realu.

– Możesz zejść niżej?! – krzyknął, zmieniając ustawienia kamery. – Najniżej, jak się, kurwa, da!

***

Zawisza wspiął się na opuszczoną, stojącą w poprzek drogi furgonetkę. Ważąc w ręce kij, patrzył na przewalający się przez ulicę tłum. Większość

niknęła już za zakrętem, wchodząc – jak Zawisza pamiętał z mapy – na ulicę Wołoską, stanowiącą długą i szeroką prostą wiodącą aż do parku.

Trzy kilometry, tyle powiedział Władek. Po drodze masa domów mieszkalnych, potencjalnych gapiów wierzących, że to tylko happening, i Bóg jeden wiedział, czego jeszcze. A na końcu drogi festyn pełen rodzin z dziećmi. Zawisza nadal czuł na sobie razy poprzedniej konfrontacji z tymi dzikusami. Wtedy jednak nie był przygotowany tak jak teraz. Zakręcił kijem młynka, szykując się do skoku i biegu, gdy nagle uzmysłowił sobie, że czegoś mu brakuje. Czegoś, do czego przywykł, walcząc w Katowicach z na wskroś rockowym Dreszczem.

– Władek, dasz mi tu w ucho jakąś muzykę? – poprosił.

– Coś konkłetnego? – zapytał starszy z Łokietków.

– Nie wiem, może jakiś Kazik, na przykład? Wszystko, byle nie Pidżama Porno.

– Sie łobi.

Zawisza wziął ostatni głęboki wdech, po czym zeskoczył z furgonu i rzucił się biegiem. Nim grzmotnął przez plecy pierwszego rozbrykanego yuppie, w uszach zabrzmiały mu trąby Kultowego *Prosto*.

– Może być? – zapytał Władek.

Ale Zawisza nie odpowiedział. Już tańczył, wywijając kijem, trafiał w głowy i w korpusy, prąc do przodu po padających na ziemię wrogach.

– Hej, wy tam! – krzyknął do tych z przodu z wysokości powalonego grubasa, którego nigdy nie poznał jako Huberta. – Tu jestem, cholerne korpoludki!

Pierwsze rzędy nie zareagowały, ale zwrócił jeszcze większą uwagę tych wokół siebie. Troje zdmuchnął jednym mocnym machnięciem przypominającym uderzenie golfisty. Gdy składał się do kolejnego ciosu, wysokiej blondynce z rozmazanym makijażem udało się złapać za kij, a chudemu gostkowi z zaczesem – Zawiszę za nogę. Gdyby postarał się bardziej i chwycił za obie, pewnie by Czarnego przewrócił, a tak zarobił tylko w głowę piętą drugiej nogi, a gdy puścił, dostał na dokładkę kopniaka.

Zawisza puścił kij. Grzmotnął dziewczynę pięścią w twarz, rozkwaszając jej nos, i walnął łokciem chłopaka próbującego go ugryźć. A potem na przemian parł i rozdawał a to kopniaki tym, którzy pędzili niczym małpy na czterech kończynach, a to ciosy pięścią bądź łokciem wszystkim, którzy próbowali go złapać.

Gdzieś nad jego głową od jakiegoś czasu terkotał helikopter. Kazik w jego uszach darł się już chyba w zapętleniu, albo to kolejne uderzenia głową, rozkwaszające nosy i z miejsca pozbawiające przytomności, zapętliły Zawiszy niektóre piosenkowe frazy.

Ale choć walczył jak chyba jeszcze nigdy – unik, piruet, cios z doskoku, przechwyt, złamanie, kolejny unik, półobrót w przykucnięciu, cios – choć powalił ich już z dwudziestu, miał świadomość, że tak naprawdę nie zrobił nic. Nie spowolnił pochodu, a ci, którzy zostali, spokojnie wystarczą, by narobić potwornych szkód w parku.

Wtedy przypomniał sobie o spreju. Wyszarpnął z pasa pierwszą puszkę. Złapał za kark wymuskanego osiłka szczerzącego dziko równiutkie białe zęby, wycelował mu w twarz, nacisnął.

Strumień strzelił Zawiszy prosto w twarz, zalewając okulary, dostając się do nosa i ust. Substancja miała słodko-kwaśny, nieco metaliczny posmak.

– Ups – mruknął w słuchawce Władek.

ROZDZIAŁ 13
GODZINA SZCZYTU

W pierwszej chwili próbowała wbić się na Wołoską już od Woronicza, ale ta okazała się kompletnie nieprzejezdna za sprawą roztrąbionego, wściekłego korka – o dziwo w obie strony. Kilku kierowców zachowywało się nawet jak tłum prący w stronę parku, ale Sawka znała warszawiaków w korkach i nie była wcale pewna, czy to musiało koniecznie znaczyć, że tym tutaj coś zaaplikowano. Klnąc pod nosem, zawróciła i pojechała szerszym objazdem.

– Jak tam, Zawisza, dajesz radę? – zapytała.

– Nie słyszy cię teraz, rozdzieliliśmy kanały, bo trzeszczało – odpowiedziała jej w słuchawce Gośka. – Ale walczy, daje radę. Krąży nad nim jakiś helikopter, chyba z kamerą.

– No to świetnie, będzie sławny. – Sawka weszła w ostry zakręt, cudem unikając czołówki, przeszorowała tylnymi kołami po chodniku. Dodała gazu i popędziła wzdłuż budynku telewizji.

– A jak u ciebie? – zapytała Gośka.

– Do dupy, dzięki, że pytasz. Robię już takie koło, że… zjeżdżaj z drogi, debilu!… że zaraz pewnie o Lublin zahaczę. Jak ewakuacja?

Gośka się zawahała.

– Coś tam się dzieje – odparła. – Ale nie sądzę, by zdążyli. Sawka, to będzie masakra.

– Spróbujemy coś zaradzić, ale… O szlag, a od kiedy tu niby jest brama?!

– Problem?!

– Nie, szczęśliwie otwarta, ale… czekaj!

Wypadła na drogę tuż przed starym volvo kombi, dała syrence moment na złapanie przyczepności, docisnęła gaz i pognała prosto, przez skrzyżowanie, parking i ostro na ręcznym w lewo. Przez moment wydawało jej się, że cały ten wysiłek na nic, bo widoczna w oddali, przecinająca jej drogę Woronicza i tu była zakorkowana, ale wtedy dostrzegła coś, co w zupełnie innym wymiarze niż do tej pory pozwoliło jej uwierzyć w to miasto. Przy samym skrzyżowaniu, na niedozwolonym do parkowania

miejscu stała i blokowała pasy laweta. Kilka miejsc parkingowych przed nią było pustych, a sama przyczepa stała nachylona tak, że…

– To może się udać – powiedziała do siebie Sawka.

– Co, co takiego?

– Nie chcesz wiedzieć.

Zredukowała bieg i wcisnęła gaz do dechy, modląc się, żeby żaden dzieciak czy wycofujący kierowca nie wyskoczyli jej teraz na drogę. Zacisnęła ręce na kierownicy, w myślach odliczając od dziesięciu i jednocześnie myśląc, co zrobi jej Pająk, gdy rozbije syrenkę. Co ona sama sobie zrobi.

– Cztery, trzy…

Skręciła lekko, kołami z prawej przywarła do krawężnika. Felgi zgrzytnęły, samochód podskoczył na studzience kanalizacyjnej.

– Dwa, jeden…

Przednie koła wjechały na prowizoryczną rampę, a zaraz potem cały samochód wystrzelił w powietrze.

Za nisko, zorientowała się natychmiast Sawka. Zdecydowanie za nisko. Jak na stop-klatce widziała zwróconą ku niej przerażoną twarz kierowcy passata, w którego kierunku leciała. Zaraz się zderzą, zaraz grzmotnie mu w bok i… Passat wyrwał do przodu, wjeżdżając w bagażnik pojazdu stojącego przed nim. Za nim powstała luka, w którą wpadła akurat lądująca syrenka. Sawka zapanowała nad wozem i pognała do przodu, szczęśliwa, że kierowcy z przeciwnego kierunku byli na tyle przyzwoici, by zostawić pustą przestrzeń skrzyżowania.

– O szlag! Zawisza chyba właśnie psiknął sobie w oczy! – powiedziała nagle Gośka.

– Jak to, tym uspokajaczem?

– Tak, o cholera, leją go po łbie i… A nie, chyba się podnosi, wziął pałki… Dobra, walczy.

– Czekaj, jakie dobra?! – zaniepokoiła się Sawka. – To znaczy, że sprej nie działa?!

– Działa. – Na linię wpiął się Władek. – Po płostu Zawisza napiełdala ich nieagłesywnie.

Sawka przyhamowała gwałtownie przed dzieckiem na rowerze, przepuściła je i znowu wyrwała do przodu wąskimi uliczkami. Jeszcze chwila dzieliła ją od wyjechania z powrotem na główną. Jeszcze tylko kawałek.

– Co ty mi, Władek, pieprzysz. Jak to: walczy nieagresywnie?!

– No, nie kiełuje się gniewem, tylko… no, łozumem.

– Świetnie, po prostu świetnie. Szlag, tu też zastawili?!

Zatrzymała się gwałtownie i wyskoczyła z samochodu tuż przed dwoma blokującymi drogę SUV-ami. Zaraz doskoczył do niej ubrany na czarno dryblas, ale zrobiła unik przed jego ciosem, kucnęła i wyrżnęła go z całej siły w krocze, a następnie poprawiła łokciem w twarz. Gdy upadł, wyjęła z jego kieszeni dwa komplety kluczyków i szybko zrobiła sobie przejazd.

Wróciła do syreny, wyminęła leżącego na drodze gościa – naprawdę nie chciała, czasem trudno jest być tym dobrym – i wpadła na opustoszałą Wołoską. Zastanawiała się, czy pojechać w lewo, czy w prawo, ale uznała, że skieruje się jednak w stronę parku. Stanie w poprzek drogi, wyciągnie z bagażnika to, co jej przygotowali, i stanie się ostatnią redutą.

Gdy rozstawiała to samo co ostatnio ciężkie działko na gumowe kulki – tym razem ze statywem, pas pocisków na moment zawinął jej się wokół nóg. W blasku słońca wyglądał jak rybi ogon.

***

Zaczęło się od dzieci z pobliskiego domu kultury, które przebrane w mundury z papieru i bibuły siedziały nad tekturowym ogniskiem i przeplatały recytowane jednym tchem wierszyki leśnymi piosenkami. Gdy któreś się zacięło, skryta za kolumną nauczycielka podpowiadała do skutku, a wtedy ktoś z widzów zawsze bił brawo i wołał, że świetne. Publiczność stanowili oczywiście wyłącznie rodzice i dziadkowie artystów, ale ponieważ w kluczowym momencie na scenie znajdowała się przeszło dwudziestka maluchów, pod sceną zgromadził się spory tłumek, zwłaszcza mamuś z wzniesionymi aparatami i telefonami.

Więcej ludzi było w strefie gastronomicznej, gdzie zaraz po rozpoczęciu imprezy wszystkie krzesła i leżaki błyskawicznie obsadzono, a na tych, które chwilowo stały puste, wisiały bluzy, reklamówki lub torebki dające do zrozumienia, że ich dostępność jest tylko pozorna. Lało się piwo, zwykłe i z sokiem, skwierczały grillowane kiełbaski i karkówki, a lodówka chłodząca Dumnego Rodaka otwierana była tak często, że mogłaby w ogóle nie mieć drzwiczek.

Równie dobrze miała się przestrzeń zabaw. Do wszystkich dmuchanych atrakcji zrobiły się długie kolejki złożone z dzieci i z towarzyszących im

ojców wpatrzonych w komórki. Sunęli tak jeden po drugim aż pod samą zjeżdżalnię czy zamek, potem wpuszczali dziecko na górę, a gdy zjechało lub wyskakało ściśle limitowany czas, wracali na koniec kolejki bądź szli do innej.

Przy namiotach mediów narodowych ustawiono boisko do siatkówki, ale na razie nikt w nią nie grał, mimo iż spiker z mikrofonem zachęcał nagrodami i mało wybrednymi żartami o tym, że kobiety mają siatki z Biedronki, więc mężczyźni też powinni mieć swoją. Słuchali tego ludzie przy stoiskach z koszulkami, słuchali czekający na swoją kolejkę do strzelnicy. Ktoś nawet się roześmiał.

Ordon po raz nie wiadomo który zerknął na zegarek, a potem w stronę ulic Wołoskiej i Boboli. Mogli nadejść w każdej chwili. Godzina W minęła, odpaliło się wszystko, co miało się odpalić, reakcja łańcuchowa ruszyła. Lada chwila zacznie się tutaj najprawdziwsza rzeź, tym większa, że z niemal każdej strony na Pole napływali ludzie. Mieli kosze piknikowe, koce, dzieci prowadziły rowerki, wokół nich biegały rozochocone festynową atmosferą psy.

– Drzewo wolności… – zaczął cicho Ordon, ale przerwał, gdy dostrzegł znajomą postać.

Mariacki stał do niego bokiem, patrząc, jak jego bliźniaki bawią się ze średniowiecznymi, a to kosztując warzonej przez nich zupy, a to próbując trafić z łuku słomianego chochoła. Chłopczyk właśnie walnął się cięciwą w przedramię, ale zniósł to mężnie i tylko wygiął buzię w podkówkę. Dostał za to właśnie małą podkowę na rzemyku.

– …trzeba podlewać krwią patriotów i… – dopowiedział Ordon, ale w ostatniej chwili zmienił w myślach słowo „tyranów” na „ich dzieci”. Wiadomo było, że to one stanowiły siłę napędową ludzkości. Potomstwo napędzało nasze myśli i motywowało do działania. A skoro lewaków mogło tak bardzo zmotywować ciało czarnego szczyla na brzegu morza, to ile są w stanie zdziałać pełnowartościowe, polskie dzieci, które dziś, właściwie zaraz, umrą za ojczyznę? To był dar nie do przecenienia.

No właśnie, pomyślał Ordon i znowu zerknął na zegarek, to powinno nastąpić już w tej chwili. Nawet gdyby się wlekli normalnym tempem, gdyby pokonywali tę drogę spacerem, już powinni tu być. Coś musiało być nie tak. Należało to sprawdzić.

***

Uderzenie chmurą słodko-kwaśnej substancji prosto w twarz trochę go zdezorientowało, a nawet odrobinę przestraszyło, zaraz jednak jak za dotknięciem magicznej różdżki emocja ta i właściwie wszystkie inne rozmyły się, zostawiając u steru wyłącznie chłodny, nastawiony na działanie umysł.

Zawisza odepchnął barkiem wielkiego, śmierdzącego typa, obrócił puszkę prawidłowo i psiknął mu w oczy. Nie czekał na jego reakcję, ale zawinął się i przywarł do jego pleców jak do filaru. Potraktował sprejem cztery napierające na niego osoby, w piątą cisnął puszką i dobył pałek. Uchylił się przed ciosem, a ten spadł prosto na plecy grubasa.

– Auu, kurwa – zupełnie po ludzku jęknął tamten, co najwyraźniej znaczyło, że chemia działa. Dowodziły tego też przytomniejsze spojrzenia prychającej czwórki.

– Co się właściwie…aaauuu, kurwa!

Zawisza doskoczył do przytomniejącego chłopaka i oderwał od jego ręki filigranową dziewczynę w modnych, ale stłuczonych okularach. Odepchnął ją na bok. Chłopakowi podał kolejną wyjętą z pasa puszkę.

– Masz, psikaj im prosto w twarze – polecił, a po krótkim namyśle zdjął i podał chłopakowi cały pas. – Przytomnym rozdaj po puszce, niech robią to samo.

Nie czekając na odpowiedź, rzucił się w stronę czoła pochodu. Zdążył jeszcze usłyszeć fragment ożywionej dyskusji tych, którzy zostali z tyłu.

– No chyba cię pojebało, jeśli myślisz, że pójdę z gazem pieprzowym na zombie – zaoponowała jakaś dziewczyna, by zaraz dodać. – Chuj mnie obchodzi, że tak powiedział. Widzisz, żeby on kogoś sprejem pryskał? Widzisz?!

Zawisza po drodze wywijał tonfami, przeskakiwał nad tymi, którzy upadli i dawali się tratować, wbijał się w szczeliny między ludźmi lub sam je tworzył uderzeniami barkiem bądź pałką. W uchu znów darł się Kazik. Tłum parł naprzód, mijając kolejne ruchliwe skrzyżowanie, gdzie zza równych rzędów stojących w poprzek samochodów wystawali zniecierpliwieni kierowcy. Część z nich krzyczała do tłumu i zwróciła tym uwagę niektórych spośród zdziczałych korpoludzi. Ktoś wrzasnął bardzo głośno, że tak się kończy, jak się pozwala na jakieś lewackie Halloweeny.

Nie przystawaj, nie zwalniaj, napominał się w myślach Zawisza, prąc do przodu. W słuchawce do Kazika dołączył ekscytujący się Władek porównujący widok z jego kamer do oglądania gry komputerowej.

Gdzieś w oddali Czarny słyszał już wozy policyjne i miał nadzieję, że tym razem były prawdziwe. Przecież parada zdziczałych zombie nie mogła przejść niezauważona przez stolicę europejskiego państwa. Może przecznicę, nawet dwie, ale taki kawał? Ktoś musiał to zauważyć i zawiadomić służby czy media. Na litość, latał nad nim w kółko pieprzony helikopter! Na razie radiowozów jednak nie było, a tłum, po którym Zawisza miotał się to w jedną, to w drugą stronę, próbując zwrócić na siebie uwagę, nie zwalniał ani specjalnie nie rzedł, nawet mimo pomocy obudzonych, którzy w końcu jednak wzięli się do pracy.

Dostrzegł ją przy którymś kolejnym półobrocie i zamachu. Stała przed swoją syreną, wsparta na umieszczonym na trójnogu wielolufowym działku, i machała do niego czapką. Coś krzyczała – pewnie „padnij!” – ale była jeszcze za daleko, a wokół niego jazgot i harmider stały się zbyt głośne, by mogli się nawzajem usłyszeć. Zawisza zrozumiał to ułamek sekundy po tym, jak odkrzyknął Sawce w odpowiedzi:

– Uważaj!!

***

– Zupełnie jakbym grał w *Dooma*! – ekscytował się Władek wpatrzony w monitor.

Faktycznie, jak w grze FPS kamera pokazywała obraz z oczu Zawiszy, a raz po raz w obszar widoczności wchodziły jego uzbrojone w tonfy ręce. Czasem jedną z rozwścieczonych mord udawało się zdzielić na odlew, przez skroń, czasem trzeba było rękojeścią. Tryskała wtedy krew, wypadały zęby, rozlegały się jęki bólu. Gośka nie mogła już na to patrzeć, więc tylko zerkała co trochę, uważniej jednak przyglądając się wszystkiemu, co robił Witek. A ten miał pełne ręce roboty – zasuwał na trzy klawiatury i jedną skomplikowaną myszkę.

– Mam cztełdziestu pięciu Wacków na Polu, gotowych pomóc w ewakuacji – mówił, właściwie nie wiadomo do kogo. – Jeden z nich ma dłona, więc widzę, że policja już działa, ale nie ma jej za dużo, a ludzie stawiają opół.

– Jak wozy strażackie? – zapytał Pająk, który skończył właśnie rozmawiać przez telefon. – Jeden powinien jechać do Sawki, na Boboli. Właśnie dostałem telefon od komendanta z jednostki na Polnej, że wlali do zbiornika równowartość pięciuset zgrzewek Rodaka.

– Pięćset łazy osiem łazy zeło przecinek pięć daje dwa tysiące litłów – szybko przeliczył Witek. – Nie wiem, czy to wystałczy, zwłaszcza że Łodak to łoztwół.

– Zapewniają, że jak ktoś dostanie powyżej pasa, to nie ma szans, żeby się choć trochę nie napił. Musi wystarczyć, na razie nie mamy nic innego. Władek, jak Zawisza?

Starszy Łokietek uniósł kciuk, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Ma pomagiełów. Idzie jak przecinak.

– Chociaż tyle. A sytuacja w innych częściach miasta? O ile rozumiem, wciąż nie wiemy, co wyzwala tę agresję, prawda?

– Chyba… wiemy – powiedziała ostrożnie Gośka. – Znaczy mam taki pomysł, ale nie wiem, czy dobry.

– Dawaj, teraz jestem w stanie uwierzyć nawet w Krzyżaków, jeśli to pomoże.

Władek prychnął, ale wciąż patrzył w ekran.

– Chyba jednostłonnie siadła nam łączność – powiedział, wyjmując z ucha słuchawkę bluetooth. – Słyszę tylko jakieś chałczenie. Ale obłaz mam nadal. Walczy.

– Jaki masz pomysł? – powtórzył pytanie Pająk.

Gośka wskazała na jeden z monitorów podwieszonych pod sufitem. Przedstawiał plac Zamkowy i gromadzących się na nim rowerzystów, pomiędzy którymi krążyły hostessy z kawą Usawa (fair trade).

– Ludzie z tego Mordoru, ludzie z bulwaru, rowerzyści z Masy Krytycznej to w sumie jeden typ ludzi – powiedziała Gośka, walcząc z zalewającym ją rumieńcem, tym razem czystej ekscytacji. – Do nich wszystkich przemawia pomysł dobrej kawy, bo ciągle są na najwyższych obrotach i potrzebują kofeiny. Dla świadomej społecznie części z nich nie bez znaczenia jest też fakt, że ta kawa jest z plantacji, na której nie wyzyskuje się pracowników, prawda? Darmowe próbki są teraz rozdawane konkretnym ludziom, na przykład mnie, ale już niekoniecznie Zawiszy, który był w stroju reprezentacji. Może to przypadek, a może jakieś wytyczne? Dla jednej grupy jest wyciszający Dumny Rodak, dla drugiej powodująca szaleństwo Usawa. Rozdana w odpowiednim czasie doprowadzi do konfrontacji, w której nieoczywista strona będzie agresorem!

Zaczerpnęła tchu, sama zaskoczona zarówno własnym doborem słów, jak i tym, jak wiele zdołała powiedzieć na jednym oddechu. Przerwany wątek

natychmiast podjął Witek:

– Jeśli wystałtuje, Masa Kłytyczna przetnie się z przemałszem kibiców, a to oznacza…

– …dwa zmasowane ataki na patriotów dokonane przez, jak to na pewno przedstawią, „środowiska lewicowe” – dokończył Pająk i tryumfalnie spojrzał na Władka. – Jeśli to nie jest gra na interes rządu, to ja już kompletnie nie wiem, co by mogło!

– Władek nigdy nie mówił, że Krzyżaków nie ma też w rządzie. – Witek stanął w obronie brata. – My tylko mówimy, że to spława większa niż on. Oto chodzi w międzynałodowych tajnych ołganizacjach.

Ale Pająk już nie słuchał; wybrał numer i przyłożył telefon do ucha.

– Zbyszek? To znowu ja. Wybacz, że tak ci truję, ale przydałyby się jeszcze dwa wozy z armatkami na plac Zamkowy. Tak, też z Rodakiem… Naprawdę?! Ech, tyle lat się znamy, na rękach cię nosiłem, a ty myślisz, że zaangażowałbym naszą sieć w kampanię reklamową?!… Już, w porządku, nie gniewam się… To jak, zorganizujesz? No ale jak to nie masz tam dostęp… No dobrze, rozumiem… Nie, naprawdę rozumiem. Jakoś sobie poradzimy. Cześć.

Rozłączył się i pokręcił głową.

– Straż nie da nam więcej wozów. Już z tym, który pojechał, będą kłopoty. Jesteśmy w stanie zamontować działka wodne na tym, co mamy? Na żuku, może na tarpanie?

– Na obu – odparł Witek. – Ale nie mamy ani kiełowców, ani tyle ekstłaktu…

– Rodaka się zaraz zamówi, mamy w sieci hurtownię, a co do kierowców…

– Ja pojadę! – zawołała nagle Gośka.

Pająk odwrócił się w jej stronę i przyglądał się jej przez chwilę, mrużąc oczy. W końcu spytał:

– Żuk czy tarpan?

***

Pamiętała taką scenę z *Walecznego serca*, jednego ze swoich ulubionych filmów z dzieciństwa. Grupa Szkotów pod wodzą bojownika o wolność Williama Wallace’a czekała w szeregu, a z przeciwka pędziła na nich konna szarża. Byli na nią gotowi, mieli przygotowane długie, naostrzone pale, ale

trzymali je blisko przy ziemi, by dla wroga było za późno na odwrót, gdy wreszcie je podniosą. Tak właśnie czuła się teraz wsparta na dziale, które w myślach nazywała pacyfikatorem. Czekała, aż zbliżą się na tyle, by żadna z ograniczonych przecież gumowych kul nie chybiła celu.

– Jeszcze nie, jeszcze nie – powtarzała sobie pod nosem, bębniąc palcami po lufach. – Wytrzymaj jeszcze trochę.

Widziała już czoło nadciągającej kolumny, pędzącą ku niej przyszłość polskiego biznesu. Biegli, upadali, podnosili się i padali znowu accounci, stażyści i managerowie. Niektórzy mieli na sobie porozrywane marynarki, inni poszarpane koszule, spodnie porozdzierane na kolanach. Włosy w nieładzie opadały na wykrzywione w gniewnych grymasach, a nieraz zakrwawione twarze.

– Zobacz białka ich oczu – powtarzała sobie zdanie zasłyszane w jakimś innym filmie. A może w tym samym? Nie pamiętała.

Nie zobaczyła białek, za to dostrzegła Zawiszę. Pędził, okładając pałkami sunących korpozombie, przetaczając się po ich zgiętych grzbietach, kopiąc, wierzgając i dokonując cudów waleczności. On też skojarzył jej się z postacią filmową, ale natychmiast odegnała tę wizję, bo przez moment miała wrażenie, że Zawisza jest niczym Mufasa z *Króla Lwa*, lawirujący między rozpędzonym stadem bawołów, by bohatersko uratować syna.

Tuż nad nim unosił się teraz helikopter. Mimo odblasku światła na szybie kabiny dostrzegła, że Zawiszę filmowano. Sawka poczuła w sercu ukłucie żalu na myśl, że niezależnie od tego, czy to przetrwa, czy nie, Zawisza zostanie superbohaterem Warszawy. Tym pierwszym, najważniejszym, najprawdziwszym. Ona sama mogła teraz jedynie próbować wejść w jego, zapewne duże, buty.

Dostrzegł ją, jakby w jakiś sposób usłyszał tę jej durną myśl. Skoncentrowała się więc, ustawiła się za pacyfikatorem i krzyknęła mu, żeby padł na ziemię. Odkrzyknął coś, ale brzęczenie, ryki i wrzaski tłumu, łoskot helikoptera i odległość sprawiły, że nie usłyszała tego pojedynczego słowa.

Uratowało ją to, że dostrzegła cień. W ostatniej chwili zdążyła uskoczyć w bok, a ostrze noża wielkiego niemal jak maczeta śmignęło tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się jej bark. Wycofała się jeszcze o krok, wsadziła rękę do kieszeni i wsunęła palce w spoczywający w niej kastet. Jednocześnie ustawiła się frontem do przeciwnika.

Był wielki. Miał na sobie koszulkę z białym orłem, a na głowie powstańczą chustę. Twarz wykrzywiona w gniewnym grymasie poznaczona była dawno zarośniętymi bliznami, a oczy zdawały się pokryte półprzezroczystym bielmem. Jego szeroka pierś poruszała się miarowo niczym kowalski miech, ale nie słyszała jego oddechu, choć normalnie powinna.

– Nie mogłaś zostawić spraw ich biegowi, lewacka suko? Wszystko szło tak dobrze, ale powinienem się domyślić, że ktoś…

Skoczył w połowie własnego zdania, znakomicie wyczuwając, że będzie to najlepszy moment, by ją zaskoczyć. Znowu udało jej się zrobić unik, skręcić w piruecie, ale nim zadała cios, on już uderzył na odlew lewą ręką, trafiając ją końcówkami palców w usta. Wystarczyło, by wybić ją z rytmu i kupić mu czas potrzebny na zwrócenie się do niej przodem i wyprowadzenie pchnięcia.

Tym razem jednak dokładnie tego się spodziewała. Odskoczyła nie do tyłu, a w bok, złapała go lewą ręką za przedramię i pociągnęła. Jednocześnie prawą, uzbrojoną w kastet pięścią wyrżnęła go mocno tuż za uchem.

Wrzasnął, zachwiał się i uderzył na oślep w szyję Sawki, ale ponieważ przykucnęła, strącił jej tylko kaszkiet. Ona w zamian odpowiedziała podbródkowym wyprowadzonym z nóg. Wybiła się do góry niczym sprężyna i przez moment miała wrażenie, że próbuje przebić ręką betonowy sufit, a jej nadgarstek zaraz ustąpi i pęknie albo chociaż się zwichnie, ale jej kości jednak wytrzymały. Wielkie ciało poruszyło się, ręka wystrzeliła ku górze, a olbrzym w koszulce z orłem runął na ziemię.

Chciała się na niego rzucić, ale wtedy dostrzegła, że dziki tłum był już naprawdę blisko. Jeszcze chwila i to wszystko nie będzie miało sensu; przedrą się przez nią, ostatni punkt oporu, i dorwą wszystkich na festynie.

– O niedoczekanie – mruknęła, doskakując do pacyfikatora i zajmując pozycję. – Na warszawiaka nie ma cwaniaka, korpoludki.

Szarpnęła bezpiecznik i pociągnęła za spust. Lufa zaczęła się kręcić, maszyneria pracować i jeden po drugim gumowe pociski popędziły w stronę nadciągającego tłumu.

Pierwsza salwa zrobiła swoje, niemal połowa czoła kolumny runęła do tyłu do wtóru wrzasków i krzyków. Ci jednak, którym udało się ustać, i wszyscy za nimi, przyspieszyli i już nie sunęli szybkim krokiem, a pędzili dziko w jej stronę. Wycelowała w tych, którzy najmocniej wyrwali do

przodu, i skosiła ich jednego za drugim, ale pozostali już byli tuż-tuż, już wyciągali ku niej ręce. Odskoczyła od pacyfikatora i rzuciła się do samochodu. Złapała za klamkę i syknęła porażona prądem; zapomniała, kiedy włączyła zabezpieczenie. Odepchnęła chłopaka w białej koszuli z podwiniętymi rękawami i przebiegła przed maską, próbując wyjąć klucze z kieszeni spodni.

Któryś ze zdziczałych yuppie wskoczył na dach samochodu i rzucił się z niego na Sawkę. Odskoczyła przed nim, ale wtedy wpadła prosto w ręce następnego. Grzmotnęła go tyłem głowy, wyrwała się i odbiegła kawałek, ostatecznie porzucając myśl, że uda jej się ukryć w samochodzie lub nawet odjechać. Dzicy otoczyli syrenę i pacyfikator, a tłum, w którym od dłuższego momentu nie widziała już Zawiszy, przybierał na liczebności, ale i w jakiś sposób na sile i dzikości.

Gdy robiąc uniki i śląc razy, próbowała wykroić wokół siebie choć trochę wolnej przestrzeni, zauważyła nagle, że w stronę płozy helikoptera wystrzeliła z tłumu lina, a zaraz za nią wyleciała pałka, która uderzyła w kadłub. Śmigłowiec z miejsca zwiększył pułap, podrywając ze sobą nad ziemię uwieszonego na linie Zawiszę. Pilot musiał wyczuć, o co chodzi, bo nie wzleciał za wysoko, a tylko na tyle, by stopy czarnoskórego bohatera uniosły się nad tłum, po czym przyspieszył, lecąc prosto w jej stronę. Niektórzy z dzikich próbowali chwycić Zawiszę za nogi, ale Czarny skutecznie rozdawał im kopniaki.

Pędzili jej na ratunek. Powietrzna kawaleria! Sawka miała ochotę klasnąć w dłonie z zachwytu. Zamiast tego grzmotnęła między oczy grubą dziewczynę z niemodną grzywką, łamiąc jej okulary i zapewne nos. Cofnęła się, na ile pozwalała jej wywalczona przed chwilą przestrzeń, a potem rzuciła się do biegu. Wyskoczyła w górę tuż nad sięgającą po nią ręką, odbiła się stopą od barku grubej dziewczyny, drugą od ramienia napierającego za nią rudzielca w koszulce z logo kawiarni. Wymierzyła idealnie – gdy wyciągnęła w skoku rękę, jej przegub niemal natychmiast znalazł się między palcami Zawiszy. Murzyn wzmocnił chwyt i szarpnął, a zaraz potem helikopter wzniósł się w górę.

– Nie wiem, czy mnie słyszycie w ogóle, bo mamy jakieś płoblemy na linii, ale jeśli tak, Zawiszo, to było wykułwiste. I ty też, Sawko, dałaś czadu!

Coś odpowiedziała, ale skupiona była raczej na oglądaniu tego, co działo się na dole. Niepowstrzymany tłum parł do przodu, pierwsi dzicy już

wpadali między drzewa. To był koniec. Nie udało im się.

Wtedy dostrzegła prujący na skos przez Pole wóz strażacki.

***

Ordon, gdy tylko otrząsnął się z pierwszego szoku, miał zamiar poderwać się z miejsca i dokończyć, co zaczął, ale wtedy dostrzegł, że tłum jest już tuż obok, więc w zasadzie udało mu się, co zamierzał. Powoli stanął na nogi, podniósł nóż, ale zamiast przysunąć się do walącej z karabinu Sawki pognał z powrotem w stronę parku. Wpadł między drzewa i na polanę, by tam zobaczyć… trwającą właśnie ewakuację.

Dokonywało jej raptem kilku policjantów z dwóch radiowozów, ale przy wsparciu grupy wziętych znikąd, a jednocześnie świetnie zorganizowanych wolontariuszy. Pomagali zbierać rzeczy, szukali dzieciom mam i mamom dzieci albo próbowali przekonać mężczyzn pijących piwo w ogródkach, że powinni jak najszybciej opuścić teren Pól, tak jak to mówił stojący na scenie policjant. Ordon tylko części się domyślał, bo wciąż był trochę oszołomiony po ciosie, a w dodatku scena i kolumny były zwrócone bokiem do ulicy Boboli, więc z miejsca, gdzie Ordon się znajdował, niewiele dało się zrozumieć.

Większość jednak słyszała policjanta i, co gorsza, stosowała się do poleceń. Choć niechętnie, podnosili się z koców, pakowali koszyki, zagarniali dzieci. Część wystawców zbierała i zabezpieczała towar, a ci, którzy mogli, pakowali go bez składania do furgonetek.

Ordon patrzył na to wszystko z rosnącą bezsilną wściekłością. Chciał krzyczeć, wyzywać tych wszystkich zdrajców, ludzi, którzy rejterowali zamiast stanąć do walki. To mieli być polscy patrioci?! To byli ludzie, którzy przywoływali pamięć powstańców i Żołnierzy Wyklętych?! Ci tchórze?!

Wciąż jednak nie wszystko było stracone. Na Polu nadal znajdowało się wielu ludzi, których mógłby jeszcze zawrócić. Ach, gdyby tylko miał przy sobie płytę Sabatonu. Gdyby tylko mogli ją włączyć na wszystkie głośniki. *Powstanie* albo jeszcze lepiej *Kontratak*. Tak, to odpowiedni utwór dla tej sytuacji! A może mają go akustycy?

Zerwał się do biegu i pognał w stronę sceny, tak pogrążony w myślach, że nie zarejestrował wozu strażackiego, który znalazł się nagle między dzikimi a ludźmi i uruchomił armatkę wodną. Zdziczali przewracali się pod

naporem mocnego strumienia, upadali jedni na drugich, a poza linię drzew przedzierały się już tylko jednostki. Ordon nie zwrócił też uwagi na wiatr, kładącą się trawę i wzbijający w powietrze pył; nie dostrzegł przelatującego nad nim dużego cienia ani dziewczyny, która spadła z niego i przetoczyła się zgrabnie po ziemi. Zaraz potem zobaczył za to, jak kilka metrów przed nim pojawia się wielki Murzyn, wykonuje przewrót i płynnie staje, unosząc ręce do walki. Wtedy też kątem oka dostrzegł widzianą przed chwilą dziewczynę, która jednak zamiast również przyjąć pozycję bojową wyciągnęła z kieszeni paczkę papierosów i zapalniczkę.

– Och, mną się nie przejmuj, wciąż mam robotę! – krzyknęła do niego i machnęła ręką. – Poza tym ode mnie już swój wpierdol dostałeś.

ROZDZIAŁ 14
MASA KRYTYCZNA

Kaja zsiadła z roweru przy pomniku Małego Powstańca i resztę drogi pod kolumnę Zygmunta pokonała pieszo. Mówiła sobie, że to ze względu na niebezpieczeństwo jazdy przy wąskich chodnikach, tłumach turystów i taksiarzach królach ulic. Tak naprawdę jednak wciąż się wahała. Nie chciała angażować się w żadną nową sprawę, po prostu lubiła jeździć na rowerze. Z jednej strony, jasne, zmiany by się przydały, sama kilka razy otarła się – dosłownie – o śmierć czy poważne obrażenia. A z drugiej, czy rzeczywiście była przekonana do idei Masy Krytycznej? Do przesłania: „Tak, teraz tarasujemy drogi, żebyście nas zauważyli! Nienawidzicie nas? To dobrze, bo przynajmniej nas widzicie. I to również nasze drogi”. Miała dziwne poczucie, że gdziekolwiek szła, ludzie mieli w głowach tylko po jednej idei. Owszem, bardzo często słusznej, ale wciąż tylko jednej i w dodatku wykluczającej lub w najlepszym przypadku lekceważącej pozostałe.

Od pobudki do teraz dostała kilka wiadomości od dziewczyn ze stadionu. Wyglądały jak instastory i pewnie tego właśnie były marną namiastką. Skoro nie dało się opublikować tego materiału w sieci w obawie przed dekonspiracją, to wysyłały chociaż do niej, wtajemniczonej i zaufanej. Dzięki temu Kaja widziała, jak dziewczyny bawią się tymi wszystkimi husarskimi rekwizytami, jak robią sobie żarty z tych, które jak Irma przysnęły gdzieś na chwilę. Zdjęcie z kubkami kawy wzniesionymi jak toast, kolejne z szyszakami, z szablami. A potem seria, na której coraz bardziej znużone dziewczyny robiły dobrą minę do złej gry.

Gdy jadła śniadanie i piła kawę z dripa, nie poczuła ukłucia żalu, że jej tam nie ma. Czuła się za stara na biwaki, a sama sprawa… No właśnie, ten sam problem co z Masą Krytyczną – jedna idea przyćmiewająca i lekceważąca wszystkie inne. Słuszna, ale wciąż jedna. Dlatego ucieszyła się, gdy około dziewiątej SMS-y przestały przychodzić.

Pod kolumną na placu Zamkowym zebrał się już spory tłumek cyklistów. Rozpoznała kilka twarzy i celowo poszła w inną stronę, do nieznanych sobie ludzi. Wiedziała, że wśród znajomych zacznie się nakręcać, a nie

miała na to ochoty. Ciągle rozważała, czy może nie wsiąść na rower i nie wrócić do domu. Miała do obejrzenia ostatni sezon *Orange Is The New Black*. Poprzedni skończył się tak cholernie smutno…

Zamiast tego jednak postawiła rower na nóżce – zajęło jej to chwilę na nierównym bruku – i uśmiechnęła się do dziewczyny rozdającej kawę. Ta nalała jej trzy czwarte plastikowego kubeczka, a resztę, na życzenie Kai, uzupełniła mlekiem ryżowym.

– Dużo jak na próbkę – zauważyła Kaja.

Dziewczyna, przepiękna blondynka z uroczymi dołeczkami w policzkach, uśmiechnęła się ślicznie w odpowiedzi.

– To ponoć bardzo duża kampania – odpowiedziała. – Cukru?

Kaja pokręciła głową. Podziękowała, wzięła kubeczek i upiła łyk. Delikatny smak doprawiony odrobiną gorzkiej szorstkości przywodził na myśl głaskanie z włosem i pod włos ulubionego koca w domu rodziców.

Na placu tymczasem gromadziło się coraz więcej osób. Większość w strojach luźnych lub sportowych, ale zdarzali się też przebierańcy. Wśród nich z kolei byli zarówno starsi stylizowani na warszawiaków z czasów międzywojnia, jak i młodsi w kostiumach hipopotamów, jednorożców, wróżek czy czarodziejów. Dzieci cieszyły się z poświęcanej im uwagi i przywiązanych do kierownic balonów, a zawodowi kolarze oraz kolarki prezentowali z dumą obcisłe stroje z logo sponsorów, doskonale podkreślające smukłe, wyrzeźbione ciała. Byliby jak posągi greckich bóstw i herosów, gdyby nie kaski, w których zwyczajnie nie dało się dobrze wyglądać.

Rowery również obejmowały szerokie spektrum niezwykłości. Od jednokołowców, przez groteskowe dziewiętnastowieczne bicykle, trójkołowce, BMX-y, damki, składaki, rowery miejskie, po kolarzówki i crossy za dziesiątki tysięcy.

Brzęczały dzwonki, trąbiły trąbki, lśnił chrom, a karty między szprychami trzaskały pokazowo puszczane w ruch. Ktoś krzyczał, bo kogoś spotkał, ktoś, bo pomyliły mu się wiece, ktoś wdał się w pyskówkę ze zgromadzonymi wokół gapiami. Największa natomiast grupa wykłócała się z policją o to, czy w ogóle będą mogli ruszyć, bo Masie cofnięto wszelkie pozwolenia.

Kaja miała cichą nadzieję, że to wszystko rozejdzie się po kościach – ludzie rozsądnie rozjadą się do domów, nie będzie ani awantury, ani całej tej Masy, w którą się wpakowała. Nic jednak na to nie wskazywało.

Atmosfera gęstniała z każdą chwilą, a rowerzystów przybywało. Teraz to mogło już tylko ruszyć… lub wybuchnąć.

***

Kibice powoli wypełniali przestrzeń centrum Warszawy. Byli niczym krople wzmagającego się deszczu na naprawdę wielkiej samochodowej szybie – te małe, drobne łączyły się w większe, które powoli sunęły w dół, zostawiając za sobą wyraźny ślad swojej obecności. Docierały do kolejnych i rosły w siłę, stając się pozbawionymi określonego kształtu kleksami wody.

Albo jak w drugiej części *Terminatora*, pomyślał Świtoń, gdy zmrożony wcześniej T1000 składał się znowu do kupy. Oni, polscy kibice zjednoczeni bielą i czerwienią, wydawałoby się, że chwilowo ponad klubowymi podziałami. Wyjątkiem była, rzecz jasna, Legia, ale Świtoń wiedział i rozumiał, że jeśli legionista nie założy danego dnia choćby majtek z logo swojej drużyny, to tak jakby nie podrapał wyjątkowo swędzącego miejsca. To nie wchodziło w grę. No ale poza Legią… No dobra, jeszcze poza Lechem, ale oni to wiadomo, rzucali trochę wyzwanie stolicy, podobnie jak krakusy będący za Wisłą i może jeszcze…

W końcu Świtoń uznał, że jednak nie ponad podziałami, bo każdy miał coś swojego, ale wyjątkowo nie były one aż tak zauważalne. Kiedyś faktycznie byli właśnie takim terminatorem z płynnego metalu, a ich proces łączenia się w jeden potężny, śmiercionośny twór napawałby ludzi trwogą. Dziś jednak wszystko przebiegało pokojowo. Nie było zadym, problemów, awantur.

Świtoń, ku własnemu zaskoczeniu, przyjmował to raczej z radością i ulgą niż rozczarowaniem. Lubił się bić, lubił solidną awanturkę i to poczucie obcowania ze śmiercią. Jednak przebywanie z nią minionej nocy w zasadzie sam na sam i pomaganie jej w realizowaniu nie do końca jasnego planu zaspokoiły na długo jego potrzebę adrenaliny. Był tu, rzecz jasna, bo czuł się patriotą, a patriota powinien zawsze patrzeć, jak gra reprezentacja, ale nie czuł żaru, jaki powinien go rozpalać, energii, jaka na tym etapie zwykle go już rozsadzała.

Dziwne, pomyślał. Może się starzeję.

A może, odpowiedział mu w głowie jakiś złośliwy głos, coś przelazło na ciebie z tych cholernych, pedalskich ciuchów J-23?

Odruchowo się otrząsnął i otrzepał, aż inni, stojący wokół i ubrani jak on w barwy reprezentacji, spojrzeli na niego dziwnie.

– Chuj, kurwa, mrówki – mruknął tonem wyjaśnienia.

Zaraz potem od strony metra przybyła kolejna wielka kibolska kropla.

***

Gośka dźgnęła nożem kolejną puszkę Dumnego Rodaka, rozkroiła pewnym cięciem i ostrożnie, by nie przeciąć, rozgięła blachę. Syczący, różowy płyn popłynął szerokim strumieniem do miski, którą trzymała na kolanach. Ta nie była zapełniona nawet w połowie.

– To nie ma sensu – westchnęła z rezygnacją, wyrzuciła puszkę do stojącego obok kosza i przetarła czoło. – Przecież to się tam zaraz wszystko zacznie, a jeszcze trzeba będzie dojechać. Nie zdążymy.

– No, zacznie się lada moment – potwierdził Witek obserwujący plac Zamkowy z miejskich kamer. – Już są jakieś przepychanki, ale na łazie chyba niegłoźne. A przynajmniej nie tłigełujące. Jak sytuacja na Polu?

– Ciągle się dzieje, ale stłaż łaczej dała ładę – odparł Władek obstawiony z trzech stron monitorami i nieustannie zmieniający ujęcia. – Na Pole wdałły się tylko niedobitki, ale Sawka zołganizowała linię opołu. Mobilizuje przebudzonych, Wacków i część facetów z festynu. Od stłony Boboli przyszli kiełowcy, którzy stali w kołkach, i ludzie z okolicznych osiedli, którzy widzieli, co się dzieje. Część z festynowych ewidentnie nie piła Łodaka, więc będzie tłochę obłażeń po obu stłonach, ale łaczej bez tłagedii. A, jest też więcej policji. Przyjechali przed chwilą.

– A Zawisza gdzie? – zapytała Gośka.

– Właśnie go szukam. Mam tu obłaz z siedmiu wackowych stłimingów, ale na YouTubie też są już piełwsze wrzutki. Oho, chyba pojawiły się wozy telewizyjne. Ale Zawiszy ni dudu.

– Hej, patrzcie na to! – zawołał Pająk z drugiego końca pomieszczenia. – Chyba znalazłem metodę na te puszki! Tak pójdzie szybciej!

Cała trójka odwróciła się w jego stronę. Na plastikowej beczce leżała w poprzek otworu deska, na której stały cztery puszki Rodaka. Staruszek trzymał w ręku szablę, którą w pewnej chwili przyłożył do ust i ucałował klingę, a następnie szybkim, pewnym ruchem chlasnął puszki, tnąc je wszystkie równiutko na pół. Napój chlusnął, ale zdecydowana większość znalazła się w beczce. Wpadły do niej również kawałki puszek.

– Świetne – pochwaliła Gośka. – Powiedz, Kmicic, ile szukałeś deski i szabli?

Na dźwięk tego pytania mina Pająka z wesołej, dumnej i pewnej siebie w jednej chwili przeszła w zakłopotaną buźkę pomarszczonego, zawstydzonego dziecka. Gośka westchnęła.

– Nie odpowiadaj – poprosiła. – Zresztą to i tak nie ma znaczenia. To się nie uda, bo co innego jest polewać już przemienionych, a co innego takich, którzy jeszcze tego nie zrobili.

Zaczną uciekać, chować się, a kto wie, u części to właśnie może wywołać przemianę. Dobrze rozumiem, że to wynik stresu, tak?

– Na to wygląda – zgodził się Pająk.

Zapadło kłopotliwe milczenie, przerywane tylko pojedynczymi głośniejszymi dźwiękami z nie do końca wyciszonych głośników. Każde z nich spróbowało przerwać tę ciężką, obezwładniającą ciszę, kiedy jednak jedno otwierało usta, a w oczach pozostałych błyskała nadzieja, wtedy pomysł nie wytrzymywał presji i załamywał się pod własnym ciężarem.

– Czekajcie, mam pomysł! – zawołał wreszcie Witek i zabębnił palcami w klawiaturę.

Przerzucił kilka stron, a jego gałki oczne poruszały się od lewa do prawa z taką szybkością, że sprawiał wrażenie, jakby właśnie dostał ataku epilepsji.

– Bingo! Rzucam na duży ekłan.

Zobaczyli zwał opatrzonego zdjęciami tekstu w charakterystycznym, wikipedycznym układzie strony. Wyszukane hasło brzmiało: choroba Krasdena-Stirlla. Gośka przeczytała kilka pierwszych zdań, ale nim zdążyła więcej, Witek wyjaśnił swój pomysł.

– To jest chołoba wywołująca agłesję. Według notki stosunkowo mało znana, łodem z Afłyki. Objawy ma podobne do tego, co się dzieje na Mokotowie, więc gdybyśmy wmówili ludziom, że ta kawa powoduje właśnie to i muszą szybko przyjąć antidotum…

– …nie musielibyśmy ich polewać Rodakiem, bo sami by go wypili. Przyjęli jak szczepionkę. Dobre! – podchwyciła z entuzjazmem Gośka, by pokręcić głową. – A jeśli oni są nieszczepionkowi?

– Jeżdżą na łowełach. – Witek, raz uczepiwszy się idei, nie dawał łatwo zbić się z tropu. – Jak ktoś dzisiaj jeździ na łowerze, to albo nosi kask i o siebie dba, a wtedy się szczepi, albo stwiełdza, że jest zbyt pijany na

samochód i zbyt skąpy na taksówkę, i wtedy wypożycza łoweł miejski. Innej opcji nie widzę.

– No dooobra, niech będzie, jak mówisz. – Gośka miała na temat rowerzystów inne zdanie, ale w tym momencie łatwiej było założyć, że młodszy Łokietek ma rację. – Ale to nadal nie zmienia faktu, że do realizacji twojego pomysłu potrzebni by nam byli lekarze i jakieś karetki, cokolwiek. Ludzie nie będą pili lekarstwa ot tak, bo im powiesz, że mają coś wypić. Nawet jeśli są rowerzystami.

Pająk podrapał się po głowie.

– Akurat karetki nie powinny stanowić problemu – stwierdził i uśmiechnął się, widząc pełne zaskoczenia spojrzenie Gośki. – Mamy w sieci firmę odpowiadającą za ich konserwację. Zawsze parę u nich stoi, to załatwimy. Gorzej z personelem medycznym, bo potrzebny nam liczny i przekonujący, a to niełatwe. Mamy niestety niedobór lekarzy.

– Nie wiem, czy muszą być zaraz prawdziwymi lekarzami –odparła Gośka. – Pamiętam, jak kiedyś w wywiadzie Artur Żmijewski skarżył się, że najpierw ludzie prosili go o porady lekarskie po *Na dobre i na złe*, a potem po *Ojcu Mateuszu* chcieli się u niego spowiadać i chrzcić dzieci.

Pająk zamyślił się, kuśtykając nerwowo to w jedną, to w drugą stronę i klepiąc się płazem szabli po udzie.

– Wiem! – zawołał w pewnej chwili. – Gdzie jest mój telefon?!

Zaskakująco dziarskim krokiem podszedł do biurka. Rzucił na nie szablę, złapał za aparat, szybko przejrzał listę kontaktów i wybrał jeden z numerów.

– Marcin?… Fantastycznie, że cię złapałem. Powiedz, ile ty masz tam u siebie w akademii dzieciaków na letnim kursie?… Cudownie! I są tam teraz?… Jeszcze lepiej… A powiedz, czy wy macie tam w rekwizytorni jakieś medyczne stroje?… Dobra, powinno wystarczyć, resztę zorganizujemy. To zaraz podeślemy tam… – Spojrzał na Witka, który równolegle prowadził rozmowę z warsztatem. Młodszy Łokietek pokazał dwa palce. – Dwie karetki… Tak, już ci wszystko tłumaczę, Marcinie. Już! Chodzi o to, że…

Podczas gdy Pająk streszczał rozmówcy sytuację, Władek wciąż przełączał kamery pokazujące Pole Mokotowskie. Do wcześniejszych ujęć zrobionych telefonami trzymanymi przez rozedrgane ręce doszło stabilne i wyjątkowo przejrzyste ujęcie z drona. Na jego podstawie Gośka stwierdziła teraz, że sytuacja faktycznie prezentuje się całkiem dobrze.

Pojedynczy pracownicy korporacji miotali się jeszcze, skacząc dziko to w lewo, to w prawo, ale niewielkie grupki obrońców festynu coraz sprawniej otaczały ich, by – zapewne zgodnie z uwagami Sawki, której wszędzie było pełno – powalić, obezwładnić i napoić Rodakiem. Czasem niektóre oddziały radziły sobie metodą bardziej tradycyjną, ale do tych taksówkarka dobiegała możliwie szybko, zanim jeszcze glanowaniem czy okładaniem pięściami zdołali wyrządzić prawdziwą krzywdę korpoludkowi. Wóz straży, który wykonał lwią część roboty, od czasu do czasu tryskał jeszcze z armatki w pojedyncze cele, a kilku strażaków wysiadło, by pomagać przytomniejącym. Część z byłych zombie rzuciła się, by pomagać w walce z kolegami i koleżankami, ale większość leżała lub siedziała spokojnie i powoli piła z plastikowych kubeczków, w których podano im Rodaka.

– Dobra, załatwione – powiedział Pająk, kończąc rozmowę. – Dziekan Akademii Teatralnej załatwi nam grupę studentów udających lekarzy. W ogóle zbieg okoliczności. Mieli akurat z tym młodym przystojniakiem, który gra w *Na dobre i na złe*, zajęcia na temat kręcenia filmów i seriali medycznych, więc idealnie. Karetki, mówisz, będą dwie, tak Wituś? No to zaraz załatwimy Rodaka… Jezu, wydamy na niego majątek! Załatwimy też kubeczki, takie małe, na pastylki, by przelewali do nich napój z puszek. I potrzebne nam coś, co sprawi, że lekarstwo będzie gorzkie, bo inaczej nie uwierzą.

Gośka uśmiechnęła się na te słowa. Nie tak dawno oglądała z Pawełkiem *Mary Poppins* i tam była piosenka o cukru łyżeczce, żeby smak lekarstwa znikł… Jezu, Pawełek! Przecież on się z Mirkiem wybiera na mecz, a tam na pewno coś się stanie! Sięgnęła po telefon i wybrała numer Mirka, ale abonent prowadził właśnie rozmowę. Postanowiła, że zaraz spróbuje znowu, ale i tak napisała wiadomość, by pilnie do niej oddzwonił.

Pająk nie przestawał mówić.

– Szczepionka przeciwko egzotycznej, afrykańskiej chorobie! Tak, to powinno zadziałać. W razie czego powołamy się na to, co się dzieje na Mokotowie, a poza tym każdy ma przecież telefon, to sobie tę chorobę wygoogluje, prawda? Wtedy pozostanie im tylko wmówić, że to się przenosi przez ziarna kawy. Poza tym przydałoby się jeszcze… Mamy jakichś wolnych Wacków w okolicach Starego Miasta?

Gośka słuchała teraz gospodarza jednym uchem, zaniepokojona myślami o synu i jego bezpieczeństwie. Wzrok wlepiła w ekran z widokiem z drona,

ukazujący krajobraz dogorywającej bitwy. Przynajmniej tam sytuacja wygląda na względnie opanowaną, pomyślała z ulgą. O ile można tak było nazwać pół parku zalanego lepkim napojem i zawalonego budzącymi się do życia, poobijanymi korpozombie i biegającymi wokół nich ludźmi.

Wtedy jednak dostrzegła coś, co sprawiło, że poruszyła się gwałtownie na wózku.

– Władek, a co to za zgromadzenie robi się tam po lewej, w dole?… O właśnie, tam. Możesz tym widokiem sterować?

– Mogę powiedzieć opełatołowi dłona, by tam nim poleciał – odparł starszy Łokietek. – I załaz to… A nie, chyba jednak nie będzie takiej potrzeby. Spójrz na… Czekaj, przełączę na duży ekłan… Masz, to jest widok z TVN Dwadzieścia Cztały. Znaleźliśmy naszego Zawiszę! Wygląda na to, że ci ludzie chcą zobaczyć, jak on się bije.

***

To musi być on, myślał Ordon. To musi być ten cholerny Murzyn z pociągu i dworca. Ten, od którego zaczęły się wszystkie problemy. Wcześniej jeszcze można było uznać, że jego udział w tym wszystkim to przypadek. Odkąd jednak zeskoczył z helikoptera na trawnik, nie można mieć wątpliwości, że jest tu celowo. Że przybył, by ostatecznie pogrzebać Polskość.

Ordon czuł narastającą wściekłość. Nie tylko na prężącego się przed nim czarnucha, lecz także, a może przede wszystkim, na siebie za swój bolący podbródek, będący wciąż pulsującą tępo pamiątką tego, jak łatwo dał się podejść tej chudej, małej ździrze. Nie docenił jej i to był jego największy błąd, którego nie zamierzał powtórzyć, zwłaszcza teraz z czarnuchem.

Murzyn stał, czekał, a dzielący ich dystans był wciąż na tyle duży, że Ordon zaryzykował i szybko się rozejrzał. Ten rzut oka uświadomił mu, że na tym polu bitwy sprawa jest już przegrana. Kilka rozbitych nosów, warg i głów, parę połamanych żeber czy trochę ugryzień to materiał na głupie reality show, a nie na krwawą ofiarę, jaką to miasto miało złożyć w imieniu całego narodu na przebłaganie Boga za grzechy i prośbę o ponowne uczynienie go Narodem Wybranym. Miało być kolejne Westerplatte, dosłowne powstanie przeciwko maskowanej za krawatami, ale przecież oczywistej agresji lewactwa. Stanęło na groteskowej ulicznej przepychance z udziałem, jak właśnie zauważył, żydowskiego TVN-u.

Spuszczenie Murzynowi wpierdolu nie wyprostuje wszystkich spraw, ale Ordon wiedział, że choć trochę poprawi mu humor. Rzecz tylko w tym, że…

Nie, nie bał się. Po prostu czuł się trochę nieswojo na widok potężnego Murzyna, umięśnionego, sporo młodszego i ubranego jak motocyklista. Do tego jeszcze te jego połamane okulary odsłaniające jedno oko, z przebiegającymi po oprawcach srebrnoniebieskimi wyładowaniami. Był niczym robot, niczym Schwarzenegger w tym swoim filmie, w którym mechanicznym głosem obiecywał, że wróci. Kto to mówił, że Schwarzenegger znaczy po niemiecku czarny Murzyn? No to właśnie, ten czarny Murzyn stał teraz przed nim, nie odzywał się, czekał.

Ci, którzy akurat nie zajmowali się przepychankami, zwrócili na nich uwagę. Najpierw pokazywali sobie Ordona i czarnucha, a potem z wolna zaczęli się gromadzić, zaciskając wokół nich krąg na podobieństwo improwizowanego ringu.

Zanim zwarli szyki, Ordon dostrzegł za ich plecami wystraszonego Mariackiego, zagarniającego jak kwoka podekscytowane dzieci, widział strażaków, policjantów zmagających się z przybyłymi z odsieczą kibicami Legii zamiast z lewactwem, widział grzebiących się z błota japiszonów, wypatrujących w gromadzącym się tłumie odpowiedzi, co się, u diabła, stało. Widział też tę latającą z fajką w zębach i dyrygującą wszystkimi sukę, z którą wciąż miał niedokończone sprawy. To jednak później. Teraz sprawę miał tutaj.

A, no i był jeszcze ten cholerny TVN ze swoją kamerą. To chyba właśnie za jego sprawą Ordon nie dobył od razu noża, nie chcąc wyjść na agresywniejszego. Zamiast tego wskazał na Murzyna palcem i tonem sądowego oskarżyciela huknął:

– To ty za to odpowiadasz! Ty i twoje przeklęte wudu!

Murzyn zrobił zdziwioną minę, obejrzał się, wskazał na siebie, jakby pytał, czy aby na pewno o niego chodzi. Ordon zerknął w bok i dostrzegł, że zgodnie z założeniem jego pomysłu gromadzący się tłumek zaszemrał. Czasem to, że ludzie myśleli prosto, było takie przydatne.

– Nie wiem, co za czary urządziłeś tym biednym ludziom! – krzyknął niczym ksiądz z ambony i zrobił w stronę Murzyna krok, a potem kolejny, nie przestając wskazywać go palcem. – Nie wiem, jakie narkotyki im podałeś i dla kogo pracujesz, ale w polskim, katolickim kraju nie ma miejsca dla takich, co zagrażają naszym wartościom i naszym dzieciom!

Powinien to powiedzieć w odwrotnej kolejności, ale za późno zdał sobie z tego sprawę. Zresztą, co tam, i tak zadziałało. Zyskiwał ten tłum, byli coraz bardziej po jego stronie. Któryś krewki legionista wyrwał się nawet do przodu, ale go przytrzymali. Dobrze, bo Ordon nie potrzebował fizycznego wsparcia. Potrzebował tylko siły, jaką dawało mu poczucie patriotycznej wspólnoty.

Poczuł się jak za dawnych czasów ustawek, gdy jeszcze był pełen energii, a każdy roztrzaskany łeb napełniał go poczuciem czystej euforii. Piłby z tych lewackich czaszek jak wiking. Nie, nie jak wiking! Jak twardy, wykuty w polskim granicie Słowianin. Polanin. Polak!

– W imię Ojca i Syna, i Ducha… – przeżegnał się, biorąc rozbieg.

Chociaż nie, to też nie było właściwe określenie. On przechodził w szarżę! Widmowe husarskie skrzydła łopotały u jego pleców, swoim szumem wzbudzając popłoch wśród wrogów. Na chwałę Boga i Rzeczypospolitej.

Pędził na czarnego do wtóru aplauzu i pojedynczych głosów sprzeciwu. Ktoś wołał policję, możliwe, że ci nawet już tu biegli. Ale gdy dotrą, będzie za późno, bo pięść Ordona już się wzniosła niczym kopia, jakby do Boga po błogosławieństwo, a potem wróciła do boku, w pełnej gotowości. Wystrzeli, gdy będzie blisko, gdy nadejdzie właściwa chwila.

– Giń, czarny szatanie! – ryknął, a potem w ostatniej chwili skoczył jak do koszykarskiego dwutaktu. Jeden krok prosto, drugi w bok, ze zwodem, by zamiast pięścią uderzyć łokciem.

Czarny wyczuł, co się święci. Uskoczył i skręcił się w biodrach, wyprowadzając cios z tułowia. Uderzył i wielka hebanowa pięść przeleciała tuż przed twarzą Ordona, ale również chybiła celu. Zwarli się w uścisku, Ordon spróbował zaatakować głową, syknął, gdy Murzyn zamiast nosa nadstawił czoło. Uderzenie było niczym grzmotnięcie dwóch glinianych dzbanów. Oszołomiło ich obu, sprawiło, że na chwilę odsunęli się od siebie.

– Bij czarnucha! – wrzasnął ktoś, a inni podchwycili.

– Nie daj się, Murzyn! – zawołał ktoś inny.

Ordon uderzył pięścią o otwartą dłoń i głośno chrupnął karkiem.

– Chciałeś krwi naszych dzieci? – zapytał wciąż lekko oszołomiony zderzeniem. – Chciałeś splugawić nasze święto? Pokażemy ci, jak prawdziwy Polak odpowiada na taką zniewagę! Niech to pole spłynie czarną krwią!

– Tak! – krzyknęła część zgromadzonego tłumu gorliwie, ochoczo, patriotycznie, choć nie dość głośno, by nie dało się usłyszeć sceptycznego głosu mówiącego:

– No ja tam nie wiem, nie? Jak dla mnie to czarni napierdalają się raczej lepiej.

Ordon, którego z miejsca zalała fala wściekłości, obejrzał się, by zobaczyć, kto mógł to powiedzieć, a wtedy Zawisza wyrwał do przodu. Narodowiec cofnął się o krok, wznosząc gardę, ale wtedy Murzyn wyciągnął ręce, złapał go za koszulkę, szarpnął z całej siły na siebie, pozbawiając Ordona równowagi i jednocześnie obejmując go nogami w pasie. Był trochę jak zbyt ciężka dziewczyna rzucająca się na dawno niewidzianego ukochanego, która źle wyliczyła własną wagę i możliwości partnera. Tu jednak nie było złych wyliczeń. Zawisza padł na plecy, a Ordon, zamknięty w stalowej obręczy nóg przeciwnika, wylądował prosto na nim.

Murzyn wierzgnął, szarpnął się, skręcił tułów. Zrobił rękami wymyk, przetoczył przeciwnika tak, że po chwili szamotaniny niemal wspiął się na jego plecy. Ordon jednak wyrwał się ostatkiem sił i zaczął okładać Zawiszę to pięścią, to łokciem uwolnionej ręki. Przetoczyli się raz i drugi, w plecy wbijały im się rozrzucone po ziemi pozostałości po zwiniętym stąd bardzo sprawnie namiocie średniowiecznych rekonstruktorów. Jakaś strzała, garnek, kubek, wbity w ziemię nagolennik zbroi.

– Nie ma tu miejsca dla takich jak ty! – krzyczał Ordon, szarpiąc się i tłukąc na oślep. – Nie ma miejsca!

Murzyn wciąż nie odzywał się ani słowem. Patrzył tylko uważnie, blokował co groźniejsze ciosy, szukał okazji, by lepiej złapać, zablokować, uderzyć. Znowu się przetoczyli, szarpnęli,

Zawisza zajął dogodniejszą pozycję i najpierw zablokował Ordonowi rękę, a następnie, zmieniając ułożenie rąk, założył mu duszenie.

Czując, co się święci, Ordon wierzgnął raz i drugi, ale w tej sytuacji musiał ulec. Wolną ręką sięgnął jeszcze do leżącego nieopodal miecza, którego rękojeść kusiła skórzanym oplotem, a jelec i głowica skrzyły w słońcu. Musnął go jednak tylko palcami, po czym zwiotczał bez sił, wywalając język. Oczy uciekły mu w głąb czaszki, tak że widać było tylko białka.

Zawisza podniósł się powoli, tak by cały czas mieć Ordona przed sobą. Otrzepał się z trawy, powiódł wzrokiem po tłumie i wziął głęboki oddech.

– To nie ja za to odpowiadam – powiedział. – Ten człowiek tutaj dostał wczoraj plany…

Zrobił unik, bo tuż obok jego głowy przeleciała puszka tyskiego.

– Zabiłeś go, czarny skurwielu! – wrzasnął ktoś. – Zabiłeś!

Jeszcze jedna puszka poleciała w jego stronę, kolejna uderzyła go w tył głowy. Spojrzał w dół i zobaczył, że to Rodak. Czyżby jakimś cudem przestał działać?

– Bambus zabił patriotę!

Zawisza zdał sobie sprawę, że to nie narodowcy w koszulkach z wilkami czy kotwicami, nie szalikowcy – czy to biało-czerwoni, czy z dużą domieszką zielonego – ale zwykli ludzie, ci, którzy mogli jeszcze przed momentem patrzeć z okien lub samochodów, jak walczy z tłumem na ulicach. Teraz ci sami ludzie byli tutaj i już wydali wyrok. Zapuszkowanie. Choć nie, przemknęło mu irracjonalnie przez myśl. Przecież to znaczy coś innego i…

– Auuu! – jęknął, gdy dostał w głowę czymś twardym, a wtedy gniewny tłum ruszył w jego stronę jeszcze pewniej.

Zawisza widział w tym zacieśniającym się kręgu także ludzi, którzy próbowali go bronić, i policję chcącą interweniować. Ponad głowami dzikiego tłumu dostrzegł Sawkę. Właśnie zobaczyła, co się dzieje, i rzuciła mu się na pomoc. Ale było już za późno.

– Nie będzie czarnuch pluł nam w twarz – zaintonował ktoś na melodię *Roty* tak blisko, że Zawisza poczuł oddech śmierdzący kiełbasą i piwem.

Pięści wzniosły się jak okrzyki i Zawisza już miał się rzucić nurkiem w tłum, naprzeć barkiem i zacząć rozdawać ciosy, rezygnując ostatecznie z towarzyszącego mu do tego momentu postanowienia, że nie zrobi tym ludziom krzywdy, ale wtedy tuż przed nim znowu wyrósł Ordon. Miał w ręce wielki nóż, a na twarzy paskudny uśmiech. A może odwrotnie – to nóż był paskudny, a uśmiech wielki? Trudno było stwierdzić w tym ułamku sekundy, od spotkania się ich spojrzeń do chwili, gdy nóż powędrował w dół, by rozorać Zawiszy brzuch i ciąć wysoko, aż do piersi.

Czarny cofnął się, ale nie dość. Ostrze przeszło przez wcale nie tak mocną kamizelkę, rozcięło skórę i wniknęło w ciało. Cięło od wysokości pępka, zgrzytnęło na żebrach i niemal wspięło się pod mostek.

– Drzewo wolności, kutasie – mruknął zadowolony z siebie Ordon.

Chlasnął nożem jeszcze raz, jakby uderzał na odlew, rozcinając Zawiszy policzek, a następnie złapał go lewą ręką za rozciętą kamizelkę i z całej siły

wyrżnął czołem w nos. Chrupnęła kość, nogi ugięły się pod Zawiszą, a on sam najpierw osunął się na kolana, a potem padł na bok, prosto pod nogi młodej dziewczyny w koszulce Legii.

ROZDZIAŁ 15

KTO TY JESTEŚ?

Przypominało to trochę jazdę naprawdę zapchanym autobusem, gdy każdy wokół ciebie próbuje już nie tyle znaleźć dla siebie miejsce, co wkomponować się w resztki wolnej przestrzeni, a do tego wszyscy są tak mokrzy i wonieją tak intensywnie, że nawet jeśli gdzieś między ludźmi zrobiła się luka, to i tak jest wypełniona ludzkim śladem. Czujesz się trochę tak, jakby kończyło się powietrze, jakby każdy oddech był płytszy, i wtedy umysł podpowiada, że w takim razie potrzebujesz ich więcej i szybciej. A gdy wszyscy wpadają na ten sam pomysł, to nagle resztka tlenu zmienia się w zepsute zęby, kiełbasy, miętę, ogórki, kawę, papierosy, trochę tuńczyka, anginową ropę i wszystko, czego tylko nie chcesz wciągać do swoich płuc. A potem, gdy już tłum odbierze ci oddech, zabiera też wszystkie kolory i zostawia zwykle bladą, eteryczną biel aż do wyciemnienia.

Tym razem zostawiał wściekłą czerwień.

Nie było tak, że w Kai coś eksplodowało w jednej chwili, ale czuła narastającą w każdej chwili wściekłość, i to taką, od której przebiegały ją na przemian fale gorąca i zimne dreszcze, po plecach i czole ciekł pot, a dłonie zrobiły się suche. Czuła, widziała, że świat jej się rozwarstwia, a ta jedna, odklejona płaszczyzna zawierająca wszystkie kontury zaczyna drgać, trząść się, swędzieć. Zaczyna bzyczeć.

– To tylko atak paniki – przekonywała się w myślach. A może na głos? Na placu Zamkowym panował harmider. Rowerzyści rozmawiający ze sobą, rowerzyści podniesionymi głosami dyskutujący z policją, hostessy z kawą Usawa (fair trade), turyści – a wszyscy tylko gadają i patrzą, gadają i patrzą, patrzą i gadają i gadają i gadają…

Zdała sobie sprawę, że zaciska palce na kierownicy. Że robi to za mocno. Że lada chwila coś pęknie – albo ona, albo ten cholerny, przeklęty rower, który miał być rozrywką, ot po prostu, ale nie, bo ona nie umie się tak zwyczajnie w nic, kurwa, nie wpierdolić! Nie potrafi zwyczajnie, nie da się!

Wszystko już widziała w czerwieni, a świat wydawał się wyłącznie bzyczeć, jakby wszyscy przeszli z polskiego na pszczeli. Bzzz bzzz kolarze

do wąsatych Januszów, bzzz bzzz bzzz japikurwaszony do lasek przypominających ukraińskie modelki, pewnie faktycznie przyjechały tu z Ukrainy, niby że na studia. Tak, kurwa, na studia! Bzzz bzzzz bzzzz przyjechały! Bzzzz bzzz bzzz ze wszystkimi, którzy tylko chcą bzzzz bzzzz bzzzz. Tak!

I jeszcze ci wielcy wizjonerzy, ci bzzzz państwo „to my jesteśmy ruchem", a w rzeczywistości potrafią tylko bzzz bzzz na policjantów, którzy też nic, tylko…

Mało jej nie rozniosło, gdy usłyszała jazgot karetek na sygnale, a potem te cholerne migające koguty. Widziała, jak wypadają z pojazdów młodzi lekarze i pielęgniarki, a wszyscy piękni, seksowni, jak nie ta, kurwa, służba zdrowia! Kaja wiedziała swoje, jej matka pracowała w służbie zdrowia i tam nikt nie ma siły wyglądać jak ci tutaj. No ale są, pewnie studenci albo świeżo po szkole, cholerne bzzzz bzzz bzzz, a z nimi jakiś facet, prosto do policji, a potem przez megafon o jakiejś chorobie, o kawie i żeby szybko przyjąć lekarstwo.

Macha jakimś papierem jak pojebany, kitel spływa mu czerwienią jak reszta świata. Nie, tego już dość! Ona tu tylko przyjechała pojechać na rowerze. Nie pisała się na żadne szczepionki, Afryki, żadne, kurwa, wielkie sprawy. I zamierzała to teraz powiedzieć.

Otworzyła usta i usłyszała swój własny krzyk:

– Bzzzzz bzzzzz bzzzzzz AUUUUUUU!!

Wtedy wszyscy faktycznie zwrócili na nią uwagę, a ona puściła kierownicę i rzuciła się do przodu. Ot tak, po prostu się rzuciła, bo miała coś do wytłumaczenia temu lekarzowi i ona mu bzzzzz. Ona im wszystkim zaraz bzzzzz. Oczy ją piekły, bo wszystko nagle zrobiło się takie jasne, choć czerwone. Nie… różowe. Różowe jak bzzzzzzzz jak pierdolone…

Ktoś ją złapał, więc kłapnęła zębami. I znowu, w jedną i w drugą, i kłap kłap kłap zębami, i kop kop kop nogami, i resztą tułowia szarp szarp szarp, aż pękła bluzka. Słowa uciekały jej z ust wraz ze śliną i bzyczeniem. Ktoś ten sam albo inny złapał ją za głowę i przytrzymał, a wtedy policyjna łapa w rękawiczce złapała ją za szczękę i siłą otworzyła. Lekarz wlał jej coś do ust. Smakowało gorzko, słodko, słono. Jak krew, jak cukierki, jak lekarstwo. Jak pszczoła, która wpadła do ust, wpadnie głębiej i użądli cię w gardło, umrzesz, umrzesz bzzzzzz!

A potem w jednej chwili wszystko odeszło. Jak paraliżujący i bolesny skurcz, który nagle się rozluźnia, zostawiając w mięśniu i umyśle dziwny

powidok tego, co jeszcze przed chwilą tu było. Nagłe rozluźnienie, a jednocześnie zaciemnienie obrazu. Zamrugała nerwowo, czując, że oczy pieką ją żywym ogniem, jakby ktoś sypnął w nie gorącym piaskiem.

– Już w porządku.

Poczuła, jak ktoś gładzi ją po policzku. Dziewczyna, młoda, pielęgniarka, ale wyglądająca jak gwiazda filmowa.

– Powinnaś zostać aktorką – chciała powiedzieć Kaja i powiedziała coś zupełnie innego.

Uniosła się lekko na palcach i rozejrzała. Zobaczyła, że w ogólnym zamieszaniu zgromadzeni na placu rowerzyści piją coś z małych kubeczków podawanych im przez lekarzy, pielęgniarki i policjantów.

– Już w porządku – powtórzyła pielęgniarka. – Teraz już wszystko będzie dobrze.

Jak w filmie, pomyślała Kaja. Jakby dziewczyna była aktorką w cholernym filmie o epidemii.

***

Gośka zamarła. Nie słyszała, jak przed momentem Witek wpatrzony w inne monitory ogłosił, że sytuacja na Zamkowym opanowana. Było kilka pojedynczych incydentów, ataków na policję, aktorów i innych rowerzystów, ale skończyło się raptem na paru ugryzieniach. Wszyscy pozostali, przekonani studenckimi umiejętnościami, a tym bardziej incydentami, karnie wypili Rodaka doprawionego goryczą.

– Zatem ta bomba już nam dziś nie wybuchnie – powiedział młodszy Łokietek.

W zasadzie mówił to do nikogo, bo cała pozostała trójka wpatrywała się na przemian w dwa ekrany. Na pierwszym jeszcze przed chwilą pokazywano transmisję na żywo z Pola, a teraz kamera wróciła do studia i dwójki gorączkowo rozmawiających ludzi. Żółty pasek na dole ekranu mówił o zamieszkach z udziałem narodowców na Mokotowie.

Drugi ekran pokazywał ujęcie z drona i właśnie było na nim widać, jak zbity w ciasną gromadkę tłum rozstępował się, wypuszczając ze środka krępego, łysego mężczyznę w czerwonej koszulce z czymś białym na piersiach. W jego stronę zmierzali już policjanci, ale wdali się w przepychanki z grupą młodych i nie mogli się przedrzeć. W samym środku kręgu natomiast na ziemi leżał…

– O mój Boże, Zawisza! – Gośka zasłoniła usta rękami. – On krwawi. On… nie żyje.

***

Czarnecki siedział na agregacie obok sflaczałego, częściowo złożonego dmuchanego pałacu i jadł batonik. Nie miał na sobie garnituru, lecz T-shirt, dżinsy i lekkie sportowe buty w stonowanym kolorze, które w ogólnym zamieszaniu pomagały mu się wmieszać w tłum. A on chciał być w tym tłumie, bo polecono mu naprawić sytuację i pozbyć się nowo zaistniałego problemu.

Więc zrobił to najlepiej, jak potrafił. Raz jeszcze ściągnął ludzi, tym razem nie, ilu mu dadzą, a wszystkich wolnych, jakąś dwudziestkę, przebrał ich w koszulki Legii i przywiózł tutaj, by działali. Wiedział, że krzywdzącym stereotypem było mówienie czy myślenie, że każdy, kto przywdziewa klubowe barwy, to imbecyl bijący się o obciągnięty skórą balon, jakby to było święte łono jego matki. Jednak każda drużyna, a zwłaszcza duża, ma takich debili dość, by ich nagła agresywność nie zaskakiwała już opinii publicznej. Wpisali się swoimi wybrykami w koloryt miasta jak korki czy złodziejskie fałszywe taksówki na Dworcu Zachodnim.

Teraz gryzł, żuł i patrzył, jak jego ludzie najpierw odciągają uwagę policji, potem atakują reporterów, a wreszcie prowokują reakcje tłumu, gdy walka potoczyła się inaczej, niż powinna. Radzili sobie świetnie, choć Bogiem a prawdą, nie mieli trudnego zadania. Oskarżyć o coś Murzyna to prawie jak Cygana – gdy wpierdol na pewno się za coś należał, trafność zarzutu nie miała aż takiego znaczenia. Równie dobrze mogli zakręcić kołem i wybrać samogłoskę. A to, że spora część obecnych była pod wpływem Rodaka? Nawet lepiej, po prostu się nie mieszali. Kluczowe przecież było, by ci, którzy mają działać, dostali na to bierne przyzwolenie bez ryzyka oporu.

Czarnecki uniósł rękę i spojrzał na zegarek, na którego grafitowej tarczy znajdował się czarny krzyż. Zmrużył oczy, by dostrzec godzinę w mocnym słońcu, i dojadł batonik. Na Zamkowym właśnie powinno się wszystko zaczynać. Faza stadionowa też była już przygotowana. Tu mogło potrwać jeszcze chwilę, ale…

Tłum zaciskający się wokół Zawiszy niczym pętla właśnie się rozluźnił. Dziewczyna od starych samochodów przed momentem ruszyła w stronę

zgromadzonych, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Teraz już biegła.

– Mogło pójść lepiej, ale jakoś poszło – powiedział Czarnecki.

Zwinął opakowanie w kulkę i cisnął je na gumowy materiał zamku. Srebrna folia rozwinęła się niczym rozkwitający pąk i zsunęła się na trawę.

***

Bliźniaki bardzo chciały zobaczyć, co się dzieje za ludźmi, ale Mariacki nie zamierzał im tego pokazywać. Poprosił jednego ze strażaków, by ten poczekał z maluchami, a sam podbiegł do rzednącego tłumu. Przede wszystkim interesowało go, czy ten przerażający drań, z którym jednak walczyli po jednej stronie, dał radę wielkiemu i zapewne wysportowanemu czarnuchowi.

Odpowiedź dostał, zanim się dopchał na miejsce. Dostrzegł Ordona otoczonego świtą legionistów niczym… jak oni się cholera nazywali? Ci, co otaczali Cezara i innych cesarzy Rzymu? Kiedyś Mariacki to pamiętał. Znał się na starożytnym Rzymie i potrafił godzinami dyskutować o jego potędze. Miał nawet plan, by wytatuować sobie SPQR i rzymskiego orła, ale potem wybrał jednak polskiego wilka, tyle że w przecenie, przez co zwierzak wyglądał jak labrador z zespołem Downa.

Pretorianie, no właśnie! – przypomniał sobie. Ci kibole byli wokół Ordona niczym pretorianie. Straż przyboczna strzegąca go przed wrogiem, którym w tym momencie zapewne będzie policja. Zależy, co zrobił temu czarnemu. Jeśli tylko trochę go obił, pewnie obejdzie się bez aresztowania, bo wszyscy już mają dużo – a będą mieli jeszcze więcej – roboty z tymi wszystkimi jęczącymi japiszonami z Domaniewskiej. Gorzej, jeśli zrobił mu coś więcej. A to możliwe, mówili wszak o Ordonie, przerażającej legendzie ustawek.

Tłum mocno się przerzedził, więc Mariacki musiał się przepchać tylko przez tych stojących najbliżej, bo zablokowali mu drogę, rozstępując się przed drobną dziewczyną w stroju warszawskiego taksówkarza. Ta upadła na kolana przy Murzynie, sprawdziła mu puls, po czym rozchyliła rozciętą kamizelkę, by obejrzeć ranę. Wtedy Mariacki zobaczył, że czarny na szerokiej piersi miał wytatuowanego białym tuszem polskiego orła. Teraz, za sprawą Ordona, przeciętego na pół.

***

Zawisza leżał na łące, gapiąc się na krążące nad nim kruki. Był gorący dzień, wokół czuć było smród krwi, fekaliów i rozgrzanej blachy; rżenie niedobitych koni i jęki rannego kwiatu rycerstwa niosły się z daleka i bliska. Leżał z rękami pod głową, w ustach trzymał źdźbło trawy, oczy mrużył od słońca. Pęknięty hełm i wgnieciony napierśnik, który z trudem udało mu się zdjąć, ułożył teraz obok siebie, podobnie jak rękawice i całe naręczaki. Wyglądało to tak, jakby miał ze sobą towarzysza, który przyjął taką samą pozę co on.

Między krukami a trupami i rannymi krążyli zakonnicy. Wśród nich Zawisza dostrzegł jedną znajomą twarz, ale nie miał pojęcia, skąd kojarzy akurat tego mnicha. Coś w jego głowie mówiło mu, że z daleka, z Afryki, gdzie zakonnik przybył po tym, jak po służbie w wojsku odkrył powołanie, ale Zawisza przecież nigdy nie był w Afryce, a poza tym ta myśl pełna była dziwnych obrazów i urządzeń, więc uznał ją po prostu za omam wywołany upałem i ranami.

Mimo to zakonnik, gdy go dostrzegł, uśmiechnął się i podbiegł szybko, sadząc susy między ciałami. Odetkał bukłak z wodą, który miał pod pachą, i przyklęknął przy Zawiszy.

– Dziękuję – odparł rycerz i dotknął ciepłego bukłaka leżącego nieopodal. – Mam swoją. Kim jesteś, bracie?

Zakonnik wzruszył ramionami.

– A to ma znaczenie? Pytanie, kim ty jesteś, czarny przyjacielu.

Zawisza podniósł się nieco i zrobił daszek z dłoni, by przyjrzeć się twarzy mężczyzny.

– No przecież właśnie to powiedziałeś. Mój przydomek: Czarny.

– Ależ skąd!

Zakonnik uśmiechnął się tajemniczo i wtedy nagle okazało się, że to, co wcześniej wydawało się wielkimi cieniami pod jego oczami, stało się dziwną zasłoną pozbawioną reszty hełmu, za to lśniącą srebrzyście niczym dwa zwierciadła. Zawisza dostrzegł w nich, że rzeczywiście skórę ma teraz ciemną, jakby go opalono w ogniu. Widywał kiedyś takich ludzi o podobnych płaskich, szerokich nosach i wydatnych wargach. Spotkał ich podczas swoich podróży, ale przecież od samego patrzenia na nich nie mógł się tak po prostu upodobnić. To tak nie działało, bo na wygląd człowieka składa się…

W jego głowie pojawiło się nagle tysiąc myśli i słów, jakich nigdy wcześniej nie słyszał ani nie wymówił. Teraz jednak w pełni docierało do

niego ich znaczenie. Odchylił głowę, jakby się bał, że wycieką mu nosem, jak krew, gdy się w niego oberwie. Kiedy potok myśli wysechł, Zawisza potrząsnął energicznie głową i znowu spojrzał na zakonnika. Ten wciąż miał na nosie okulary lustrzanki, do tego teraz ubrany był w piaskowe spodnie i tego samego koloru koszulę z krótkim rękawem i koloratką. Na nogach miał wysokie, sznurowane buty, a w dłoni trzymał nie bukłak, lecz manierkę.

– Kim jestem? – zapytał Zawisza.

– Wiesz – odparł ojciec Jan. – Wiesz, ale możesz to powiedzieć. Pamiętasz wierszyk, który razem napisaliśmy?

Zawisza już chciał powiedzieć, że nie, ale wtedy go olśniło. Poderwał się i nagle poczuł palący ból promieniujący przez pierś.

– Uważaj, nie jesteś nieśmiertelny – powiedział ze śmiechem ojciec Jan, zupełnie jakby to był najlepszy dowcip świata.

Dla nich był, zwłaszcza gdy Zawisza dopełnił go ripostą:

– Ale jeszcze nie umieram.

Misjonarz pokiwał głową wyraźnie zadowolony.

– A teraz wierszyk – powiedział. – I pobudka.

***

Sawka dopadła do Zawiszy, runęła na kolana i zaraz się upewniła, czy Murzyn żyje. Jeszcze się trzymał, choć puls to pojawiał się, to niemal niknął, a z rany na piersi płynęła krew. Przełknęła rosnącą jej w gardle gulę, ręką starła łzy i już odwróciła się, by zawołać o karetkę, gdy nagle Zawisza otworzył oczy.

– Hej, Czekoladko – powiedziała. – Zaraz będzie pomoc, a wtedy…

Zawisza poruszył ustami. W pierwszej chwili bezdźwięcznie, ale zaraz jego pierś poruszyła się raz i drugi niczym miech kowalski, w oczach oprócz bólu pojawił się żar, a słowa nabrały mocy.

Kto ty jesteś?

Polak mały.

I co z tego, że nie biały?

Ze złamanym nosem mówił niewyraźnie, a do tego raz przerwał, by splunąć na bok krwią. W tym czasie jego ręka poruszyła się i zaczęła uderzać o ziemię, jakby samoistnie szukała czegoś po omacku. Faktycznie

znalazła i zacisnęła się na rękojeści leżącego tam porzuconego dwuręcznego miecza.

Nie nazywam się Kowalski,

nos mam duży, no i płaski…

Zawisza szarpnął się i uniósł na łokciu. Sawka chciała mu pomóc, bo grymas bólu wykrzywił mu twarz, ale tylko pokręcił głową. Usiadł, dociągnął miecz, wsparł się na nim i powoli podniósł się najpierw na kolana, a potem na proste nogi.

Lecz choć zrodzon z czarnej ziemi,

tutaj jestem między swemi.

W Polskę całym sercem wierzę

i chcę zostać jej rycerzem!

Ostatnie słowa zagrzmiały niczym ryk, zupełnie jakby wyrwały się nie z ust, a prosto z krwawiącej piersi, na której widniał teraz rozcięty na pół biały orzeł. Zawisza dyszał ciężko, ale stał pewnie na nogach, obie ręce spoczywały na głowni potężnego miecza.

Sawka poderwała się z miejsca i stanęła obok niego, patrząc, jak Ordon się odwraca, a wraz z nim zwracają się ku nim fałszywi legioniści. Znała gęby tamtych, całej Żylety, a pewnie i większość obecnych na jakichkolwiek ustawkach; z tych tutaj nie rozpoznawała żadnego.

– Co tam, panowie? – zapytała. – Mam tak samo jak wy miasto moje, a w nim… solidnie wkurwionego czarnego patriotę. Jesteście na to gotowi?

Z satysfakcją dostrzegła przestrach na ich twarzach. Przez większość przemknął niczym cień, ale na jednej, tej należącej do wytatuowanego na głowie krępego drania w koszulce z orłem, został na dłużej.

Fałszywi legioniści dobyli składanych pałek i pochowanych po kieszeniach noży. Dwóch, czego Sawka wcześniej nie zauważyła, miało przy sobie krótkie kije bejsbolowe z podobiznami Małego Powstańca.

– Chciałabym widzieć, co zrobi z wami Legia za używanie ich barw – powiedziała, nakładając wyjęty z kieszeni kastet. – Naprawdę najchętniej zostawiłabym to właśnie im i obejrzała sobie takie starcie, bo to zwycięstwo niezależnie od wyniku. Ale dziś chyba załatwimy to między sobą, co Czekoladko?

Spojrzała na Zawiszę, a ten wyszczerzył zęby w uśmiechu jednocześnie tak szczerym, pogodnym i paskudnym, że już sam ten grymas, bez dołączonych do niego przeszło stu kilogramów mięśni uzbrojonych

w wielki dwuręczny miecz, budził przerażenie. To był uśmiech kogoś, kto mówi: moja kolej!

– Nie jestem nieśmiertelny – powiedział zamiast tego Zawisza. – Ale jeszcze nie umieram.

Wtedy na niego ruszyli, a on, zaciskając zęby z bólu, powoli uniósł miecz.

Pierwszy z biegnących fałszywych legionistów zdołał się schylić, więc nie udało się, co było zamiarem Zawiszy, zdjąć dwóch naraz jednym uderzeniem. Drugi jednak oberwał tępym sztychem w głowę. Obrócił się w miejscu, jakby próbował się wkręcić w ziemię, i padł z przetrąconą szczęką. Tego, który uniknął miecza, dopadła Sawka. Podcięła go wślizgiem, a potem wskoczyła na niego i pozbawiła go przytomności dwoma dobrze wymierzonymi ciosami prosto w twarz.

W tym czasie kolejni czterej ruszyli w stronę pary, tym razem obchodząc ich ostrożnie szerokim łukiem aż do momentu, gdy znaleźli się po czterech stronach. Wtedy ci z przodu zamarkowali ciosy, a ci z tyłu zaatakowali.

– Uważaj! – krzyknęła Sawka, gdy Zawisza już brał zamach, zupełnie jakby złapał się na trik. Zaraz jednak miecz przeciął powietrze, Czarny poszedł za jego impetem, skręcając tułów i przenosząc ciężar ciała na drugą nogę. Obaj legioniści uskoczyli, ale niewiele im to dało, bo Zawisza z niebywałą gracją zawinął mieczem i błyskawicznie zaatakował od drugiej strony. Jednocześnie Sawka ustawiła się tyłem do niego i z wysoko uniesioną gardą broniła jego pleców. Unik, cios, obrót, zamach, dwa szybkie uderzenia. Unik, zastawa, cios z dołu, z góry. Pracowali, jakby ćwiczyli to od dawna. On trzymał ich na dystans lub roznosił z ogromną siłą, gdy ktoś nawinął się pod jego miecz; ona z szybkością i bezwzględną, bezlitosną gracją biła kastetem, gdy tylko któremuś udało się przedrzeć bliżej. Dopóki skupiali się na defensywie, stanowili obronę nie do przebicia. A gdy zdecydowali się na atak, ruszyli tak gwałtownie, że część adwersarzy zwyczajnie rzuciła się do ucieczki.

Ci sami ludzie, którzy jeszcze przed chwilą zamykali krąg wokół Zawiszy, pozwalając go dźgnąć, patrzyli teraz, jak ten czarny olbrzym, brocząc krwią, wywija nad głową potężną bronią, z jaką gracją kręci młynki, tnie od góry do dołu, wyrzuca przeciwników na lewo i prawo. Widzieli, gdzie szedł i po kogo. Wiedział o tym sam zainteresowany, który choć starał się trzymać fason, odruchowo cofał się o krok na każdy, coraz bliższy wymach miecza.

– Dawaj, czarny! – krzyknął ktoś, a choć nie poniosło się to takim echem jak wcześniej ataki w stronę Zawiszy, i tak stanowiło względem nich spory postęp. – Zrób mu z dupy Grunwald!

Zawisza parł przed siebie. Trzaskały żebra, szczęki, ręce. Każde uderzenie sięgające celu wiązało się z choć jedną złamaną kością, tak jak każdy wyskok Sawki miał większe niż połowiczne szanse na nokaut. W pewnej chwili nie został już nikt, kto chciałby z nimi walczyć.

Zawisza raz jeszcze machnął mieczem, po czym wbił go w ziemię i wsparł się na nim, głośno dysząc. Od Ordona dzieliło go raptem kilka kroków, ale Czarny albo nie mógł, albo nie chciał już pokonywać tego dystansu. Patrzył tylko na swojego przeciwnika, który, tak jak on sam, miał na piersi białego orła.

– W Polskę całym sercem… – zaczął, ale osunął się na kolana.

Ordon uśmiechnął się na ten widok i postąpił krok do przodu. A potem kolejny. Wiedział, że nie ma zbyt wiele czasu. Zaraz obejrzy się ta mała, zaraz dopadnie go biegnąca już w tę stronę policja. Wcześniej spławili ją legioniści, ale teraz nie miał kto. Widział też zmierzających w swoją stronę strażaków. Nawet tłum był zdecydowanie mniej po jego stronie.

Coś mówiło mu w głowie, że może, a nawet powinien odpuścić, ale odpędził tę myśl. Prawdziwy bohater nie odpuszcza, nie daje za wygraną. On ponosi konsekwencje zarówno porażek, jak i zwycięstw. Dobył noża, patrząc na ciężko dyszącego Zawiszę. Murzyn oglądał się na dziewczynę siedzącą okrakiem na jednym z tych dzielnych chłopaków. Ktoś krzyknął ostrzeżenie, jakieś „uważaj” czy coś takiego. Nie zdążą, nikt nie zdąży. Ordon uniósł nóż…

Zawisza poderwał jedno kolano, wyrwał miecz z ziemi i ciął nisko. Ordon nie zdołał uskoczyć. Tępy miecz uderzył w bok jego kolana z tak potężną siłą, że nie tylko rozległ się głośny trzask i wrzask narodowca, ale też on sam poleciał podcięty w bok. Zawisza podniósł się na nogi i uderzył jeszcze raz, tym razem z góry, w żebra, a potem trzeci raz w ramię. Obu głuchym uderzeniom towarzyszył dźwięk gruchotanej kości i przeraźliwy krzyk Ordona.

Zawisza odrzucił miecz, uniósł ręce do góry, a następnie zaplótł je na karku.

– Skończyłem – powiedział.

Zachwiał się, przewrócił oczami i runął na ziemię bez przytomności. Sawka doskoczyła do niego i jeszcze raz sprawdziła mu puls.

– Będzie potrzebował karetki. Pilnie – powiedziała do mierzących do niej z broni, nieco zaskoczonych policjantów. – Albo najlepiej helikoptera.

To powiedziawszy, uniosła ręce i zaczęła machać na krążący nad nimi śmigłowiec. Policjanci patrzyli na nią zdezorientowani.

– Ale pani rozumie, że jesteście aresztowani, prawda? – zapytał ten najśmielszy. – Musimy was zabrać, bo…

– Bo chcecie mieć przewalone za aresztowanie największego polskiego patrioty, tak? – zapytała Sawka, wciąż machając na śmigłowiec i pokazując mu, by wylądował.

– Jaki to patriota? – zdziwił się policjant. Rozejrzał się nerwowo w poszukiwaniu aprobaty u kolegów. Nie znalazł.

– No normalny, polski. Ze Śląska przyjechał.

– Ale on jest czarny – zauważył drugi z policjantów i trudno było powiedzieć, czy poważnie, czy żartem, bo gębę miał taką, że na dwoje babka.

– No przecież mówię, że ze Śląska, to jaki miał być, niebieski? – Sawka westchnęła, jakby musiała coś tłumaczyć wyjątkowo opornemu dziecku. – Dlatego się zresztą tak nazywa. Zawisza Czarny.

– Jak ten rycerz?

– Brawo, panie historyk, świetnie! – pochwaliła, już prawie przekrzykując dźwięk wirnika. – Pewnie poznałeś po mieczu? No, a teraz odsuńcie się, panowie, bo ten helikopter ląduje i musi mieć miejsce!

– Ale jesteście aresztowani – przypomniał nieśmiało policjant.

Sawka wyjęła z kieszeni papierosy. Wsunęła jednego do ust, odpaliła i zaciągnęła się dymem.

– Cokolwiek cię kręci, złotko! – zawołała, przytrzymując kaszkiet. – Byle ten olbrzym trafił zaraz do szpitala.

***

Mariacki nie mógł uwierzyć w to, co jeszcze przed chwilą widział, i właśnie docierała do niego powoli myśl towarzysząca ludziom, którzy cudem nie weszli pod samochód albo zatrzymali się tuż przed spadającą z czyjegoś okna doniczką. Gdybym się nie cofnął, ten wielki miecz przeciąłby mnie na pół! Było to pewne nadużycie, zważywszy na to, że miecz był jedynie tępą atrapą albo sprzętem treningowym, ale Mariacki nie

zamierzał się tym przejmować. W końcu któż miał większe prawo przesadzać niż człowiek, który właśnie cudem uniknął śmierci?!

Najgorsze było jednak to, że choć wszystko tu wyglądało jak w jakimś zwariowanym filmie, finał tej historii kompletnie nie przypominał rzeczywistości ekranowej. W filmach pokonany czarny charakter owszem, czasem wraca do świata żywych, ale tylko po to, by przestraszyć widza, a potem oberwać jeszcze solidniej. Nie zdarzało się raczej, by zyskiwał nagle nowe siły, a potem spuszczał łomot wszystkim prawdziwym bohaterom za pomocą wielkiego miecza. Choć Mariacki rozumiał, że kino może się zmieniać, że teraz zakończenia mogą być niejednoznaczne – bo takie jest życie, toczy się jak filmy Patryka Vegi – to jednak taki scenariusz nie przychodził mu do głowy.

A teraz patrzył wraz z wszystkimi pozostałymi na Polu Mokotowskim, jak ta mała siksa w kaszkiecie pomaga pilotowi władować wielkiego, nieprzytomnego Murzyna do helikoptera. Co gorsza, patrzyła też na to cała zebrana policja i żaden nie zaprotestował.

– Puścicie go tak po prostu? – zapytał w końcu najbliższego policjanta.

Tamten wzruszył ramionami i podrapał się pod policyjną bejsbolówką.

– Gość potrzebuje pilnie szpitala. Jest nieprzytomny i leci z policjantem. – Wskazał ręką na mundurowego, który najwyraźniej już wcześniej wsiadł do helikoptera w miejsce nieco protestującego operatora kamery i pomógł wciągnąć do środka Zawiszę.

Mariacki nie wydawał się przekonany, ale wiedział, że nie ma sensu wdawać się w dłuższe dyskusje, jeśli nie chciał zwracać na siebie szczególnej uwagi.

– A co z nimi? – zapytał tylko, wskazując poobijanych legionistów i Ordona. – Dla prawdziwych patriotów też będą karetki?

Policjant odwrócił się i spojrzał Mariackiemu prosto w oczy.

– Mój kuzyn grał w Legii – powiedział.

– No właśnie, a to są kibice…

– Grał, w czasie przeszłym, bo w którymś meczu w kluczowym momencie przestrzelił i jego właśni kibice dali mu potem lekcję na parkingu. Przesadzili, on upadł i zarył głową w chodnik. Mówi wolniej, czasem odpływa, ale mimo wszystko ciągle kocha swój klub. – Zrobił pauzę, poprawił czapkę, nasunął daszek mocniej na oczy. – Pan wybaczy, ja już nie.

Mariacki chciał jeszcze coś dodać, ale wtedy dopadły go bliźniaki. Wyrwały się pilnującemu ich strażakowi, a buźki obojga wyglądały, jakby ktoś je ponaciągał – wielkie oczy, szeroko rozdziawione buzie, w źrenicach fajerwerki zachwytu.

– Ależ to było super, tato! – przekrzykiwały się nawzajem. – Widziałeś, jak on wywijał? Rach, ciach, i łup, i dup!

Dzieci zaczęły udawać, że walczą na miecze, i naśladować w zwolnionym tempie niedawno widziane ruchy.

– Jak dorosnę, też chcę być taki czarny – zapowiedział chłopczyk.

A jego dobrze i po katolicku wychowana siostra złożyła ręce jak do modlitwy i powiedziała:

– A ja będę się modlić o takiego męża.

Mariacki przypomniał sobie o rozpłatanym na pół tatuażu białego orła na czarnej piersi i zrobiło mu się słabo.

***

– Nie znamy się, prawda? – zapytała Sawka, wchodząc do śmigłowca. Pilot odwrócił się do niej, pokręcił głową i wyciągnął rękę.

– Wawrzyniec.

– Sawka. – Uścisnęła podaną dłoń. – Dzięki za pomoc.

– To ja dziękuję za uwolnienie mnie od tego palanta z kamerą. Darł się na mnie jak głupi, panikarz, gdy was wtedy wziąłem na hol.

Uśmiechnęła się smutno i spojrzała na wciąganego do środka Zawiszę. Nie wyglądał dobrze; trzepotał oczami, oddychał płytko przez zalane krwią usta, a z rany na piersi wciąż sączyła się krew.

– Lecisz z nami? – zapytał Wawrzyniec.

Pokręciła głową.

– Nie, ale mundurowy to przyjaciel, powie ci, gdzie powinieneś go zabrać… – zawahała się – o ile oczywiście zechcesz nam pomóc.

Pilot się roześmiał.

– Całe życie w służbie prawa i porządku – powiedział. – Chyba mogę sobie pozwolić na krótkie wakacje dla takiej sprawy, nie?

– Pewnie tak.

Uśmiechnęła się do pilota, jeszcze raz podała mu rękę i wysiadła. Gdy wyszła poza zasięg wirnika, natychmiast otoczyli ją policjanci.

– Jestem aresztowana, wiem. – Westchnęła ciężko. – Możemy tylko zaczekać, aż odlecą, proszę?

Wszyscy spojrzeli na grubszego, starszego gościa z przerzedzonymi, zaczesanymi do tyłu włosami i ironicznym uśmiechem czającym się w kąciku ust, a każdemu Polakowi z miejsca przywodzącym na myśl Janusza Gajosa. Facet pokiwał głową, gładząc zawieszoną na piersi odznakę.

– Jasne – jeden z mundurowych zwerbalizował ten gest. – Tylko żadnych sztuczek – dodał, ewidentnie nie mogąc się powstrzymać.

– Żadnych. – Sawka podniosła dwa palce, co przypominało gest ślubowania, choć zwykle w takich momentach nie trzyma się między nimi papierosa.

Helikopter wzniósł się majestatycznie i odleciał w stronę Żoliborza, by już wysoko i w pewnym oddaleniu nagle zmienić kierunek. Funkcjonariusz „Żadnych sztuczek” pierwszy opuścił wzrok.

– No dobr… – zaczął, ale urwał nagle i rozejrzał się gwałtownie. – Ej, gdzie ona jest?!

Zaalarmowani policjanci podjęli poszukiwania, ale im również nie udało się wypatrzeć Sawki. Zupełnie jakby w jednej chwili zapadła się pod ziemię.

ROZDZIAŁ 16
PO BITWIE

Gośka nie przestawała się gapić w pożyczony telefon, na którym teraz już przez cały czas znajdowało się imię jej byłego męża i numer telefonu. Walczyła ze sobą, by nie dobijać się częściej niż raz na dwie minuty, ale przychodziło jej to z coraz większym trudem. Tymczasem jego numer był ciągle albo zajęty, albo niedostępny, a na SMS-y nie odpowiadał.

– Zawisza w powietrzu – poinformował Władek. – Lecą na Wolę i stamtąd tunelem.

– Trzeba przygotować ambulatorium – stwierdził Pająk. – I znaleźć kogoś, kto go tu pozszywa, skoro nie ma…

– Limanowski właśnie wszedł do służewskiego tunelu – powiedział Witek.

Obaj z bratem siedzieli przy ekranach i tylko przełączali obrazy, przeskakując z kamer przemysłowych na telewizyjne i internetowe wiadomości, to znów na prywatne kamerki. Pole Mokotowskie, Stare Miasto, okolice Stadionu, dworzec, rondo de Gaulle'a… Gośka coraz mocniej chciała ich poprosić, żeby pokazali jej okolice Sheratona albo wysłali tam któregoś z tych ich Wacków.

– Limanowski nie mówił, że łobi przełwę? – zdziwił się Władek, na co drugi Łokietek rozłożył ręce.

– Pewnie się łozmyślił, nie wiem… Oho, temat z Zamkowego jest na wszystkich sełwisach, a na pasku Pole Mokotowskie. Polsat nawet przełwał płogłam, by nadać wiadomości. Piszą o zamachach tełłołystycznych i epidemii.

– Jest też komunikat w spławie meczu – wtrącił się Władek. – Konfełencja płasowa UEFA, przenoszą mecz ze względu na sytuację!

– No to teraz się zacznie. – Pająk poskrobał się po głowie. – Dobrze, jedna rzecz naraz. Witku, sprawdź, czy coś jeszcze może nam się zapalić pod dupą. Do tej pory braliśmy pod uwagę stadion, ale to już raczej nieaktualne. Jeszcze jakiś punkt styku dla lewych i prawych?

– Już spławdziłem i chyba nie. Znaczy zawsze są te debile z Oenełu, któłym nigdy nie wiesz, co odwali, ale tełaz to są chyba też albo na

przemałszu, albo…

– Dobra – wszedł mu w zdanie Pająk. – Pilnujemy zatem przemarszu, tam będziemy patrzeć. Jak Sawka?

– Stoi przy syłence i ogląda zniszczenia. Wzięła nową słuchawkę, więc jesteśmy w kontakcie. Mówi, że odmalować, tłochę wyklepać i będzie dobrze. Może jeździć i jest gotowa.

Gośka słuchała tego wszystkiego jednym uchem. Znowu zerknęła na telefon, wznosząc ku niebiosom tę samą prośbę. I tym razem niebiosa zareagowały.

– Tak, Mirek? Chciałam wiedzieć, co u was, tak… A, próbowałeś zwrócić bilety?… No tak, tak, słyszałam, co się u was dzieje, tak. Że jakieś zamieszki… Ale właśnie mówią, że mecz jest odwołany i… Tak, oczywiście, przyjeżdżajcie! To bardzo rozsądne z twojej strony i… Tak, wiem, że też ci zależy. Dziękuję. Dobra, nie przeszkadzam. I czekam.

Rozłączyła się i szybkim ruchem przetarła oczy.

– Będę się musiała jeszcze dziś dostać do Wrocławia – powiedziała. – Mirek martwi się tym, co się dzieje, i zamierza przywieźć Pawła do mnie.

– To chyba dobrze, nie? – zapytał Witek i w tym samym momencie otworzyły się drzwi ambulatorium.

– Gdzie pacjent? – zapytał Limanowski, już w fartuchu, nakładający na rękę niebieską rękawiczkę. – Bo widziałem w telewizji, że ostro go poharatali.

– Już leci, będzie do… – Władek wstukał coś na ekranie – …piętnastu minut.

– Słyszałam, że odwołali mecz – powiedziała Gośka. – To chyba małżonka niepocieszona, że nic nie wyszło z protestu?

Limanowski machnął ręką.

– E, wróciła do domu już z półtorej godziny temu – odparł. – Powiedziała, że wszystkie miały dość, a potem przyszedł ten znajomy Kryśki, który im załatwił wejście, i okazało się, że to jakiś straszny, szowinistyczny dupek. Zachowywał się tak, jakby chciał je wszystkie sprowokować jakimiś głupimi tekstami o tym, że się źle ubrały, że to prawie jak sygnał jest, bo takie czarne ciuchy to teraz prowokują, i że w ogóle to on tu pomaga, ale nie rozumie tego całego halo. Potem, jak się rozkręcił, to je nawet zaczął wyzywać. No to się wkurzyły i sobie stamtąd poszły.

Gośka i Pająk wymienili spojrzenia.

– Czy one tam piły kawę? – zapytał Pająk.

– Och, i to ile! – Limanowski pokręcił głową. – Mówię wam, ona teraz chyba tydzień nie zaśnie. Przyszła i zaraz wzięła małą na spacer, bo nie mogła usiedzieć.

– A jaką?

– Nie wiem, była tam już, jakaś z promocji.

– I nie pobiły tego faceta?! – zdziwiła się Gośka. – Żadnej z nich nie odbiło, gdy je tak wyzywał? Nie wściekły się?

Limanowski się roześmiał.

– Wera mi to kiedyś tłumaczyła – odparł. – Oglądaliśmy *Avengers* i ktoś zapytał tego wielkiego, zielonego…

– Hulka – odruchowo uzupełnił Witek, nie odrywając wzroku od monitora.

– No właśnie, tego Hulka. Ktoś go zapytał, jak kontroluje swoją wściekłość, żeby móc się zamieniać z człowieka w bestię. No i odpowiedział, że sekret jest prosty – on jest wściekły cały czas. Wera mówi, że jeśli chodzi o szowinizm, to one mają tak samo. Sytuacja jest tak zła, że są wściekłe stale, więc trudno wyprowadzić je z równowagi.

– Zawisza już w tunelu – odezwał się Władek, nie dając wybrzmieć mądrości lekarza. – A, na pasku wiadomości w Jedynce idzie właśnie infołmacja, że Murzyn pod wpływem nałkotyków zmasakłował na festynie patłiotów przy pomocy miecza. A obok jest sonda SMS, co sądzisz o przyjmowaniu uchodźców z Afłyki!

Nikt tego nie skomentował.

***

Chwilę wcześniej Świtoń usłyszał komunikat podany przez megafon. W pierwszej chwili był przekonany, że ktoś robi sobie z niego żarty, że to wygłup, ale potem się zorientował, że faktycznie komunikat dochodzi z radiowozu, a tych nagle namnożyło się wokół ulicy, jakby się spodziewano najgorszego. I słusznie, pomyślał Świtoń. Ale zaraz będzie dym!

Rzeczywiście, wieść o tym, że w mieście jest zagrożenie terrorystyczne i najprawdopodobniej epidemiologiczne, a przez to UEFA zdecydowała o przeniesieniu meczu, natychmiast spowodowała szemranie, a nawet pojedyncze, pełne gniewu okrzyki po hiszpańsku. Co zaskakujące, gniew

ten nie narastał z czasem. Nie było jak zawsze, że coś, co zaczynało się cicho, z minuty na minutę rosło i potężniało jak stopniowo podkręcany potencjometr głośności. Nie buchnęły flary, nie zatrąbiły trąbki niczym bojowe sygnały. Nikt nie wlazł na latarnię, by wrzasnąć, kto powinien na niej zawisnąć zamiast liści, ani też nie zaproponowano naprzemiennej metody uporania się z czerwoną hołotą.

To było zdumiewające, ale nie oberwało się dawnej władzy, gejom, lewakom, policji, prezydent miasta. Nie rozległo się nic prócz zbiorowego okrzyku zawodu. A potem zgromadzony tłum zaczął rzednąć, rozchodzić się, niknąć niczym wysychający latem strumień.

Duch w narodzie umiera, pomyślał Świtoń, po czym sprawdził w aplikacji tramwaje do domu.

***

Sawka dotarła do garażu, gdy Limanowski kończył zszywać Zawiszę. Przez cały ten czas Murzyn był przytomny – co lekarza nic a nic nie zdziwiło – i od pewnego momentu już nawet trochę dowcipkował. Tuż obok jego łóżka siedziała Gośka, gotowa oddać Czarnemu trochę krwi. Okazało się, że oboje mają tę samą, dość rzadką grupę, której nazwę Sawka zapomniała już w chwili, gdy ją usłyszała.

– Jak samochód? – zapytał Zawisza.

Wzruszyła ramionami.

– Wszystko do zrobienia oprócz odcisku twojej dupy na siedzeniu, Czekoladko – odparła. – Odgniotłeś je tak, jakbyś zrobił cholerny odlew…

Popatrzyła na orła na jego piersi, teraz ściągniętego i połączonego w jedno rzędem zielonych szwów.

– No ale poza tym spisałeś się nieźle – dodała i wskazała na ranę palcem. – A to będzie dość symbolicznie wyglądać.

Spróbował spojrzeć, ale odpuścił i westchnął ciężko.

– Słyszałem, że przenieśli mecz – powiedział. – Szkoda, cholera. To był jedyny wolny termin, jaki miałem. Chciałem zobaczyć Kubę w akcji.

– Jak się uda, zobaczysz go na żywo… – powiedziała Sawka, po czym zasłoniła dłonią usta, jakby coś chlapnęła. Widząc jego zaskoczone spojrzenie, machnęła ręką. – Pająk coś załatwia, bo podobno mieliśmy kiedyś w sieci ojca Lewandowskiego i kilku z reprezentacji z nami sympatyzuje. Nie wiem, czy akurat Błaszczykowski, bo mógł sobie do

serca wziąć te obrazki, gdy to z niego kiedyś robili bohatera, Kapitana Polskę, i teraz się wkurzać na konkurencję. No ale zobaczymy.

Przyłożyła palec do ust i mrugnęła porozumiewawczo.

– Tylko wiesz, to tajemnica, więc nie mów, że wsypałam.

– Nikomu ani słowa – zapewnił.

Przez moment wyglądał, jakby mocno się nad czymś zastanawiał. W końcu zapytał:

– Myślisz, że to już koniec?

Pokręciła głową z wyraźnym rozbawieniem.

– Ktokolwiek to był, powstrzymaliśmy go na chwilę, Czekoladko. Ale nie sądzę, by to był prawdziwy koniec – odparła. – Bitwa? Owszem, punkt po naszej stronie, ale wojna? Tak naprawdę, to myślę, że to wszystko dopiero się zaczęło.

Zawisza pokręcił głową z rezygnacją.

– Oby druga runda nie zaczęła się za szybko – powiedział – bo od jutra przez cały tydzień powinienem być w Katowicach.

EPILOG

Czarnecki wsiadł do taksówki i podał kierowcy adres w Konstancinie. Jadąc, przeglądał na telefonie wiadomości z polskich i zagranicznych serwisów. Kilka minut temu zadebiutował w internecie materiał kręcony z helikoptera, pokazujący walczącego Murzyna pośród tłumu napierających zombie w garniturach. Była tam też taksówkarka prująca do wszystkich z karabinu, a potem ujęcia z walki na miecze. Sieć i telewizje z całego świata już zadawały sobie pytania, kto to jest, z kim i z czym mają do czynienia.

„Świat żywych trupów?" – pytał TVN. „Czarny Bohater Warszawy kontra zombie!" – donosił natemat.pl. Śląskie serwisy pyszniły się, wyjaśniając przy okazji częściowo zagadkę tożsamości herosa, że „śląski bohater na wyjeździe ratuje stolicę", a Wirtualna Polska w dziale motoryzacyjnym kusiła nagłówkiem: „Legendarny polski samochód w służbie superbohaterów [ZOBACZ ZDJĘCIA I NAJLEPSZE MEMY]". Była też oczywiście druga strona medalu, media piszące jak niepodległa.pl, o braku szacunku uchodźcy do polskiego dziedzictwa i rycerskiej tradycji, czemu towarzyszył stosowny kadr ukazujący wykrzywionego Murzyna z mieczem. „Uważam Rze" pokusiło się o prześmiewczy obrazek, na którym klęczącemu z mieczem Murzynowi dorobiono długie włosy i dołożono pancerz zasłaniający orła. Podpis głosił: „Kali Barbarzyńca". „Fronda" oczywiście podniosła temat antychrysta. ONR na swoim kanale wydał oświadczenie byłego księdza, ale wciąż aktualnego idioty, oraz chłopca wyglądającego jak syn Goebbelsa ubrany w stare ciuchy taty, którzy naprzemiennie nadawali o tym, jak ujawniła się lewacka hipokryzja. Teraz wszyscy cieszą się z rzekomego bohatera wyglądającego, jakby był opalony w ogniu, ale jak to oni, patrioci, pokazywali właściwy kierunek, opalając kukłę Żyda, to był wielki lament.

Większość polskich stacji przerwała swoje programy, by nadawać na żywo wieści z Warszawy. Część zagranicznych puściła regularnie odświeżany pasek dołem ekranu i tylko Polsat trzymał się swojego rozkładu reklamowych bloków. O sprawie mówili wszyscy, a każda telewizja w swoim stylu i zgodnie z dawno już określonym światopoglądem.

Mówiliby więcej, gdyby wszystko się udało, pomyślał Czarnecki. W tym kontekście to, co ostatecznie się wydarzyło, trudno było uznać za sukces. Schował telefon i przez resztę podróży gapił się w okno.

Taksówka zatrzymała się przy kanciastym budynku przypominającym podobny do cyfry cztery klocek *Tetrisa*. Brama odsunęła się automatycznie, ale Czarnecki powiedział kierowcy, żeby nie wjeżdżał. Zapłacił gotówką z napiwkiem solidnym, ale nie na tyle dużym, by kierowca chciał go zapamiętać i mile wspominać. Wysiadł i udał się podjazdem do głównego wejścia.

Czarnecki wszedł do budynku i przeszedł przez hol do recepcji. Skłonił się lekko stojącemu za kontuarem mężczyźnie, a ten odpowiedział w podobny sposób i wskazał mu ręką pomieszczenie na zapleczu. Wisiał tam już zamówiony zawczasu garnitur, taki jak wszystkie inne – grafitowoszary i ze znaczkiem w klapie. Czarnecki przebrał się szybko i wrócił do holu, gdzie już czekali na niego pozostali. Przywitali się bez słów, po bratersku łapiąc się za przedramiona. Następnie udali się wspólnie na pierwsze piętro do wyciemnionej sali konferencyjnej.

Było ich łącznie jedenastu – tylu, ilu apostołów po wykluczeniu zdrajcy. Na prawo i lewo od ekranu stojącego u szczytu stołu siedzieli najstarsi spośród polskich komturów, bracia Zygfryd i Hubert. Pierwszy z nich, szpakowaty brodacz, czuwał nad samym Malborkiem, drugi, biały jak gołąb pokoju i pomarszczony jak papieskie zdjęcie z nart, zarządzał sporą komturią na Podkarpaciu. Dalej siedzieli ze wszech miar nijaki Dariusz i poczciwy, pyzaty Dezyderiusz, na którego zdarzało się im czasem mówić Tuck ze względu na podobieństwo do towarzysza Robin Hooda. Za nimi Czarnecki, mający naprzeciwko Grzegorza z Opolszczyzny, niemieckiego do tego stopnia, że wbrew zasadom nosił w uchu kolczyk, codziennie z inną niemiecką marką samochodu. Na piątki przypadało BMW, więc tego dnia tym bardziej sprawiał wrażenie buca. Kolejni komturowie byli młodsi i stanowili, jak dowiedział się swego czasu Czarnecki od brata Zygfryda, zakonną inwestycję na przyszłość. Ta akcja zresztą, a zwłaszcza działania po bulwarowym incydencie, były dla nich szczególnym testem, z którego, o ile Czarnecki zdążył się zorientować, wszyscy wyszli obronną ręką, wykonując powierzone im zadania.

Z sześciu nowych braci, w opinii Czarneckiego, najlepiej rokowali na przyszłość dwaj: młody brat Karol z długą grzywą i wysoko wygolonymi bokami, komtur z zachodniopomorskiego oraz z jakiegoś powodu

nielubiany, za to elegancki i uroczy ze swoją diastemą Uther ze Śląska, który błyskał na lewo i prawo sztucznym okiem wyglądającym jak stalowa kulka. Pozostali czterej – wrocławski Anzelm, czerwony na policzkach Andrzej zwany Saszą zawiadujący Białostocczyzną, łasicowaty Otto z Wielkopolski, nerwowo łypiący we wszystkie strony, i krakowski Kasper, wyglądający jak przeintelektualizowany paker z siłowni – jeszcze musieli się trochę wykazać, by zyskać zaufanie Czarneckiego.

Wciąż nikt się nie odzywał. Podano im wodę, którą wznieśli
cichy toast, i chleb, którym się przełamali. Potem na stołach pojawiły się przekąski i kawa, dla każdego taka sama. Następnie, gdy obsługa kelnerska opuściła pokój, brat Grzegorz zaryglował drzwi, a brat Zygfryd dał pilotem sygnał, że są gotowi na połączenie.

Ekran rozbłysnął, pojawił się na nim czarny krzyż na białym tle, by zaraz przemienić się we wnętrze przestronnego pokoju o przeszklonej ścianie z widokiem na palmy i skąpany w błękicie ocean. W połowie drogi do linii horyzontu grupka dzieci bawiła się kolorową piłką, równolegle do nich leniwie sunął po wodzie potężny statek wycieczkowy.

W kadrze pojawił się mężczyzna, który zaczął ustawiać kamerę tak, by było go widać w całości, gdy siądzie na fotelu. Miał około sześćdziesięciu pięciu lat, był mocno opalony, ogolony na łyso, ale z gęstą brodą barwy soli z pieprzem. Na porośniętej siwymi włosami piersi znajdował się uwieszony na sznurze wielki czarny krzyż, mocno kontrastujący z rozpiętą do połowy hawajską koszulą i luźnymi bermudami.

Czarnecki zobaczył, jak na ten widok Zygfryd i Hubert się krzywią, i sprawiło mu to trochę satysfakcji. W przeciwieństwie do tych dwóch nie uważał, że Wielki Mistrz zawsze powinien wykazywać się powagą, ani nie miał nic przeciwko temu, by był nim jak teraz Francuz, zamiast Niemca czy Austriaka.

– Witajcie, bracia – powiedział Wielki Mistrz płynną polszczyzną. – Po waszych minach widzę, że nie jesteście zadowoleni z dzisiejszego dnia?

Popatrzyli po sobie, a większość z braci na dłużej skupiła uwagę na Czarneckim, nieposiadającym ziemi komturze do zadań specjalnych, i na Utherze, z którego terenów pochodził czarny bohater mediów. Obaj bracia znieśli to dzielnie, popijając kawę i zajadając krakersy z gęsim pasztetem.

– A ja myślę, że powinniście, bo to była dla nas naprawdę ważna lekcja – powiedział Wielki Mistrz z miną srogiego, ale w sercu bardzo dobrego

nauczyciela, by zaraz się uśmiechnąć i przepić do nich szklanką wody. – Bracie Otto, jak idzie nauka angielskiego?

Zagadnięty zmieszał się z miejsca i zaczerwienił, czując, że teraz na nim skupiły się wszystkie spojrzenia.

– D-d-dobrze, Wielki Mistrzu.

– Wiesz już, jak jest po angielsku zakon? – zachęcił mężczyzna na ekranie.

– *Order*, Wielki Mistrzu.

– Brawo!

Trudno było stwierdzić, czy Mistrz kpi, czy mówi poważnie, więc na wszelki wypadek nikt nie reagował. Pełnił tę funkcję od dwóch lat, więc było jeszcze za wcześnie, by wiedzieć, czego można się po nim spodziewać.

– A wiesz, co to słowo jeszcze znaczy, bracie Otto? – zachęcił mężczyzna z ekranu. – *Order*?

Otto wzruszył ramionami.

– No medal taki, z taką… – Nakreślił w powietrzu kółko, a do niego trapez mający zapewne symbolizować wstążkę. Wykonał ten ruch dwa razy, za drugim bardziej nerwowo, aż wreszcie sobie przypomniał. – Odznaczenie wojskowe! – zawołał z dumą.

Rozejrzał się, ale nie dostrzegł wśród współbraci aprobaty. Znowu więc zwiesił głowę i trwał tak, traktując szczerze rozbawiony śmiech Wielkiego Mistrza jako należną mu, ale wyjątkowo bolesną karę.

– To też – zaśmiał się Wielki Mistrz. – Nade wszystko jednak, bracie Otto, *order* znaczy porządek. Jedno i drugie pochodzi od łacińskiego *ordo*. I tym właśnie jesteśmy, bracia. Porządkiem. Bracie Tomaszu – Mistrz zwrócił się do Czarneckiego – te nagrania z bulwaru, które miałeś wychwycić? Masz je oczywiście?

– Tak, Mistrzu – odparł Czarnecki. – Zgodnie z poleceniem.

– A ty, bracie Utherze, czy dopilnowałeś, by wymieniono kawę we wszystkich punktach, do których ją dostarczyliśmy?

Uther pokiwał głową. Generalnie mało mówił.

Mistrzowi to jednak wystarczyło, bo uśmiechnął się i zatarł ręce.

– A ty, Hubercie – pytał dalej. – Czy, tak jak prosiłem, dopilnowałeś, by UEFA dowiedziała się o wszystkim na czas?

Brat Hubert wydął wargi z wyraźną dezaprobatą.

– Przecież wiesz, że tak… Wielki Mistrzu – burknął, a pauza przed tytułem wymierzona była precyzyjnie niczym cios. – O efektach trąbi cała telewizja. Co chcesz udowodnić? Że ta cała sprawa to było, mimo wszystko, nasze zwycięstwo, bo mówią o nas w mediach? To jest twoja metoda, o Wielki Mistrzu? Propaganda sukcesu?

Mistrz wstał i podszedł do okna za sobą. Przez kilka długich minut wpatrywał się w ocean, po czym, gdy wszyscy już uznali, że spotkanie jest skończone, odwrócił się. I w tym momencie nie mieli już do czynienia z wesołym starszym panem, którym był jeszcze przed chwilą. Teraz przypominał jednego z kartelowych władców podziemia, człowieka jednocześnie bezwzględnego i przerażająco inteligentnego, węża, który właśnie się obudził. Teraz, gdy mówił, trzymał rękę na zawieszonym na piersi krzyżu, a w jego słowach brzmiał chłód stali.

– Porządek wyrasta z chaosu – mówił. – Najlepiej go wtedy widać, bo wyróżnia się na tle. Ale porządek jest ponad chaosem i jest niezachwiany. Nieład nie może budzić wątpliwości, boczny wiatr – spychać ze ścieżek.

Wrócił na fotel, usiadł i patrzył tak przenikliwie, że choć zdawali sobie sprawę z dzielących ich tysięcy kilometrów, niemal wszystkim komturom zrobiło się zimno.

– Wy jesteście przekonani, że dziś przegraliśmy, prawda? – zapytał Wielki Mistrz. – To dlatego któryś z was postanowił wysłać te mocno przesadzone wiadomości do kilku naszych braci, a moich niedawnych rywali z Niemiec, Rosji i Ameryki, sugerując, że właśnie ponosimy dotkliwą porażkę? Myśleliście, że się nie dowiem, bo bracia żywią do mnie urazę, że to ja, nie oni, zostałem Wielkim Mistrzem? Że uda się wam w ten sposób wzbudzić ich niechęć do mnie? Nieładnie. I głupio.

Choć już wcześniej nie odzywał się nikt prócz niego, dopiero teraz zapadła cisza. Komturowie patrzyli po sobie, większość dłużej zatrzymywała wzrok na braciach u szczytu stołu. Ci jednak, choć patrzyli hardo, bez cienia lęku, dawali swoimi postawami jasno do zrozumienia, że ostatnie, czym by się splamili, to sekretny donos.

A może to blef? – pomyślał Czarnecki. Niemal w tym samym momencie, zupełnie jakby była to reakcja na myśl, którą obecny na ekranie mężczyzna jakimś cudem usłyszał z drugiego końca świata, pokój wypełnił się świeżym, pełnym szczerego rozbawienia śmiechem Mistrza.

– Przyznam wam też, moi polscy bracia, że zastanawiałem się, czy wasze uprzedzenia wobec brata Uthera wzmogą się teraz, gdy okazało się, że

wypuścił ze swojej ziemi człowieka, który pokrzyżował nasze dzisiejsze plany? Plany Zakonu? No nie patrz tak, bracie Utherze. Ślązak nigdy nie będzie prawdziwym Polakiem i dobrze o tym wiesz. Odczułeś to i w głębi serca dawno się już z tym pogodziłeś, czyż nie?

Mistrz odczekał moment, aż komtur Śląska smętnie pokiwa głową, po czym podjął tonem zmartwionego ojca.

– Mocna jest w was ta polska natura, bracia. Mocne też są kompleksy ukryte za maską pewności, zrodzona z nich skłonność do waśni i zawiści, ale i tak muszę przyznać, że choć trudno coś zarzucić waszej pracy w ostatnich dniach, zasmuciliście mnie. Naprawdę tak mało było trzeba, bracia, by zachwiać waszą pewnością? By proste linie stanowionego przez nas porządku, jakimi tu na odmienianej przez nas ziemi, tej ziemi, rozedrgały się i rozchwiały? Wstyd mi za was. Za wszystkich was!

Zrobił pauzę, uspokajając się nieco, upił wody.

– Choć nie powiem, że się tego nie spodziewaliśmy. I dlatego Najwyższa Rada Zakonu już dawno zadecydowała, że nie wtajemniczymy was, komturów z Polski, w całości we wdrażany plan, że poznacie tylko ten jego fragment, do którego będziecie niezbędni wy i wasi ludzie. Myślę jednak, że nadszedł czas, byście poznali siłę Zakonu, którego jesteście wysłannikami w kraju, który w dziejach bractwa najmocniej nas upokorzył. Który, choć zmazywany z map, rozrywany, targany wojnami, wciąż czerpał siły z naszych porażek. Z Grunwaldu, z pruskiego hołdu, gdy mój poprzednik zmuszony był uklęknąć przed polskim władcą.

Ma tik w lewym oku, zauważył Czarnecki z satysfakcją. Nie było to spostrzeżenie złośliwe, ale kącik ust drgnął mu na myśl, że jednak przemawia do nich prawdziwy, niedoskonały człowiek. Wiele rzeczy mówiło się bowiem o kolejnych Mistrzach i o tym, jak podobno wyglądał tajemniczy rytuał poprzedzający śluby. Wynikający z ekscytacji tik zadawał kłam przynajmniej części z tych plotek.

– Część planu, za którą byliście odpowiedzialni – mówił dalej Mistrz – wyszła znakomicie. Chylę czoła przed bratem Anzelmem za infiltrację wrocławskiego podziemia tych tak zwanych polskich patriotów i wskazanie nam Ordona, bez którego tak wiele rzeczy by się nie zdarzyło. Ten człowiek, przyznam wam i ufam, że się nie obrazicie, jest dla mnie kwintesencją polskości. Tak silny w swych słabościach i mądry w głupocie, że nie sposób się nie zachwycić.

Udał, że bije brawo Anzelmowi, po czym płynnie przeniósł wzrok na Czarneckiego.

– To, z jaką pieczołowitością dobrał warszawskich patriotów brat Tomasz, też zasługuje na szacunek. Odpowiednio zaangażowani i we właściwy sposób niefrasobliwi pośrednik i kurier w naturalny sposób zrobili to, czego nie udałoby się osiągnąć teatrzykiem. Mylące, konfundujące instrukcje dla kuriera, by mógł się pomylić, i dywersja, która przytrzymała ostrożnego Ordona chwilę dłużej w pociągu. A ta akcja z samochodami i wrobieniem w nią wnuków opozycjonistów? Zaangażowanie brata Ottona w ruch rowerowy? Wreszcie romans brata Saszy z tą feministyczną aktywistką i namówienie jej na naszą stadionową wisienkę na torcie? To ostatnie finalnie faktycznie nie wyszło, ale jakie to było przebiegłe! Wyśmienite! Brawo!

Mistrz wodził wzrokiem od jednego z braci do drugiego, równo rozdzielając pomiędzy nich swoje rozbawienie i entuzjazm.

– Nie możemy sobie przypisywać wszystkiego, w niektórych kwestiach nam się zwyczajnie poszczęściło, ale czyż nie jest to wyraźny znak, że Bóg jest z nami? Choć i bez niego dalibyśmy radę, bo nawet gdyby ten Zawisza nie spotkał taksówkarki, mieliśmy inny sposób, by trafił do Pająka, prawda, bracie Karolu? Przy okazji powiedz, czy twoi hakerzy są zadowoleni z nowych danych, jakie sieć dała nam sama o sobie? O ile wiem z raportów naszych śledczych, od chwili, gdy Pająk i jego pomocnicy ściągnęli na siebie naszą uwagę, szukając naszych aktywów, wczoraj i dziś mieliśmy największy i najkonkretniejszy wysyp danych. Co nowego wiemy? Poznaliśmy dziesiątki ich kurierów, dzieciaków z kamerami, policjantów, strażaków, tych pożal się Boże aktorów udających lekarzy… wystarczy ich teraz zidentyfikować, co zajmie ile? Miesiące? Tygodnie? Dni? Tak właśnie działamy, bracia! Informacja jest dziś kluczem do wszystkiego!

Ktoś go zawołał, jakiś dziecięcy głosik, więc Mistrz przeprosił na chwilę i wyszedł poza kadr. Zakłopotani bracia patrzyli po sobie w milczeniu, słuchając słów po hiszpańsku.

– To jego wnuczka – powiedział w końcu Grzegorz. – Pyta, czy pójdą na lody, a Mistrz mówi, żeby już wybierała smaki. Mała mówi, że jej obojętnie, tylko nie kawowy, bo smakuje jak kupa. Mistrz pyta, skąd mała wie, jak smakuje kupa, a ona mówi…

– Wystarczy – spokojnie, acz stanowczo polecił brat Zygfryd i Grzegorz natychmiast umilkł.

Mistrz wrócił na swoje miejsce, upił wody i ponownie przeprosił za tę przerwę. Potrzebował też kilku sekund, by przypomnieć sobie, o czym właściwie mówił.

– A teraz względem tej porażki, w którą większość z was święcie wierzy. Fakt, nie doszło do masakry na Polu Mokotowskim ani wzdłuż Alei Jerozolimskich. Ale czy naprawdę myśleliście, że na tym nam zależało? Pomyślcie bracia, co się będzie działo, gdy ta nasza wspaniała, wymyślona i należycie wypozycjonowana w internecie choroba Krasdena-Stirlla zarazi umysły wszystkich obywateli Europy. Wybuch agresji w dzielnicy biznesu! Cudem powstrzymany kolejny w zabytkowej części miasta! Kto ich zaraził? Jak? Przecież to żadna patologia, sami młodzi, obiecujący, dobrze zarabiający ludzie. Będą mówić, że to kawa, ale ta wszędzie jest już czysta jak łza, czyż nie? Nie zapominajmy oczywiście o tym utajnionym przez władzę pierwszym incydencie bulwarowym, z którego filmiki wycieką w stosownym czasie. Ludzie uwielbiają teorie spiskowe, więc oberwie się wszystkim, komu obrywa się zwykle. Tym samym tropem podąży też Pajęcza czeredka, bo przecież to ich pomysłem była ta choroba. To oni z tym wyszli! Czyż to nie wspaniałe? Zaplątani we własną sieć! A jeśli jeszcze się okaże, że od wielu miesięcy małe ogniska choroby zdarzały się w obozach dla uchodźców? Gdy będzie można wyraźnie wskazać, kto z bogatych lewaków spędzał wakacje w zagrożonych strefach, a polski rząd podawał ludziom antidotum w postaci patriotycznego napoju? Skandal na cały świat i tenże świat zacznie badać sprawę. Pójdą szlakiem finansów i znajdą to, co chcemy, a wówczas ludzie połączą kropki i… Ależ to będzie jatka, nie uważacie?!

Wielki Mistrz zatarł ręce i przez krótką chwilę wyglądał jak wesoły, bogaty emeryt przepuszczający pieniądze na wakacje życia.

– Jaki to będzie cudowny chaos – mówił – który może zagrozić rozłamem, upadkiem wszystkiego, co dziś nazywamy cywilizacją Zachodu. I to wszystko zacznie się w Polsce, która wyrządziła nam tyle szkód i która czerpie swoją siłę z naszej słabości. Wasz kraj, drodzy bracia. Kraj, który od zawsze był nam drzazgą.

Przerwał i przez chwilę napawał się słowami, które zdawały się nieść echem niczym po wnętrzu katedry, a w rzeczywistości były nieco opóźnione i zdublowane przez chwilowy problem z połączeniem. Mistrz zamigotał na ekranie, a bracia zgromadzeni w pomieszczeniu znowu popatrzyli nawzajem po sobie.

W końcu Uther nieśmiało podniósł rękę. Mistrz dojrzał ten gest i zachęcił go do zadania pytania.

– Jednego tylko nie wiem, o Mistrzu. Po co tyle zamieszania z tym Zawiszą? Po co w tym wszystkim on? To jakiś symbol?

Wielki Mistrz rozłożył ręce niczym szale wagi i zakołysał nimi.

– Po trosze tak – odparł. – Najważniejsze jest tu pochodzenie naszego przyjaciela. Otóż tak się składa, że ten czarny młodzian, zapewne niezdający sobie z tego sprawy, faktycznie jest w prostej linii potomkiem Zawiszy Czarnego z Garbowa. Specjalny departament Zakonu śledził całą linię potomków tego rycerza z tych samych powodów, dla których tyle uwagi poświęcamy Polsce. Znamy przepowiednię z nim związaną i choć nie dajemy jej wiary, bardzo chcieliśmy, by się spełniła właśnie teraz, gdy geny Zawiszy zawędrowały do Afryki i tym samym skutki jego ponownego przyjścia byłyby najmniejsze.

Ręce Mistrza już nie były szalami wagi. Teraz stanowiły piramidę podobną do tych, w które swoje dłonie zaplatali niegdyś nieokrzesani politycy po dwóch lekcjach z kształtowania wizerunku.

– Oczywiście ów młody człowiek nie miał żadnego powodu, by interesować się swoją historią, więc tę potrzebę w nim obudziliśmy. Wychował go jeden z naszych najlepszych braci, ucząc go wszystkiego, co sam wie, właśnie po to, aby obudzić w małym czarnym chłopcu miłość do kraju na drugim końcu świata. Potem daliśmy mu możliwość, by się tam uczył, by stał się bohaterem lokalnym, a teraz już powszechnie znanym. Bo powiedzcie, bracia, którzy nie pałacie do Polski miłością, ale znacie ją najlepiej: czy można ten podzielony, pełen kompleksów i uprzedzeń naród zranić bardziej, niż wciskając mu czarnego, niekatolickiego bohatera?

Pozwolił, by dotarły do nich te słowa, by najpierw do końca przełknęli gorzką pigułkę wynikającą z tego, że odcięto ich od części informacji, a następie ponownie poczuli moc płynącą z bycia częścią czegoś naprawdę wielkiego i w zasadzie wszechmocnego. W tych chwilach odliczanych uderzeniami ich rosnących serc przenikliwość Zakonu stała się na powrót ich przenikliwością, jego przebiegłość ich przebiegłością, a jego siła ich siłą. Byli Zakonem i choć wyglądało to na porażkę, w rzeczywistości zwiedli wszystkich. Byli zwycięzcami!

Jedynie Czarnecki, zamiast uśmiechać się jak reszta braci, powoli uniósł rękę.

– Tak, bracie Tomaszu? – Mistrz zachęcił go gestem. – Co cię trapi?

Czarnecki wahał się przez moment, jak ubrać w taktowne, niebudzące podejrzeń słowa ten ogarniający go właśnie lęk. To dziwne, irracjonalne – czy aby na pewno? – przeczucie, które kazało mu wyjść stąd natychmiast, w tej chwili. Zaczerpnąć tchu, spojrzeć w niebo, być może po raz ostatni, bo taka przecież jest cena. Nikt nie żyje wiecznie, tylko Zakon…

– Mogę wyjść do łazienki? – zapytał w końcu.

Kilku komturów, wyraźnie już rozluźnionych, parsknęło śmiechem na to szkolne pytanie. Mistrz także się roześmiał i wskazał w stronę drzwi.

– Tylko wracaj szybko – polecił. – Mamy jeszcze wiele spraw do omówienia.

Czarnecki odsunął krzesło, wstał i zapiął marynarkę. Z największą godnością, na jaką pozwalała mu sytuacja, obszedł stół, odryglował zamki i wyszedł na korytarz. Zamykając za sobą i patrząc w okno na końcu holu, poczuł jednocześnie zawstydzenie i ulgę. To pierwsze rozumiał, drugie natomiast czuł całym rozedrganym teraz sobą. Zastanawiał się też, czy obserwują go właśnie kamery, a jeśli tak, co znajdzie się w raporcie patrzącego. Czy swoim zwątpieniem i strachem, a może nawet paranoją, właśnie podpisał na siebie wyrok? Mogło tak być. Mogło się okazać, że właśnie popełnił drugi raz ten sam błąd. Zwątpił.

Uznał jednak, że cokolwiek zaczął, będzie kontynuował. Rozejrzał się w poszukiwaniu znaczka toalety, a gdy go zauważył, ruszył w tamtą stronę.

W łazience nad pisuarem wisiała tabliczka informująca o tym, ile wody ten konkretny porcelanowy bohater oszczędza każdego roku dzięki swojemu niezwykłemu profilowaniu, które pozwala zachować należytą higienę przy maksymalnej oszczędności. Czarnecki czytał takie informacje po wielokroć, więc wiedział to bez kolejnego czytania. Tym razem jednak niektóre z liter w informacji były pogrubione.

Czarnecki przeczytał tylko je i poczuł nagle ból w dole podbrzusza. Pochylił głowę i zdał sobie sprawę, że z całych sił ściska swojego penisa. Puścił go, wepchnął w spodnie, zapiął rozporek, odetchnął głęboko i jeszcze raz przeczytał wiadomość, która wprowadziła go w takie osłupienie.

„Wiemy i o twoim zwątpieniu, ale pośród ślepców jednooki jest królem. Nie bądź więcej niedowiarkiem, Tomaszu, lecz wierzącym. Idź coś zjeść i nie wracaj przez godzinę. Bądź pozdrowiony, Komturze prowincji Polska”.

Czarnecki wymył ręce, wyszedł z łazienki i na sztywnych nogach zszedł do holu. Czekali tam na niego Karol i Uther. Na rękach mieli jednorazowe rękawiczki i właśnie zabierali z recepcji wielkie pudło środków czyszczących. Skłonili mu się z szacunkiem, on odpowiedział tym samym, po czym zwrócił się do mężczyzny za kontuarem.

– Gdzie tu mogę coś zjeść?

– Coś konkretnego? – zapytał życzliwie tamten.

Czarnecki pokręcił głową. Właściwie nie był głodny.

– Cokolwiek – odparł. – Rozkaz to rozkaz.

KONIEC

POSŁOWIE

Gdy byłem mały, chciałem być patriotą takim jak Zawisza Czarny z Garbowa. Sprawiła to, trochę przez pomyłkę, moja mama, która zabrała mnie kiedyś do kina „Odra” w Opolu na Poranek. Zamiast bajek puszczono nam *Krzyżaków* i w ten sposób jako trzyipółletni berbeć po raz pierwszy zetknąłem się z tą historią. Podobno, gdy wychodziliśmy, szedłem tyłem, gapiąc się w ekran do ostatniej literki, a potem, gdy już potrafiłem, zaczytywałem się w historiach o rycerstwie. Do dziś bardzo je lubię.

To, co o patriotyzmie sądzę dziś, możecie wyczytać z kart tej książki. Gdyby jednak zabiegi fabularne zamazały komuś ten przekaz, na wszelki wypadek napiszę to tutaj w skrócie jeszcze raz – jestem Polakiem. A czy staram się być patriotą? Tak, wtedy, gdy pokrywa się to z dążeniem do bycia dobrym człowiekiem.

Kolejna rzecz, o której warto tu wspomnieć: w tej książce poznaliście Sawkę. Ponieważ to pierwsza superbohaterka, jaką stworzyłem (Dzwoneczek to jednak inna kategoria), chciałem, by była odpowiednio super, a jednocześnie prawdziwa. Stąd pozwoliłem sobie zarówno jej wygląd, jak i sporą dawkę charakteru oprzeć na prawdziwej osobie – rodowitej warszawiance, świetnej aktorce i – tak się fajnie dla mnie składa – mojej wieloletniej przyjaciółce Michalinie Olszańskiej. Możecie to uwzględnić, wyobrażając sobie tę postać, ale rzecz jasna wcale nie musicie.

A teraz coś, co jest dla mnie szczególnie ważne, czyli podziękowania. Jeśli spodobała Wam się ta książka, miejcie na uwadze, że choć napisałem ją ja, to wiele osób mi przy niej pomogło. Paulina czytała tekst po kawałku jeszcze w stanie surowym i dzieliła się bardzo sensownymi uwagami. Tomek redagował z prawdziwym poświęceniem, a Iwo oprócz świetnej okładki dołożył solidną paczkę entuzjazmu i radości z tego konkretnego projektu. Nie zapominajmy też o ekipie Wydawnictwa SQN, w którym wszyscy – a konkretnie Przemek, Kamil, Oskar i Paweł – są jednocześnie w pełni profesjonalni i gotowi na wszelkie zaskoczenia. To budujące.

No i tak zupełnie na koniec: Zawisza wróci. Jeszcze nie wiem kiedy i czy najpierw solo, czy jako wsparcie Dreszcza, Ekumena albo kogoś zupełnie

innego, ale to nie tak, że „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść”. Co to, to nie…

16.10.2017

Zawisza Czarny

Copyright © by Jakub Ćwiek 2017
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2017

Redakcja – Tomasz Hoga
Korekta – Marta Pustuła
Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc
Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl
Ilustracje na okładce – Iwo Strzelecki
Rysunki wewnątrz książki – Iwo Strzelecki

www.jakubcwiek.pl
www.facebook.com/JakubCwiekOfficial

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Wydanie I, Kraków 2017
ISBN EPUB: 978-83-8129-033-3
ISBN MOBI: 978-83-8129-034-0

Jakub Ćwiek

wsqn.pl
WydawnictwoSQN
wydawnictwosqn
SQNPublishing
wydawnictwosqn
WydawnictwoSQN
Sprzedaż internetowa labotiga.pl
E-booki
Zrównoważona gospodarka leśna
Tempori serviendum est

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Prologobietnica
Część pierwsza. Jak przygoda, to tylko w Warszawie
- Rozdział 1. Nieznajomi z pociągu
- Rozdział 2. Jot dwadzieścia trzy
- Rozdział 3. Sawka
- Rozdział 4. Miasto moje, a w nim…
- Rozdział 5. Same ważne rzeczy
- Rozdział 6. Dwie rzeki
- Rozdział 7. Pod mostem
- Rozdział 8. W sieci
- Rozdział 9. Pajęczyna
- Rozdział 10. Rzeczy, które dzieją się po zmroku

Część 2. Warszawski dzień
- Rozdział 11. Trudne poranki
- Rozdział 12. Krew patriotów
- Rozdział 13. Godzina szczytu
- Rozdział 14. Masa krytyczna
- Rozdział 15. Kto ty jesteś?
- Rozdział 16. Po bitwie

Epilog
Posłowie
Strona redakcyjna

Piotruś Pan i Zagubieni Chłopcy wracają w zupełnie zwariowanej odsłonie

Rykiem silników, hukiem wystrzałów i głośnym: BANGARANG! – tak zwiastują swoje przybycie Zagubieni Chłopcy, najbardziej niezwykły gang motocyklowy na świecie. Niegdyś wierni towarzysze Piotrusia Pana, dziś odziane w skórzane kurtki zakapiory pod wodzą zabójczo seksownej Dzwoneczek. Zrobią wszystko, by przetrwać… i dobrze się przy tym bawić. Bez względu na cenę.

Komiczna, przewrotna, zaskakująca, odważna!

Szukaj w dobrych księgarniach

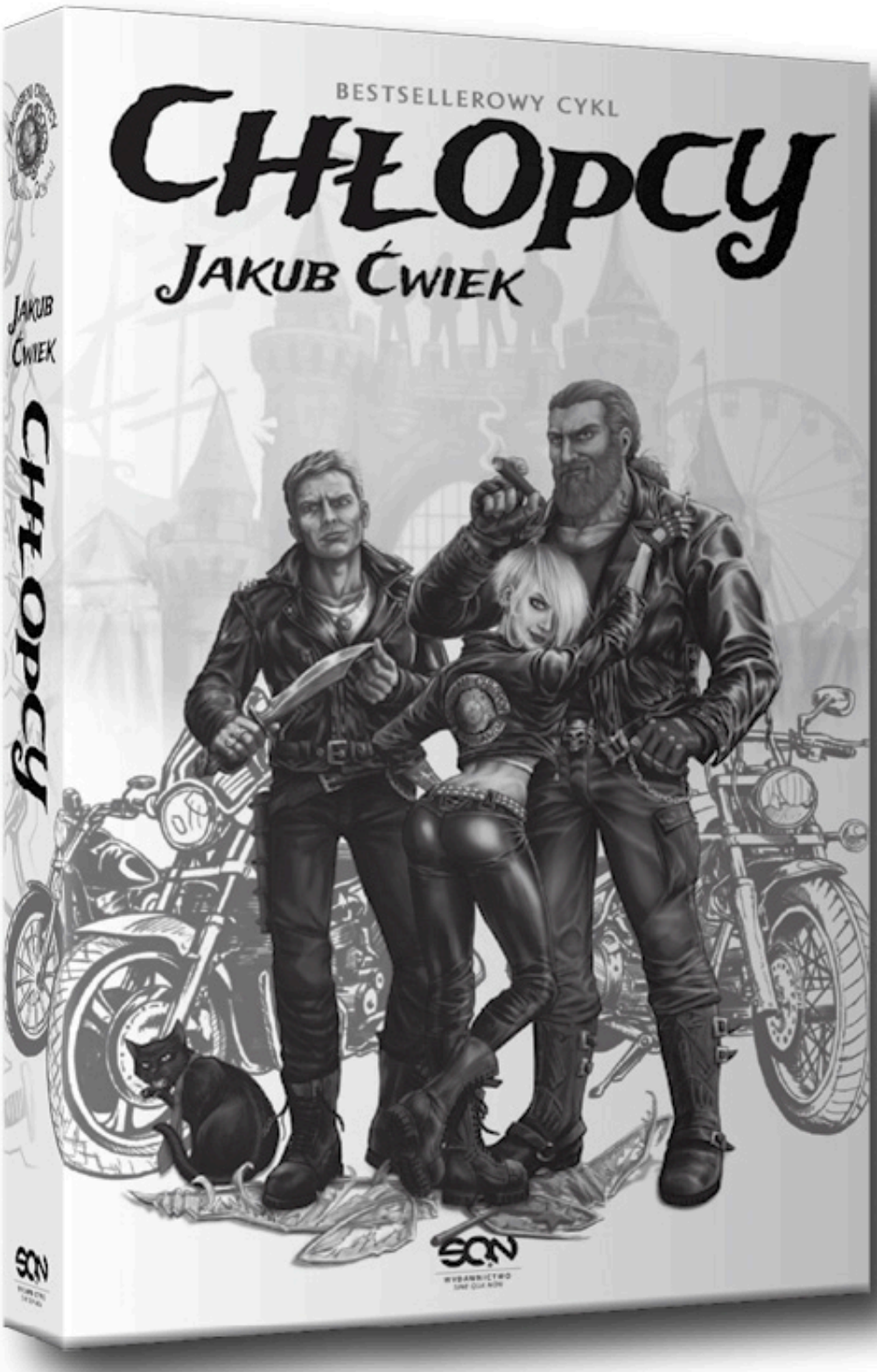
BESTSELLEROWY CYKL
CHŁOPCY
JAKUB ĆWIEK
JAKUB ĆWIEK
CHŁOPCY

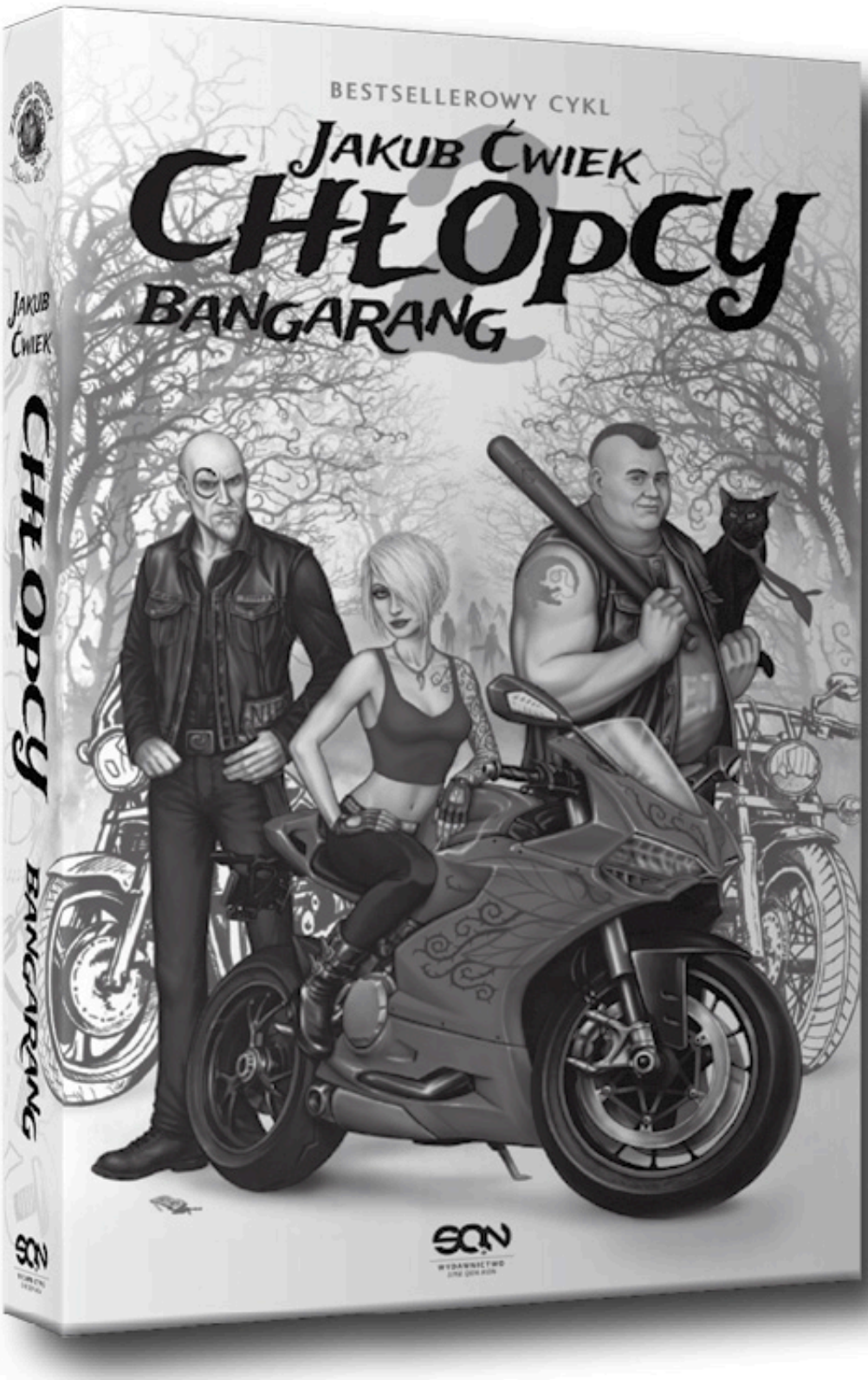
BESTSELLEROWY CYKL
JAKUB ĆWIEK
CHŁOPCY
BANGARANG
JAKUB ĆWIEK
CHŁOPCY
BANGARANG
SQN

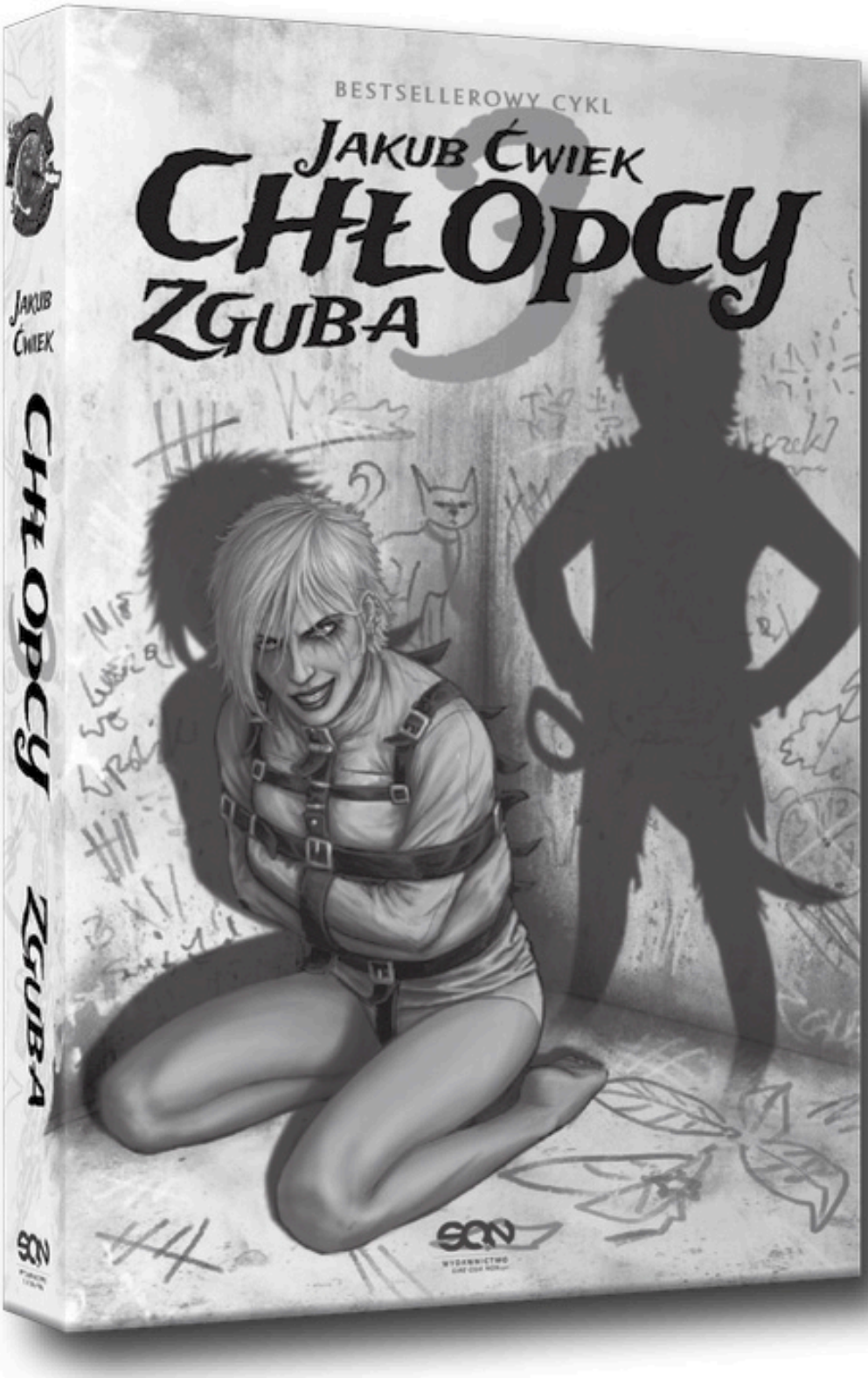
BESTSELLEROWY CYKL
JAKUB ĆWIEK
CHŁOPCY
ZGUBA
JAKUB ĆWIEK
CHŁOPCY
ZGUBA

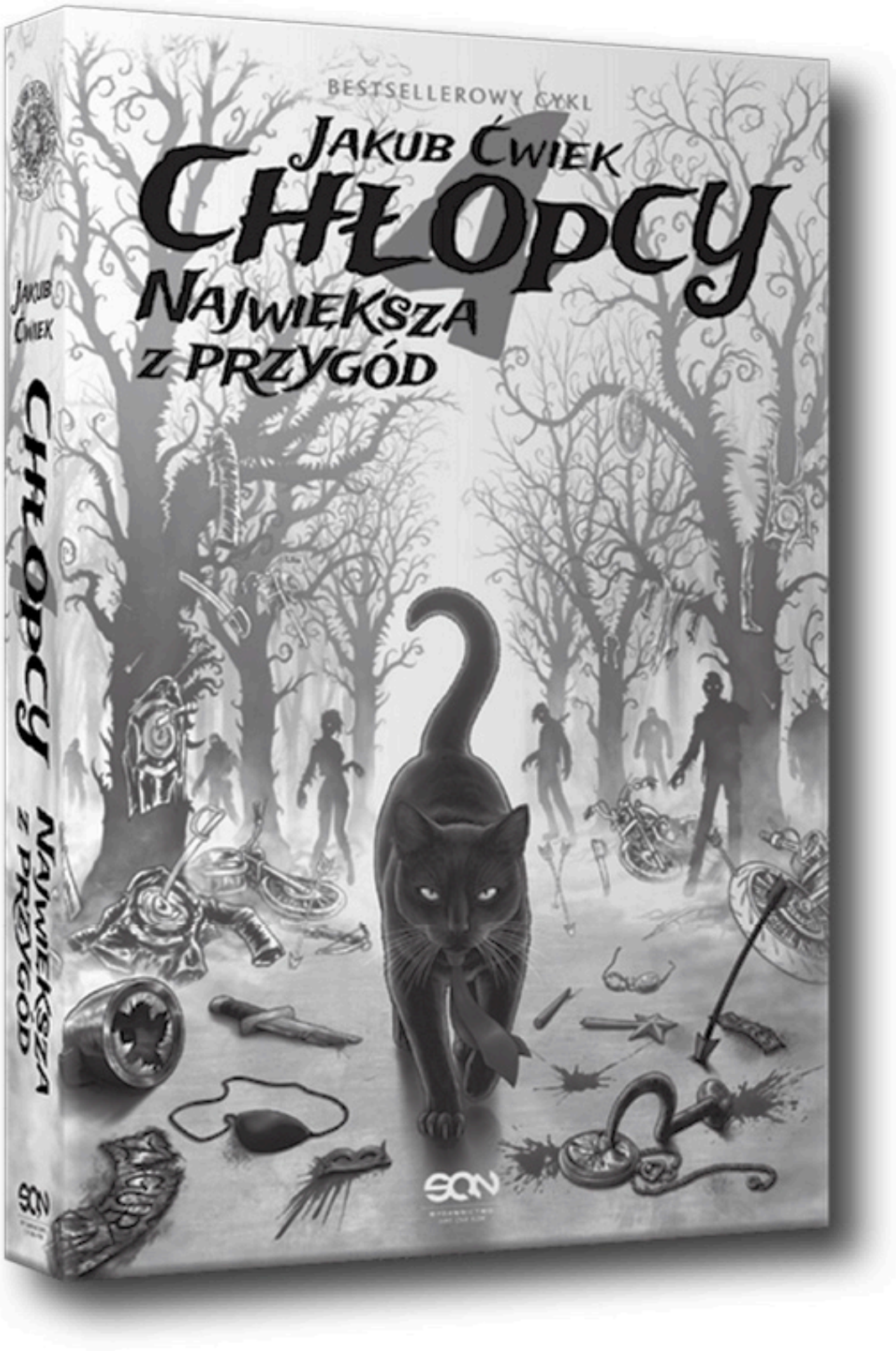

Przyznaj, spodziewasz się baśni

Jakub Ćwiek serią Grimm City udowadnia, że potrafi pisać dojrzale i mrocznie, a kryminały, które wychodzą spod jego klawiatury, są w stanie niejeden raz zaskoczyć. Oto gorzki, brutalny kryminał noir w niezwykłym świecie inspirowanym amerykańskim podziemiem przestępczym lat dwudziestych i trzydziestych. W świecie, w którym rządzą strach i… opowieść.

Wejdź do Grimm City raz, a już nigdy go nie opuścisz.

Szukaj w dobrych księgarniach

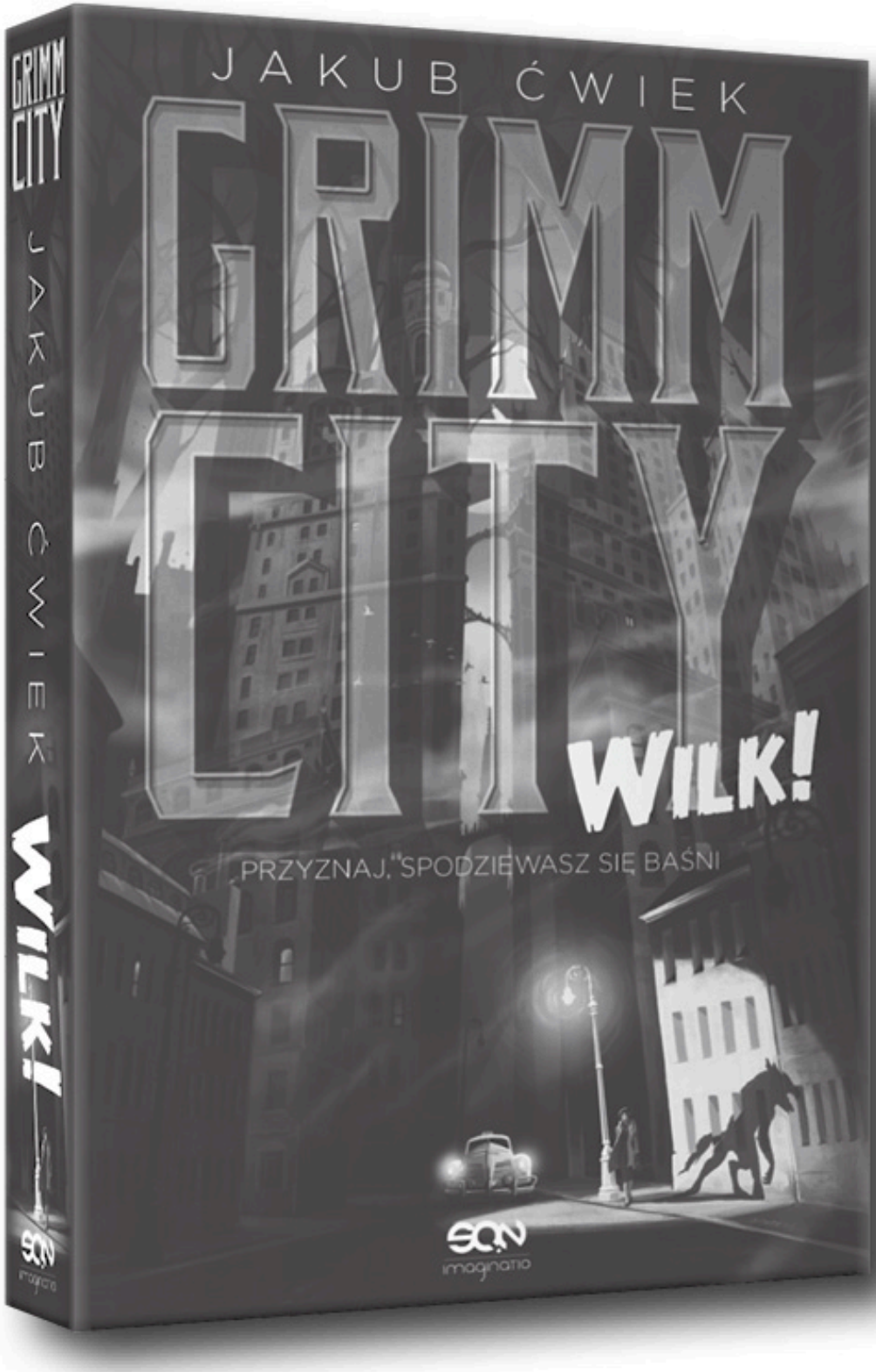
GRIMM CITY
JAKUB ĆWIEK
WILK!
JAKUB ĆWIEK
GRIMM CITY
WILK!
PRZYZNAJ, SPODZIEWASZ SIĘ BAŚNI
imaginatio

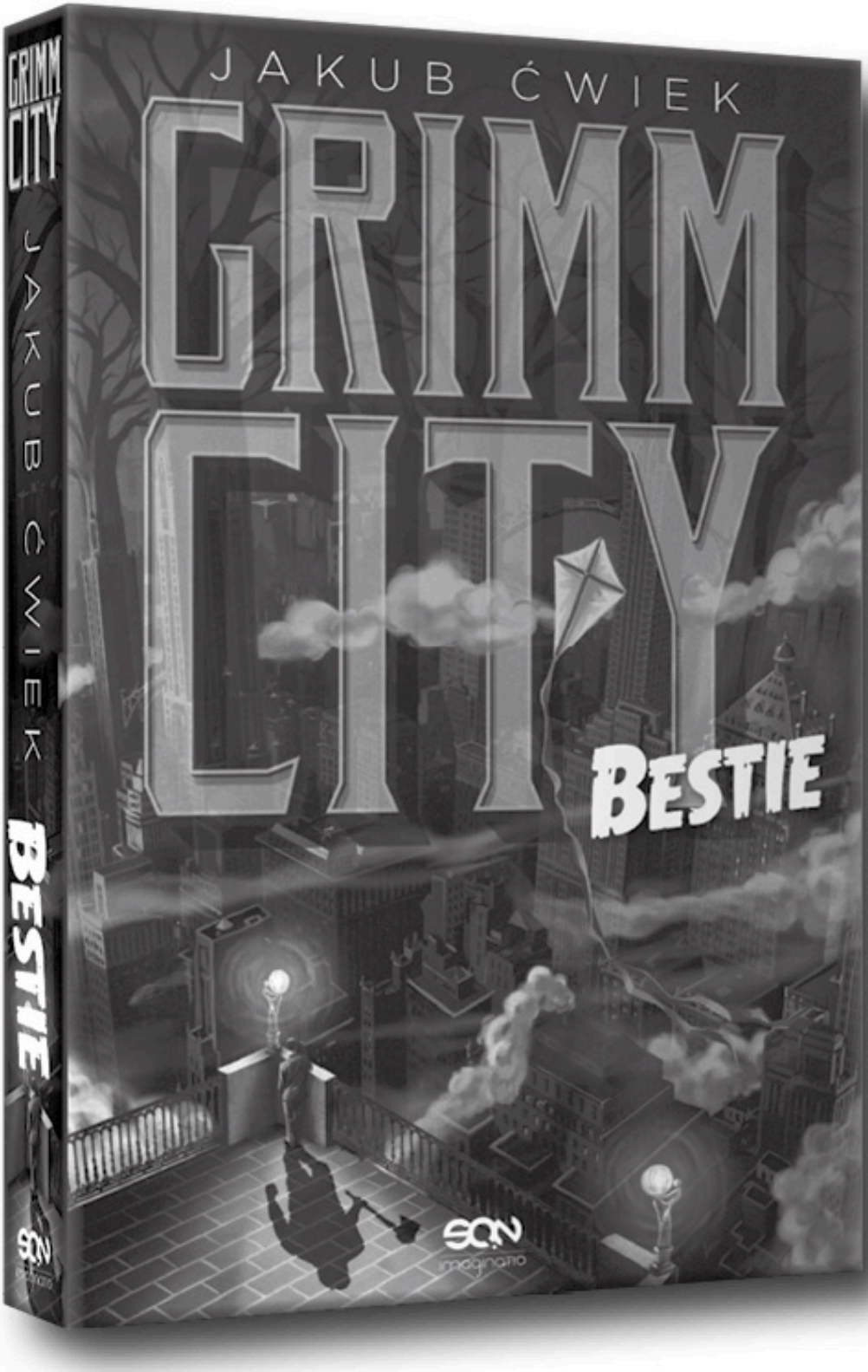
JAKUB ĆWIEK
GRIMM CITY
BESTIE
GRIMM CITY
JAKUB ĆWIEK
BESTIE
SQN
imaginatio

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:

WydawnictwoSQN
SQNPublishing
wydawnictwosqn
wydawnictwosqn
WydawnictwoSQN
www.wsqn.pl

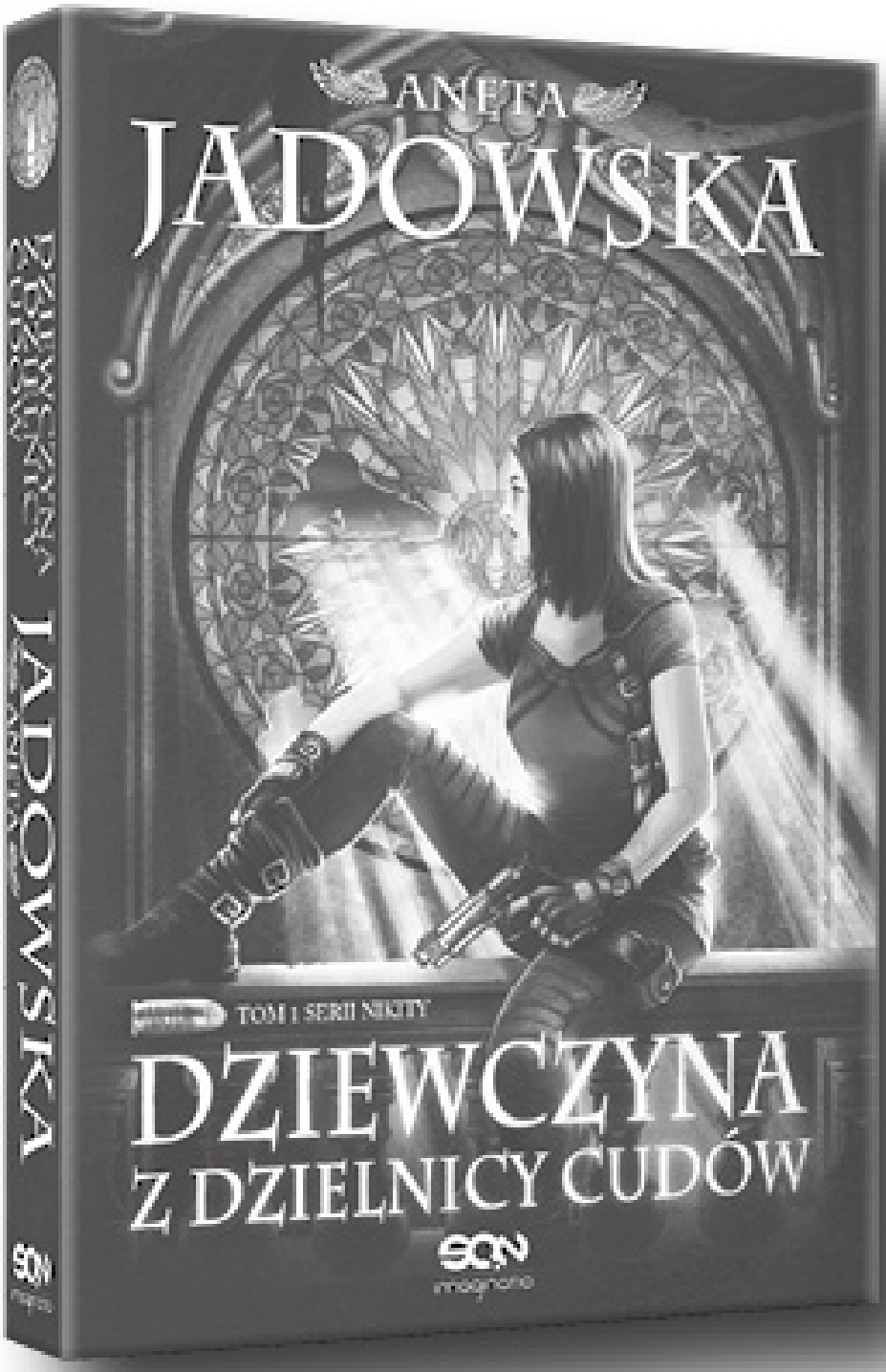
ANETA
JADOWSKA
TOM 1 SERII NIKITY
DZIEWCZYNA
Z DZIELNICY CUDÓW
SQN
imaginario

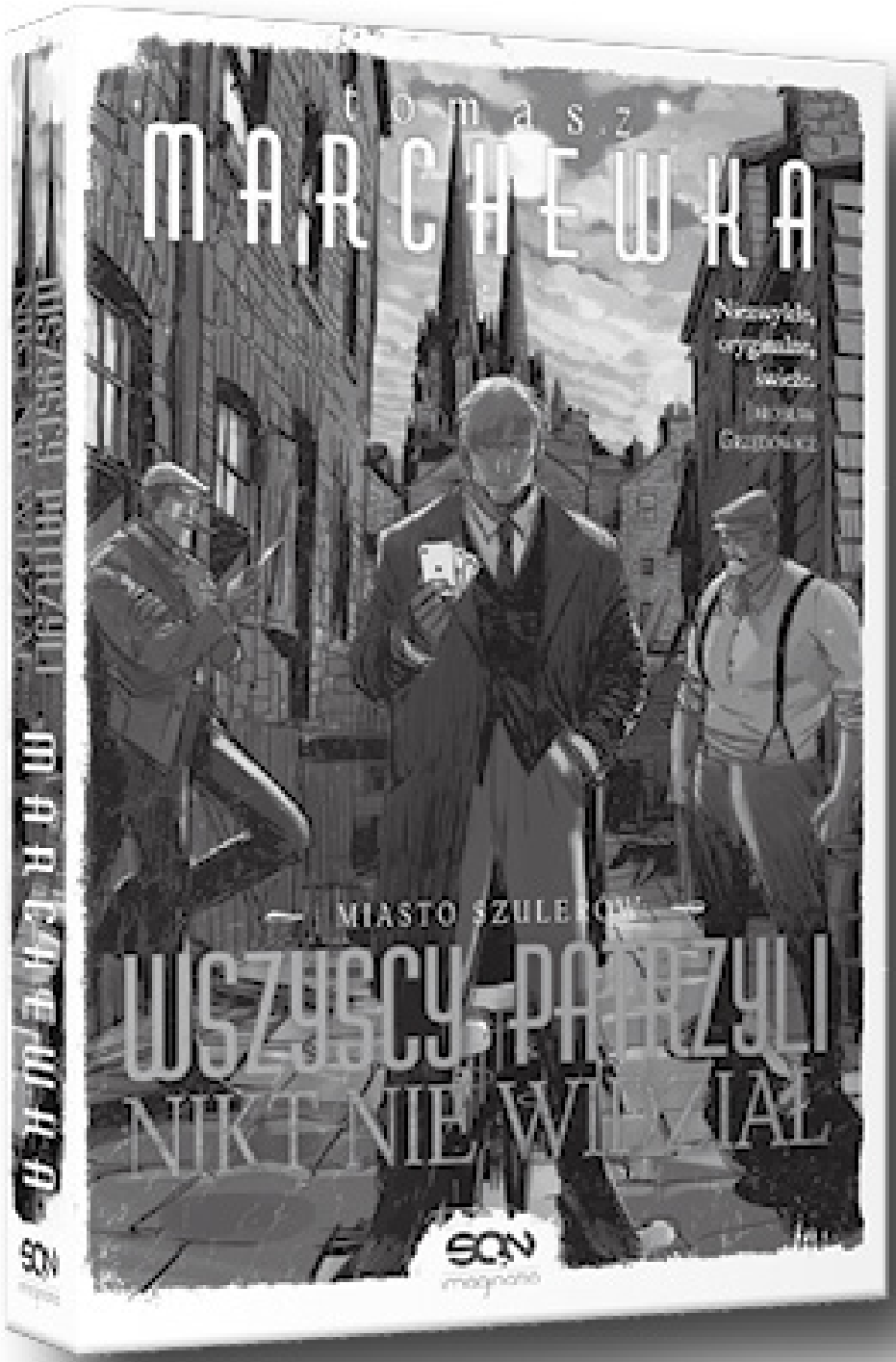
tomasz
MARCHEWKA
Nieważkie, organiczne, świeże.
MIASTO SZULERÓW
WSZYSCY PATRZYLI
NIKT NIE WIDZIAŁ
SQN
MARCHEWKA
MIASTO SZULERÓW
WSZYSCY PATRZYLI NIKT NIE WIDZIAŁ
SQN

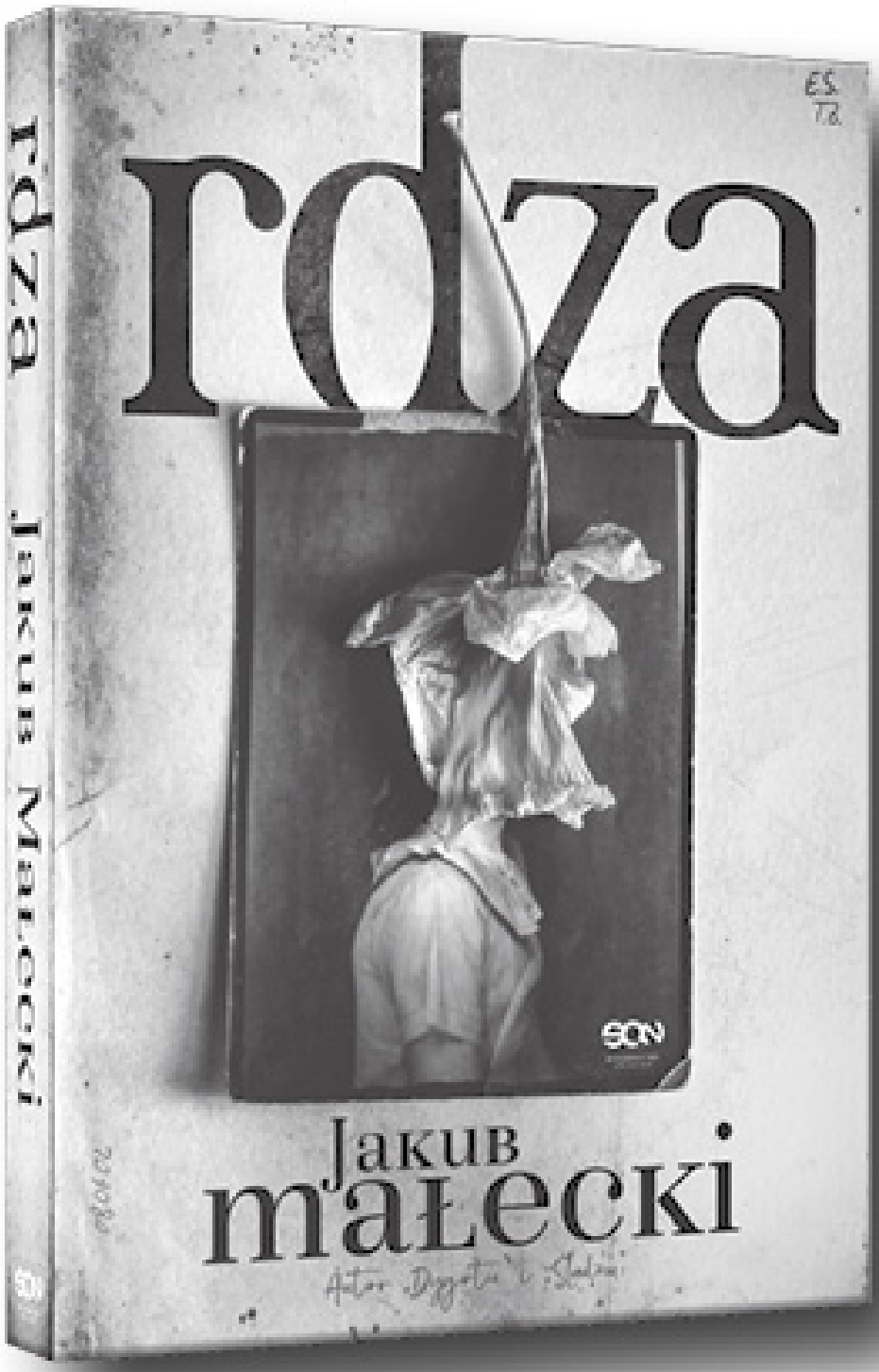
rdza
Jakub Małecki
rdza
Jakub Małecki
SQN

DROBINKI NIEŚMIERTELNOŚCI
JAKUB ĆWIEK
JAKUB ĆWIEK
DROBINKI
NIEŚMIERTELNOŚCI

WYRUSZ Z NAMI W NIEZWYKŁĄ PODRÓŻ...
PRZEZ STANY popŚWIADOMOŚCI
KUBA ĆWIEK
PATRYK JUREK | RADEK TERLAK | BARTEK CZARTORYSKI | KREDKA
KUBA ĆWIEK
PRZEZ STANY popŚWIADOMOŚCI

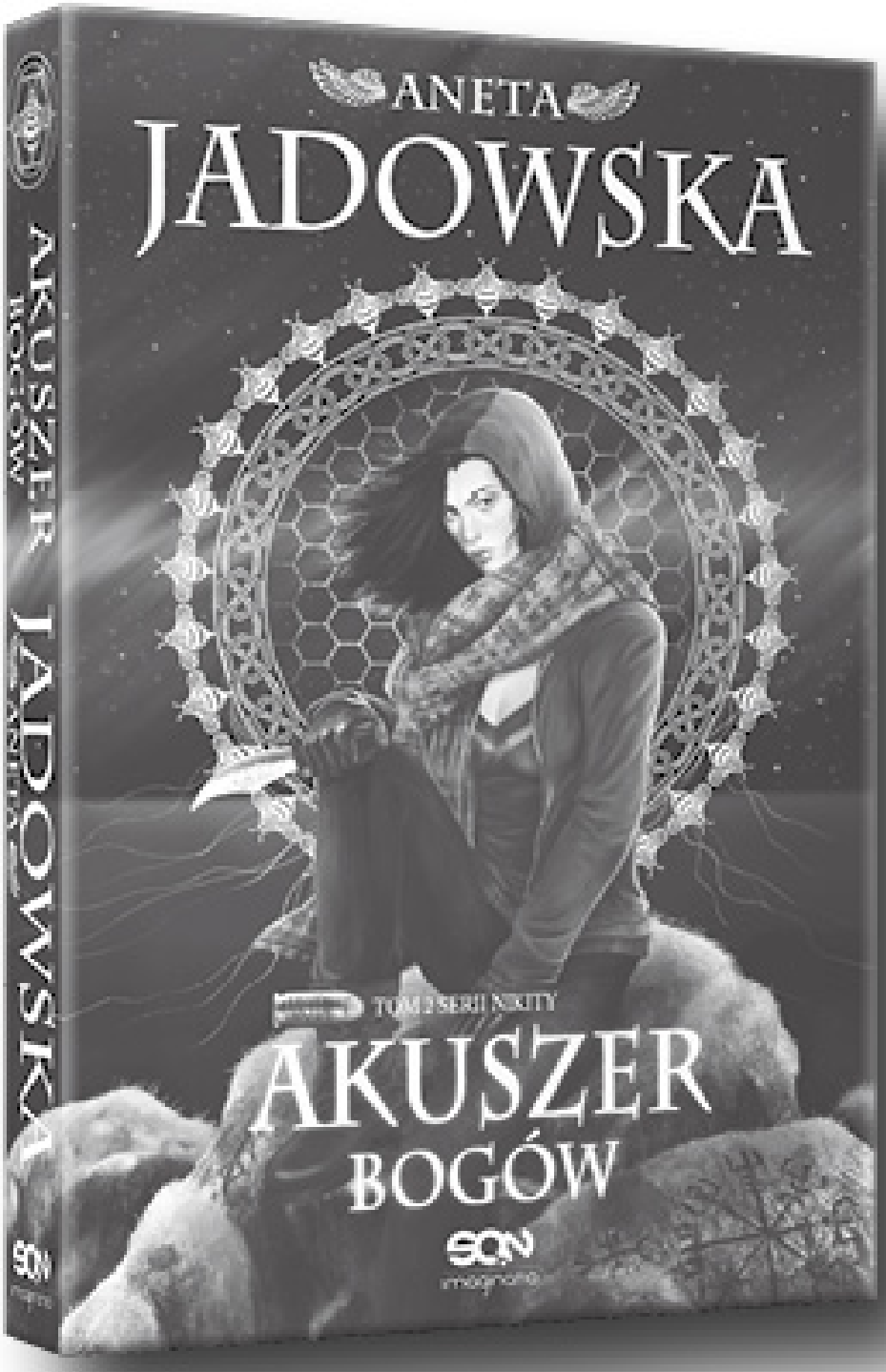
ANETA
JADOWSKA
TOM 2 SERII NIKITY
AKUSZER
BOGÓW
SQN
magnum